

# Podróż po Polsce



KSAWERY PRUSZYŃSKI

## Podróż po Polsce

*Opracowanie tej książki zostało sfinansowane na pamiątkę Wandy Romualdy Malinowskiej z domu Skłodowskiej, 16.04.1940–23.03.2019.*

*Mojej Matce*

### WŚRÓD SZKŁA I PLAKATÓW

Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy, to nie zniszczenie, nie zdemolowane sklepy, nie rozbite wystawy, nie obtłuczone tramwaje — ale odezwy. Odezwy było bez końca. Była odezwa dwóch biskupów lwowskich, odezwa prezydenta miasta, odezwa obrońców Lwowa, odezwa Federacji Obrońców Ojczyzny, odezwa ukraińska, odezwa Stronnictwa Narodowego, odezwa akademicka itd., itd. Rozlepione były wszędzie, od dworca począwszy. Pisma lwowskie drukowały jeszcze inną odmianę odezw — rezolucje; rezolucje pomniejszych organizacji społecznych, które z tych czy innych przyczyn zadowolili się powzięciem uchwały, nieraz złożonej z kilkunastu punktów, i przesłaniem jej do redakcji. Toteż pisma lwowskie z pierwszych dni po zajęciach<sup>1</sup> robią dziwne wrażenie; szuka się w nich opisów, relacji, wiadomości, a znajduje się odezwy, odezwy, odezwy. Ściany domów tego miasta i szpalty jego pism zapełniły się i — przesłoniły odezwami.

Odezwy to pierwsza rzecz, która rzucała się w oczy we Lwowie, ale mimo ich liczebności, mimo powagi instytucji, które je wydały, mimo zakłęb, jakie zawierały, nie były tą rzeczą, która rzucała się w oczy najbardziej. Odezwami tymi przypominało miasto pierwsze, nasycone elektrycznością, dni wojny, ale rozbitymi szybami, wielkimi sklepowymi witrynami wduszonymi w głąb, jak rozbite, próżne oczodoły żywego jeszcze zwierzęcia, przypominały samą wojnę. Wielkie gmachy, gmach ubezpieczalni społecznej, gmach Teatru Wielkiego, stały ostrzelane najgęstszym gradem pocisków. Szyby pobito tu dokładnie, co do jednej, zadeptywano butami na drobny mak. Lampy gazowe, wielkie lampy lukowe wisiały potłuczone, porozbijane. Resztki tych szyb szklily się w ramach do słońca, tuż obok rozlepionych plakatów i odezw. Wybite szyby i plakaty, mnóstwo wybitych szyb i nie mniejsze mnóstwo porozlepianych wszędzie plakatów, dopiero razem wzięte pokazały miasto podzielone na dwa obozy. Lwów, jak w ruskim miesiącu, podzielony był na dwa obozy, a zasieki tego frontu biegly wzdłuż rozbitych szyb i wypróżnionych z towaru lad sklepowych, a także wzdłuż tych plakatów.

Najwyższym punktem tego miasta jest dawny Wysoki Zamek, kopiec patriotyczny, barokowe, rokokowe i gotyckie wieże kościołów, katedr i cerkwi, zielone szkarpy<sup>2</sup> wzgórz. Pola wdzierają się w miasto, żadnego „lasu kominów”! To właśnie zastanawia i uderza. Kominy kilku zakładów fabrycznych ukryły się jakby w dolinach: hangary lotniska ostrzej występują w panoramie miasta niż dachy fabryk. Lwów nie jest miastem przemysłowym.

<sup>1</sup>pisma lwowskie z pierwszych dni po zajęciach robią dziwne wrażenie; szuka się w nich opisów, relacji, wiadomości, a znajduje się odezwy — mowa o krwawo stłumionych zamieszkach antyrządowych we Lwowie w kwietniu 1936, mających początek w spacyfikowaniu przez policję demonstracji bezrobotnych i śmierci jednego z nich; podczas gwałtownych starć dwa dni później, w dniu pogrzebu jednej z ofiar, policja używała szabel i broni palnej, spokój zaprowadzono dopiero po wprowadzeniu na ulice wojska; zginęły dziesiątki ludzi, setki aresztowano; doniesienia prasowe ze Lwowa na temat tych zdarzeń podlegały ścisłej cenzurze rządowej. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>szkarpa — dziś popr.: skarpa. [przypis edytorski]

We Lwowie jest tradycja, są silne spory narodowościowe, jest patriotyzm, o którym piszą teraz wszystkie odezwy, jest dumne godło *semper fidelis*<sup>3</sup>. Partie socjalne we Lwowie były zawsze nacjonalistyczne wszystkich odcieni — silne, wpływowe. A jednak ten pochód, w którym szli ławą wszyscy, liczył nie tylko Polaków, liczył Ukraińców czy Rusinów, liczył Żydów, i polskie, ukraińskie, żydowskie imiona, Stanisławów, Wasylów i Mojżeszów, znajdziemy na liście rannych i aresztowanych uczestników pochodu.

Nie będę pisał o samym przebiegu pochodu. Mimo przeszkód posuwał się on właściwie szybko. Ludzie pokrwawieni i obdarci znaleźli się naraz w śródmieściu, na Legionów, na Akademickiej. O tej porze skończyły się już biura, a zapełniło korso<sup>4</sup> i kawiarnie. Muzyka grała w kawiarniach, i w okna tych kawiarni posypał się grad ciężkich kamieni. Wówczas już szyby zaczęto tłuc, jedne za drugimi, masowo, wszędzie. Gazety pisały, że była w tym jakaś sprawna organizacja, wskazywały na niszczenie aptek ze środkami leczniczymi i opatrunkowymi, ale ludzie lwowscy mówią na ogół zgodnie, że był to jakiś szal niszczenia. Na ulicy było pełno ludzi. Otóż ludzie ci patrzyli biernie i osłupiale, jak rozbijano szyby, jak wywracano zatrzymane tramwaje, jak podpalono stację benzynową, jak płomień jej buchał jaskrawo nad brukiem.

Te pierwsze akty demolowania miały przede wszystkim charakter niszczenia, nie grabieży. Jedyne, co ludzie z przedmieść raczą przeciwstawić słowom plakatów i dzienników, to uporczywe twierdzenie, że nie rabowano, nie grabiono, nie kradziono, tylko niszczone. Jedyne sprostowanie, jedyna odpowiedź, ale odpowiedź na wszystkich ustach. Nie jest to prawda, bo wypadki rabunku były, może były nawet liczne. Ale niezaprzeczalne jest, że akcja miała charakter przede wszystkim niszczycielski, a charakterystyczne i powszechne jest wybranie się od rabunku, a przyznawanie, niemal ostentacyjne, do niszczenia.

Wieczorem pojawiły się na ulicy patrole i oddziały, które nie natrafiły na żaden opór, przed którymi rozsypani uczestnicy pochodu ustępowali powoli. Jeszcze dwie godziny, a zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Wszystkie lampy były przecież rozbite. Nocy tej i dnia następnego, i jeszcze następnej nocy samochody policyjne robiły olbrzymie wypadki. Aresztowano na ulicy, aresztowano wedle listy notorycznych przestępców i wedle listy podejrzanych o komunizm i ONR<sup>5</sup>, aresztowano jakby dla udaremnienia nowego ataku: rzeczywiście, można było powiedzieć, że nowy atak, jeśli miał być, udaremniono. Ilu ludzi znalazło się w aresztach śledczych, nie wiadomo. „Ilustrowany Kurier Codzienny”, który podał cyfrę 600, w dwa dni później poprawił ją na 1000.

Pierwsze odezwy pojawiły się dopiero w sobotę. Szkła było pełno na ulicy, jeszcze można było znaleźć ślady krwi, jeszcze nie powstawiano nowych lamp. Strajk generalny się nie udał, bo pracowano w głównych zakładach miejskich, ale strajk generalny publiczności widać było na wszystkich ulicach. Miasto było jednocześnie puste i pełne, natłoczone gapiami i pozbawione przechodniów. Ludzie chodzili po mieście, krążyli po szlaku pogrzebowym, poznaczonym śladami walki. Tylko maszyny rotacyjne drukarni były niezamordowane odezwy. One jednak, one pierwsze korzystały z dziwnej koniunktury. Szkło podrożało w cenie, ale zaraz spadło; nie kupował go nikt, a jednocześnie krążyły pogłoski, że niebawem, w drodze urzędowej, władze sprowadzą zapasy tanich szyb.

Przez niedzielę, poniedziałek, podobno przez dni następne, jeszcze trwały masowe aresztowania, jeszcze jeździły wielkie policyjne samochody, ale tempo wypadków słabło. W szpitalach, zapełnionych jak więzienia, umarło kilku ciężiej rannych, dostawiono do nich szereg nowych rannych, okaleczonych i pobitych. Ale i to się skończyło. Produkcja odezwy i produkcja rezolucji wzmagala się za to coraz silniej. Radziło niepodległościowe „Zarzewie”, radzili profesorzy lewicowi i prawicowi, pisma z niezachwianą pewnością oceniały, komentowały, uzgadniały to, co zaszło, z tym, „co pisały i o czym przekonywały od dawna”. Skarżono się na zanik sił społecznych, na zwiotczenie sprężystości organizacji. A przecież, sądząc z plakatów, opierając się na odezwach, polegając na rezolucjach, mało które miasto może się w tej mierze, co piękny Lwów, powołać na swych kilkadziesiąt

<sup>3</sup>*semper fidelis* (łac.) — zawsze wierny. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*korso* a. *corso* — aleja spacerowa; szeroka, reprezentacyjna ulica, będąca miejscem spacerów i konnych przejażdżek, spotkań towarzyskich, autoprezentacji itp. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*ONR* — Obóz Narodowo-Radykalny, skrajnie prawicowe ugrupowanie polityczne o charakterze faszystowskim, założone 14 kwietnia 1934 przez młodzieżowych działaczy organizacji Obóz Wielkiej Polski, rozwiązane 10 lipca 1934 przez sanacyjne władze państwowe, potem działające nielegalnie. [przypis edytorski]

najrozmaitszych szanowanych, wpływowych, możliwych organizacji społecznych. Na tyle, na tak wiele.

Szara masa ludzka, masa z przedmieść, masa robotnicza i rękodzielnicza, dziś masa nędzarska, spłynęła pierwsza, jak wielka fala, przez miasto, w pyłe i okrzykach, w huku strzałów kierowanych ku płynącej nad głowami czarnej, krótkiej trumnie, spłynęła, zostawiając szlam połamanego żelaza, porozrzucanych kamieni, potłuczonego tupotem tysięcy nóg szklistego, ostrego żwiru. Fala władzy, jedyna, którą spotkała na drodze, wciśnęła się z powrotem w uliczki patrolami żołnierzy w stalowych hełmach, z bagnetami nasadzonymi na karabin, popędziła z hukami ciężkich, obładowanych i zamkniętych samochodów obławy policyjnej. Fala społeczna poszła po nich wszystkich trzecia, ostatnia. Papier plakatów i odezwo czernią słów i podpisów pozatykał także swoje sztandary, wołała także swoimi słowami. On może woła nawet najgłośniej. W słońcu majowym tego pięknego miasta, przez które przeszedł huragan, tylko plakaty, białe w słońcu, jasne na tle szarych czy żółtych domów, mają swobodę słowa, wołają głośno, swobodnie, pełnie. I wołają przeraźliwie, przeraźliwie pusto.

Kto mógł nagle, spod ziemi, spod bruku powołać legion proletariacki w tym mieście, które prawie nie ma robotników, w którym ruch socjalistyczny snuł się dotąd, anemicznie wciśnięty w rzeki nacjonalizmów, kto mógł przełamać się przez miasto? Niewiele fabryk, w tym kilka państwowych, uspołecznionych, jak monopolu tytoniowego. Robotnicy podzieleni na szereg związków zawodowych, rozbici na nacje. Mówią mi: młodzież. To prawda, że wszędzie było pełno młodzieży, z Zamarstynowa, z Persenkówki, z Podzamcza, z Łyczakowa, z Rogatek Janowskich. Może to „bluźnierstwo”, ale było jej tyle, ile w obronie Lwowa. Mówią o bezrobotnych. Kto są bezrobotni Lwowa? Mówią, że wielu murarzy. Otóż Lwów się nie buduje. Ruch budowlany Lwowa jest nikły, niezmiernie nikły. Ludzie nie budują we Lwowie. Dlaczego ludzie nie budują we Lwowie?

Trzeba przejechać za Park Stryjski. Na dużych, pięknych wzgórzach tego miasta zaczęta, niedokończona, urwana budowa nowoczesnej dzielnicy. To było zaraz po wojnie, to miała być dzielnica i nowoczesna, i polska, tu miała się skoncentrować polski wysiłek gospodarczy Lwowa, jak przedtem, w listopadzie, u stoków Cytadeli i Góry Kadeckiej skoncentrował się wysiłek orężny. Ta dzielnica się nie buduje. Przed wojną marzono o wielkim Lwowie. Wyciągnęły się w różne kierunki miasta szlaki ulic jak wysunięte konary drzewa. Konary te nie obrośli w gąszcz nowych gałęzi i odgałęzień. Widziane z góry, wyglądają dziś jak ręce wyciągnięte na całą swą długość ku czemuś, co miało przyjść, miało być, a nie było.

Lwów mówią jeszcze, że Lwów „gospodarczo usycha”. Gdy się patrzy na te ulice tak silnie, zdecydowanie wytyczone, ulice, od których nie odbiegły w różne strony rzędy dalszych ulic, widzi się prawdę tego usychania. Myślę o Krakowie, który buduje się nieprzerwanie, gdzie Błonia, Podgórze, Płaszów, Olsza otoczone są wieńcem nowych zupełnie osad, gdzie Bronowice ze wsi stają się przedmieściem, gdzie miasto sięga po Przegorzały i Bielany, gdzie narosły całe dzielnice małych domów, niskich, spokojnych, domów małych, spokojnych ludzi. Kraków przed wojną wapniał w muzealny stalaktyt, i to było, ostatecznie, w logice rozwoju. Kraków po wojnie rozrósł się niesłychanie. Lwów od wojny zastyga.

Lwów zastyga, i na tle ulic wyschłych, wyciągniętych daremnie ku dzielnicom, których nie ma, na widok okien wybitych i patetycznych plakatów, wieczorem, gdy sam tylko księżyc — ale za to jak teatralnie — oświeca barokowe fasady Rynku, czarną kamienicę wenecką, gzymсы kamienicy Sobieskich, Świętego Jura i Bernardynów, wszystko, co piękne i stare, uplastycznia się tak pięknie jak nigdy jeszcze. Właśnie dlatego, że wszystko wokoło smutne, zniszczone, zamarłe. Tylko w Bruges oddycha się pełną atmosferą przeszłości, tylko w Helsingør. I wtedy widzimy, że stary Lwów spogląda na nas barokiem miast włoskich i niemieckich, Norymbergą i Padwą, że jego Święty Jur patrzy tak samo rusko jak Ławra Peczerska Kijowa i święty monastyr poczajowski. Wtedy zobaczymy, że na szyldach lwowskich widnieją nazwiska angielskie i rumuńskie, mołdawskie i ormiań-

skie, żydowskie i niemieckie, wtedy zobaczymy, że Lwów, *semper fidelis*, był budowany przez amalgamat<sup>6</sup> narodów, języków i ras.

Miasta tak zbudowanego nie ma w Polsce. Wilno jest podzielone po prostu przez pół na to, co wschodnie, i na to, co zachodnie. Cerkiew Romanowska to czysta Moskwa; ceglana i czerwona św. Anna to gotyk nie tylko niemiecki, ale królewiecki, krzyżacki. Granica kultur idzie tam środkiem wileńskich bruków. We Lwowie nie ma nigdzie granicznych słupów. We Lwowie będzie romańska cerkiew Ormian, a barokowa kopuła św. Jura, będą Niemcy i Bizancjum pomieszane jak stragany na rynku. A nawet Niemcy to będzie grób krzyżackiego wielkiego mistrza, który odbył wyprawę w służbie... Rzeczypospolitej. Granica różnych kultur biegnie tu nie poprzez ulice, ale poprzez gzymsy tej samej budowli, tego samego kościoła, pałacu, cerkwi. Granica narodów tego kraju, jak o tym pisał w „Buncie Młodych” człowiek tutejszy, Stanisław Łoś, biegnie nie granią między dworskiej i chłopskiej, nie poprzez powiaty i gminy, ale poprzez środek łożnic małżeńskich. Głęboką *ratio*<sup>7</sup> tej ziemi, jej istnienia i rozkwitu, jest łączność wszystkich jej elementów. Lwów stopił w jedno kultury, które gdzie indziej skojarzyć się nie dały. Ten stop im bardziej był różnorodny, tym silniej trwał w politycznej polskości kraju, ale też utrzymanie, wznowienie tego stopu, jego amalgamatyczność jest kwestią życia i zniknięcia Lwowa.

Rano, gdy się przyjeżdża do tego miasta, gdy jeszcze nikogo nie ma, idą ulicami od przedmieść baby w chustach z bańkami mleka. Mleko bulgocze w bańkach rozstawionych w wagonach pociągów podmiejskich, a wagony Polskich Kolei Państwowych rozbrzmiewają mową do polskiej podobną, a niepolską. Codziennie z wieńca wsi ruskich nachodzi ten babski najazd i codziennie na targowiskach baby, roztawiając swoje mleko, kapustę i rzodkiewki, mówią mową niepolską. Wtedy redakcje biją na alarm, że pochód ruski wsącza się w centrum Lwowa.

Pochód ruski wsącza się w centrum Lwowa, jak się wsącza odwiecznie i wszędzie wieś do miasta. Pochód ruski wsącza się dziewczynami, które idą służyć w mieście, Kaškami Kariatydami<sup>8</sup>, ciężkimi, bezbronnymi, urodziwymi. Pochód niski wsącza się studentem, synem chłopca, a czasem nawet aż „urzędnikiem” — zazwyczaj... woźnym z magistratu. Pochód ruski jest przyjmowany i przerabiany przez miasto. Dziewucha zrzuci chustkę i będzie chodziła z żołnierzem, który jest Polakiem, student nie znajdzie dla siebie miejsca, woźny z magistratu będzie się bał, będzie miał rodzinę, będzie drżał o posadę, będzie głosował na BBWR<sup>9</sup>, modlił się w kościele, mówił po polsku. To jest prawda, i to także jest prawda, że miasto dzisiejsze robi wszystko, co można, aby tych ludzi wchłonąć bez śladu, ale z roku na rok wytryska szylk nowego ukraińskiego sklepu, nowej kooperatywy<sup>10</sup>, nowej *torgowli*<sup>11</sup>. Choć każdy stragan witają redaktorzy gromkim biciem w werbel.

I miasto się nie buduje. I miasto, które ma mało robotników, ma dużo bezrobotnych.

Ludzie lwowscy, ludzie z Małopolski Wschodniej, budują się w Krakowie. Nie ma ochotników na kolonizację na tym terenie, gdzie prócz tego, wedle wskazań polskich poważnych ekonomistów, przeludnienie i głód ziemi dosięga szczytu. Ludzie nie chcą mieszkać i budować się w bastionie. Miasto się nie buduje i nie będzie się budowało, póki trwać tu będzie nastrój niepokoju, walk, zamieszek ulicznych. Miasto się nie będzie budowało i nie będzie pracy dla tych ludzi, co tu już są, i tych ludzi, których co roku przybywa na przedmieściach.

<sup>6</sup>*amalgamat* — mieszanina różnorodnych składników (pierwotnie stop metalu z rtęcią). [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*ratio* (łac., r.ż.) — metoda, sposób. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Kaška Kariatyda* — bohaterka naturalistycznej powieści Gabrieli Zapolskiej z 1885: prosta, naiwna dziewczyna ze wsi, która w poszukiwaniu lepszego życia przyjeżdża do miasta i podejmuje pracę jako służąca. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*BBWR* — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, organizacja polityczna okresu międzywojennego w Polsce, utworzona w roku 1927 przez Walerego Sławka, skupiająca drobniejsze ugrupowania polityczne i grupy mniejszości narodowych w celu umocnienia obozu rządzącego po przewrocie majowym. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*kooperatywa* (daw.) — spółdzielnia. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*torgowla* (ros.) — handel. [przypis edytorski]

## ŚLUBOWANIE

Znacie taki obrazek, tani, pocztówkowy, a miły, Wojciecha Kossaka<sup>12</sup>, dzieci lwowskich z obrony Lwowa? Jest chłopiec w za dużym szarym szynelu<sup>13</sup>, nachylony cały nad karabinem, stoi nad nim młodzianka dziewczyna ładująca inny karabin, są groby i brzozy Cmentarza Łyczakowskiego, śnieg poplamiony rudą krwią i błotem, a oni wypatrują coś przed sobą szerokimi, dziecinnymi, zdziwionymi tą śmiercią, która w ich rękach i w ich karabinach skurczyła się w mały kawałek ołowiu, oczami? Więc teraz tacy sami chłopcy i akurat takie same dziewczęta wysypują się z wagonów ustawionych szerokimi rzędami po wszystkich torach za małej na nie stacji. Wysypują się, jak to się widzi z żołnierzami na manewrach, niekiedy nawet formują się w szeregi i wtedy dopiero ruszają dalej. Jest może zaledwie trzecia rano na tej stacji, którą o tej porze mijają tylko zaspiane dalekobieżne pociągi. Teraz takich pociągów nadzwyczajnych, jak ten, co właśnie nadszedł, przybyło lub przybędzie jeszcze dwadzieścia jeden. Na dworze już zupełnie jasno, tylko nie ma słońca i nie ma ludzi na ulicach. W to śpiące miasto, grupami, kupkami, gromadami, wchodzi teraz ci młodzi, jeszcze raz jak jakieś wojsko obce, wkraczające do opustoszałego miasta. Jakieś sztandary zwinięte i okryte pokrowcem przewozi dorożka. Spod dworca wypływa coraz więcej ludzi. Z mostu przerzuconego nad torem widać nowe zajeżdżające pociągi.

Ten tłum, który mnie ogarnia i mija, składa się z twarzy szarych ze zmęczenia i bladości. Ale to nie tylko noc spędzona w wagonowym tłoku. Pod ubraniami odgaduje się piersi wklęsłe, niezdrowe, ramiona nieobrosłe mięśniami, plecy wcześniej zgięte. Odgaduje się złe odżywianie i biedę, życie nie tylko biedne, ale wadliwe. A oto co dziś jest w Częstochowie, to naprawdę największe, jak Polska Polską jeszcze niespotykane, skupisko młodzieży akademickiej<sup>14</sup>. Tylu razem nie było ich jeszcze nigdy i nigdzie. Można więc dokonać przeglądu młodego inteligenckiego pokolenia, ale ten przegląd nie wypada wesoło. Nie trzeba być lekarzem, nie trzeba być oficerem z komisji uzupełnień, nie trzeba było być w Niemczech, Czechach, Austrii, wszędzie na Zachodzie, widywać tam takimi samymi wczesnymi niedzielnymi rankami wysiadające tłumy młodych ludzi idących na wycieczkę. Tamte rumiane, młode twarze, tamte postacie smukłe, wystrzelające w górę, wyprostowane w strunę, markowana krokiem sprężystość kolan, harmonijny, sportem urobiony ruch silnych ramion znaczą przerażającą fizyczną różnicę, jaka dzieli naszą młodzież od młodzieży całej niemal Europy. Wszystko, co widywało się za granicą, mówiło o trzecim dziesięcioleciu powszechności sportu, o rannej gimnastyce, o niedzielnych wycieczkach, o nartach, górach, morzu, słońcu i skautingu, o bieżniach i boiskach, o wielkich elipsach stadionów. Wszystko, co się widzi tutaj, mówi nie tylko o biedzie, mówi o życiu złym, źle zorganizowanym, nieumiejętnym, mówi o braku wszystkiego tego, co szeroko było danym tamtym. Przypomina się wtedy, że chłopcu na obrazku Kossaka i dziewczynie, co ładuje karabin, nie zbywało na błądź i zapadłość policzków, że to, co się tak jasno paliło w ich oczach, to może była nie tylko heroiczna gorączka walki, ale smutniejsza gorączka suchot. Tylko że wtedy, w 1918 roku, staliśmy dopiero na progu nowego, własnego życia. Teraz odeszliśmy już od tego progu daleko. Lwowski listopad zamienił się w legendę. Blade, mizerne dziewczyny, niezdrowi, cheralwi chłopcy nie przeszli, niestety, do legendy.

Do legendy, książki z obrazkami i filmu nie przeszli także, jak się okazuje, inni jeszcze chłopcy. Oto wśród tego tłumu, spływającego od dworca, migocą nagle szamerowania złote i srebrne, pętlice i naszywki, mundury czerwone jak maki, niebieskie, ciemnozielone, białe, z szarfami i wstęgami przez pierś. Wygląda to, jakby w jakimś kinie na przedmieściu weszli nagle w tłum widowni bohaterzy ekranu, bohaterzy jakiegoś ame-

<sup>12</sup>Kossak, *Wojciech* (1856–1942) — malarz, specjalizujący się w obrazach historycznych i batalistycznych, syn malarza Juliusza Kossaka. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>szynel — mundurowy płaszcz wełniany, noszony przez wojskowych, policjantów oraz urzędników w Rosji w XIX i na pocz. XX w. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>co dziś jest w Częstochowie, to naprawdę największe (...) skupisko młodzieży akademickiej — autor opisuje Akademickie Śluby Jasnogórskie, które miały miejsce 24 maja 1936; do zespołu klasztorowego na Jasnej Górze w Częstochowie przybyło wówczas ok. 20 tys. osób z polskich środowisk akademickich, a zgromadzona młodzież złożyła uroczyste ślubowanie, przyrzekając m.in. kierowanie się wiarą w życie „społecznym, narodowym i państwowym” oraz „synowską uległość dla Stolicy Apostolskiej”, co spowodowało liczne komentarze i polemiki prasowe. [przypis edytorski]

rykańskiego filmu o gwardzistach wielkiej księżny Gerolstein, huzarach króla Panonii, kirasjerach Monaka. Pawie pióra i pawie barwy zgubione na chłopskim podwórzu. Porównanie z królestwami imaginacyjnymi<sup>15</sup> nie jest takie nieścisle. Arkadia, Demetria czy Akwilonia z korporanckiego spisu to nazwy, którymi reżyseria filmowa mogłaby śmiało zastąpić swoje również nieistniejące Panonie i Astorie. Kilkadziesiąt polskich burszenszafów<sup>16</sup> wystąpiło w Częstochowie z niebывалым przepychem już nie dekli, ale mundurów. Ci ludzie, opięci jak prawdziwi huzarzy, wcięci w pasie jak osy, noszą jakieś ogromne rapierzyska<sup>17</sup> z gardami z aksamitu. Sztandary korporacyjne ze wspaniale wyhaftowanymi herbami, herbami dzielonymi na szereg pól i poetek, jak w heraldyce niemieckiej, lśnią jeszcze wspanialej niż mundury. Zastanawiam się, czy pod tymi szamerunkami i złociściami, szarfami i pętlicami kryją się przynajmniej lepiej zbudowane klatki piersiowe. Niestety, mam wrażenie, że niejeden mundur sztukuje grubą warstwą krawieckiej waty niedostatek rycerskich mięśni, smętne ubóstwo bicepsów.

— Obóz idzie!

Przechodzień ustępuje automatycznie na te słowa, wypowiedziane nie krzykiem, ale głośnym rozkazem. Istotnie ulicą wali ósemkami kilkudziesięciu ludzi. Mieczyki Chrobrego błyszczą w klapach.

— Niech żyje Obóz Narodowy!

— Niech żyje. Niech żyje.

To jeszcze nie jest entuzjazm tłumów. Jest zresztą piąta rano. To ci z tej młodzieży, którzy jedni przybyli tu zorganizowani i karni. Odpowiadają im tylko inni zorganizowani. Oddział kroczący przecina niegęsty tłum krótkim mieczem swego przejścia. Nieco rąk podnosi się po faszystowsku. Kilkanaście kroków dalej znowu to samo. Za tymi, co przeszli, idzie nowa kolumna mieczyków.

— Niech żyje Obóz Narodowy!

Znowu to samo. I znowu tak samo i to samo:

— Niech żyje. Niech żyje.

Trzy, cztery, pięć razy to samo. Aż naraz z jakiegoś boku wydziera się nie zareżyserowany jeszcze, krzykliwy, suchotniczy głos:

— Niech żyje Polska narodowa, precz z Żydami!

Ale teraz masy są już rozgrzane, rozhuśtane. Wznosi się z wielu, ze wszystkich stron, spływające w jedno:

— Preeeecz!!!...

\*

Jasna Góra to otoczony szerokimi wałami dawnej twierdzy klasztor-zamek, barokowy kościół, przy nim duża osobna kaplica, ciemna i mroczna, w której w ołtarzu pośród srebrnych wot wisi cudowny obraz. Kościół jest w tej chwili pełen akademików<sup>18</sup>, klęczących w ławkach, wystających przy konfesjonalach, przy ołtarzach, jedna za drugą odprawiają się msze, przez sam środek kościoła zmienia się ustawicznie dwuszereg klęczących, pomiędzy którymi przechodzi dwóch księży w białych paulińskich habitach, rozdając komunię świętą. Trzeba wiedzieć, że ten obrzęd nie ma odpowiednika w żadnej religii świata, że to nie mistyczne, ale prawdziwe ciało Chrystusa pod postacią chleba przyjmuje katolik. Teraz ten tłum z dworca klęczy tutaj, z rąk księży otrzymuje sakrament.

Ci ludzie klęczą teraz, podnoszą głowę na zbliżenie się księdza, odchodzą po komunii, kryjąc twarz w dłoniach. Barwnych korporantów<sup>19</sup> nie ma prawie wcale. Błede twarze tych ludzi są teraz skupione, przeżywające. Ci ludzie naprawdę pielgrzymowali tu, i ci ludzie, przyszli doktorzy, architekci, sędziowie, nauczyciele, najoświecześniejsza część młodego pokolenia, przyszła inteligencja narodu wierzy i daje wyraz swej wierze, tak jak ci chłopci,

<sup>15</sup>imaginacyjny — będący wytworem wyobraźni, fantastyczny. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>burszenszaft (daw., z niem.) — stowarzyszenie studentów o charakterze samokształceniowym i politycznym. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>rapierzysko — zgrub. od *rapier*: długa broń obosieczna z osłoną dłoni w kształcie kosza drucianego. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>akademik (daw.) — słuchacz akademii lub uniwersytetu, student; profesor uniwersytetu. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>korporant — członek korporacji, zwykle korporacji akademickiej. [przypis edytorski]

baby wiejskie i zwiędłe dewotki wmieszane w tłum młodzieży. Ta masa, olbrzymia, przez ten kościół jak przez wielki cembrowany kanał przepływająca masa, każdy ludzki atom tej masy wierzy w to, że właśnie w tym momencie pod postacią opłatka, pszennego ciasta, mąki zmieszanej z wodą, tak jak dziś jeszcze w Palestynie i na całym Wschodzie przyrządza się chleb, kryje się Bóg i do nich przychodzi. Ta wiara, trudna, niepojęta i dziwaczna dla każdego spoza tej religii, jest dla nich w tym momencie czymś zupełnie zrozumiałym, oczywistym i prostym.

Myślę o tym i myślę, że trzydzieści lat temu trzeba było przystępowanie do komunii świętej w Kościele katolickim szczególnie ożywić, że z tego sakramentu, który w swej niezwykłości uczyniono rzeczą wyjątkową i rzadką, starano się uczynić na nowo *panem quotidianum*<sup>20</sup> jak za czasu mrocznych agap<sup>21</sup> niewolniczych w kryptach katakumb. Temu lat dwadzieścia była to forma religijności niemal ginąca, zacieśniająca się do chłopów z odległych od miast stron, takich samych jak owi wiejscy pagani<sup>22</sup> schyłkowych wieków cesarstwa rzymskiego, którzy byli ostatnią ostoją ginących bogów łatyńskich, do kobiet, znowuż tych kobiet, które najdłużej w średniowiecznej Polsce wynosiły cichaczem za próg domów wieczorne ofiary egzorcyzmowanym przez nową wiarę bożętom<sup>23</sup>. Teraz niepodobna nie wiedzieć, że ci wszyscy młodzi i wykształceni wierzą tak samo jak chłopci i kobiety, że spełniają ten obrządek, dziwny dla obcych kręgowi chrześcijaństwa. Przez kościół przesuwają się tłumy.

Kilka lat temu, w „Przeglądzie Powszechnym”, młoda panna pisała o postępującym wzroście religijności młodego pokolenia. Cytowała cyfry. Religijność trudno jest wymierzyć cyfrowo. Młoda panna cytowała rosnące istotnie z roku na rok cyfry odprawiających doroczne rekolekcje, mniej ściśle już wyliczone cyfry rekolektantów przystępujących po zakończeniu rozmyślań do komunii świętej. Cyfry były imponujące jako cyfry. Powiedziałem jej wtedy, że jednak istnieją jeszcze inne cyfry, które odmierzają postępy religijnienia młodzieży akademickiej, ale w odwrotnym kierunku. Statystyka policyjna dorocznych rozruchów antysemitycznych mówi, że stają się one coraz częstsze, coraz dłuższe w swym przebiegu, coraz więcej zostawiają ofiar i więcej ogarniają uczestników.

Niewątpliwie najciemniejszą epoką Polski była ta, kiedy najwięcej przeklepano różańców, i znowuż niewątpliwie w tej epoce Częstochowa należy do miejsc, gdzie czyniono tego najwięcej. Ale trudno tego zapomnieć, że nie tylko czad złej religijności padał stąd na dusze ludzkie. Niedole, dla których nie znajdowano na świecie innego wyjścia, smutki bez innego pocieszenia, najgłębsze bólesci ludzkie całych wieków i całych pokoleń kładły się i ścieliły u stóp tego obrazu. Niewątpliwie nigdzie tak silnie jak tu nie paliła się w tym kraju ustawiczną lampą wiara w istnienie absolutu, czegoś ponad światem, wyższego porządku rzeczy, ostatecznej sprawiedliwości. Na przestrzeni dziesięciu wieków zorganizowanego jako tako życia w tym kraju wiara ta była jedyną myślą, ideą, która dotarła powszechnie i głęboko, i w tym kraju, gdzie wszystko z obcęg myśli się wymyka, potrafiła stosunkowo powszechnie to wszystko w nie objąć. Jedno tylko pozostało dla niej, jak dla wszystkich innych idei, nieprzenikalne — działania ludzkie.

Częstochowa stała się kiedyś kamieniem, na którym oparła swe stopy padająca w przepaść Rzeczpospolita Polska szwedzkiego „potopu”, który przypomina tu o sobie kulami działowymi wmurowanymi w ściany klasztoru, nie chciała walczyć za króla, nie stanęła jak w roku 1920 w obronie stolicy, oddała wszystko. Mała twierdza i nie najpierwsze wówczas jeszcze miejsce pielgrzymek w Polsce stawiało czoło i zorganizowało opór szerokich mas ludowych. Jest faktem, że ksiądz Kordecki ze swoim krzyżem powiódł do boju większe masy chłopskie, niż to uczynił Kościuszko swą sukmaną, Traugutt — manifestem. W sto lat wszystko ułożyło się inaczej. Kult Częstochowy był wtedy w Polsce niezawodnie silniejszy, a jednak wojska Kreczetnikowa łatwo zdobyły twierdzę na konfederatach barskich. Niewątpliwie czarna karbowana peruka Jana Kazimierza, z której na-

<sup>20</sup>*panem quotidianum* (łac.) — chlebem powszednim. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*agape* (z gr.) — uczta, wspólny posiłek chrześcijan na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*paganus* (łac., lm: *pagani*) — wieśniak, mieszkaniec wsi; od tego słowa pochodzi deprecjonujące określenie „poganin”, używane przez chrześcijan wobec wyznawców religii niechrześcijańskich (chrześcijaństwo przez długi czas rozpowszechniało się głównie w miastach, mieszkańcy terenów wiejskich pozostawali przy dotychczasowej wierze). [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*bożęta* — słowiańskie opiekuńcze duchy domowe, zapewniające dostatek, często wywodzone od dusz zmarłych przodków. [przypis edytorski]



trząsali się rokoszanie Lubomirskiego, była obca światu podgolonych łbów szlacheckich, ale niewątpliwie pudrowany Stanisław August był im jeszcze bardziej obcy, i dlatego szabla rosyjska zdołała tak bezgłośnie przeciąć łączność sił religijnych z ginącym państwem polskim. W sto i kilkadziesiąt lat potem rekruci z tych stron mieli nieść na pole walki obrazki z Jasnogórską, zaszytą w sukno szkaplerzy<sup>24</sup>. Byli to żołnierze Mikołaja II<sup>25</sup> idący pod Mukden<sup>26</sup>, a ich szkaplerze spotykały się na polach mandżurskich z ikonami innych żołnierzy tej samej armii.

\*

Jest już dziesiąta rano i wśród bicia dzwonów wysuwa się z kościoła procesja sztandarów akademickich, księży, delegatów młodzieży, rektorów uczelni. Procesja przechodzi szerokim wałem okalającym dawną twierdzę. Akademicy niosą cudowny obraz, ten sam, którym kiedyś zażegnawano wojska Karola Gustawa. Na murach ustawiony jest wielki ołtarz, a tuż pod murami szeroki plac podszczytowy załalo morze głów. Do akademików dołączyły się olbrzymie procesje chłopskie. Te masy chłopów i masy młodych inteligentów przyjmują, klęcząc, obraz, ściemniały od wieków, posuwający się na wałach, niesiony na ramionach młodych. Przed ołtarzem, na którym spocznie, odprawiona będzie msza święta przez kardynała prymasa Polski. Będzie to chwila uroczystego ślubowania olbrzymich mas młodzieży akademickiej na wierność. Ślubowania czego?

\*

Msza prymasowska i kardynalska śpiewa swoje, te same co msza w wiejskim mówiona kościele, odwieczne łacińskie słowa. Pierwszy raz powiadał je tu na złomach uroczystych dębów św. Wojciech — i jej słowa są to jedyne słowa, które brzmiały w tym kraju tak samo przed tysiącem lat, co dzisiaj. Olbrzymi tłum młodzieży słucha kazania, które mówi o szczególnej uroczystości tej chwili. Słucha pisma delegata papieskiego, które mówi o tej samej uroczystości. A potem przez wielkie głośniki płyną czytane przez biskupa słowa przysięgi na wierność Matce Boskiej, patronce młodzieży akademickiej, że:

zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej wierze Kościoła katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej; że wiary naszej bronąć i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym, państwowym; że z wszelką usilnością szerzyć będziemy cześć i nabożeństwo dla Ciebie; że każdego roku w uroczystej pielgrzymce przychodzić będziemy na Jasną Górę jako wybrani synowie Twój do stóp Matki naszej umiłowanej.

Bardzo dużo. Albo bardzo mało.

\*

Teraz następuje wielka minuta ciszy. Radio ogłasza, że prymas udzieli papieskiego błogosławieństwa. Olbrzymi tłum na placu klęka. Stoi tylko kardynał Hlond w otoczeniu asysty. Tuż przed nim, plecami do tłumów u stóp twierdzy — kilku młodych ludzi. Są to czołowi przywódcy wycieczki, ale ich nazwiska masom studenckim są mniej znane z sodalicji<sup>27</sup> mariańskich niż z wielkich ruchów politycznych.

<sup>24</sup>szkaplerz — dwa małe kawałki materiału z imieniem lub wizerunkiem Matki Boskiej lub Chrystusa, połączone tasiemkami, noszone na piersiach, pod ubraniem; sukienki szkaplerz bywa zastępowany medalikiem. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Mikołaj II Romanow (1868–1918) — ostatni cesarz rosyjski, król Polski, wielki książę Finlandii; panujący od 1894, w wyniku rewolucji lutowej zmuszony do abdykacji w 1917, w 1918 razem z rodziną zamordowany przez bolszewików. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>bitwa pod Mukden (19 lutego–10 marca 1905) — ostatnia z głównych bitew lądowych podczas wojny rosyjsko-japońskiej, stoczona w pobliżu miasta Mukden w Mandżurii, zakończona klęską armii rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>sodalicja (z łac.) — katolickie stowarzyszenie religijne skupiające osoby świeckie. [przypis edytorski]

Przez chwilę, przez mgnienie oka wydaje się, że jasne, spokojne oczy prymasa patrzą w oczy tych ludzi. I ci ludzie także patrzą w oczy najwyższego autorytetu kościelnego w Polsce. Trwa to ułamek chwili, bo oto ręka kardynała podnosi się i pocznie błogosławić — ale ten ułamek sekundy ma swoją wymowę.

— Widzisz — mówiły oczy tych ludzi. — Jesteś dziedzicem św. Wojciecha, który ten kraj chrzcił, twoi poprzednicy byli interreksami<sup>28</sup>, oni rzucali kłątwy lub wkładali korony na głowy jego królów. Ty jesteś najwyższym autorytetem kościelnym w Polsce dzisiejszej, i oto dlatego przed Tobą stoją masy polskiej młodzieży inteligenckiej, przyszłej najoświecenijszej, w dzisiejszym ustroju największy wpływ na rządy krajem wywierającej warstwy społecznej. Ty wiesz i my to wiemy, i wszyscy to wiedzą, że takie masy młodzieży nie przybyły jeszcze i nie przybędą skłonić głowy przed żadnym innym autorytetem w tym kraju, nawet kiedyś przed Belwederem, nawet dziś przed Wawelem, bo wszystkie inne autorytety znajdują je rozdzielone, różniące się, skłócone. Takie masy młodzieży inteligenckiej w Polsce 1936 roku odnajduje się tylko u stóp Jasnej Góry, u stóp tego obrazu i przed Tobą, biskupem katolickim. Tych, co tu przybyło, jest dwadzieścia tysięcy, i tych dwadzieścia tysięcy to przeszło połowa młodzieży inteligenckiej w całej Polsce. Policz, ilu nie mogło przybyć z tak daleka. Potem spojrzysz na nas. Zobaczysz na naszych piersiach znak ruchu politycznego, mały mieczyk, z którym szli ci młodzi. Ta młodzież poszła za nami, i to myśmy ci ją przyprowadzili.

W oczach prymasa było milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

— Wiemy, że stanąłeś od nas z dala, że chcesz od naszego ruchu odciągnąć kościół i uczynić go innym ruchom w tej samej mierze dostępnym, czy raczej żadnemu z nich w pacht<sup>29</sup> nieoddanym. Wiemy, że temu *cesarzowi*, którego my zwalczamy, oddajesz wszystko co *cesarskie*. Wiemy, wiemy wszystko. Ale Ty także wiesz, że wszystkie ruchy młodych kierowane przeciw nam są kierowane i przeciw Temu, co Ty reprezentujesz. Ty wiesz tak samo dobrze, jak my to wiemy i jak wszyscy w tym kraju to wiedzą, że wszystkie Legiony Młodych<sup>30</sup> i Straże Przednie<sup>31</sup>, i wszystko, wszystko inne było organizowane i prowadzone przeciw Tobie. Ty znasz najlepiej drogi, na które odprowadza się wszystko — prócz nas. I dziś możemy Ci powiedzieć, że te masy, które tutaj, pomimo tamtych prac szyfrowych, przed Tobą stoją — myśmy Ci je tylko powiedli, wbrew tamtym, tylko my, choć z nami nie jesteś.

W oczach prymasa było dalej milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

— Wiemy, że w myślach Twoich ścigasz widok innego katolicyzmu na Zachodzie, wiemy, że chciałbyś go mieć w Polsce, wiemy, że tamten katolicyzm jest katolicyzmem młodych i intelektualistów. Tu masz przed sobą taki katolicyzm, ale ten polski katolicyzm jest jeszcze katolicyzmem mas. Tego na Zachodzie dziś nie ma. Jesteś jedynym autorytetem kościelnym, przed którym to, co młode, i to, co się kształci, korzy się tak jak teraz. I to także rozważ i oceń.

W oczach prymasa było ciągle milczenie. Oczy wodzów mówiły dalej:

— Ty wiesz, jakie są nasze hasła, jaki nasz program, jakie zamierzenia przyszłości. Ty wiesz, że jest w nich miejsce na nienawiść, nie mniejszą od tej, jaka huczy za zachodnimi brzegami Twej diecezji. Musiały Cię dobiec nasze okrzyki z rana, hasła wypisane na niejednym pociągu. Znasz walki i zaburzenia, z których wyrosliśmy na przywódców tłumu. My nie wiemy, co Ty o tym sądzisz. Kościół katolicki ma w swych szeregach kardynałów Faulhaberów<sup>32</sup>, którzy płaszczem swej duchowej godności i puklerzem przykazań Bożych okryli przed innym nacjonalizmem skopane „Judentum”<sup>33</sup> Izraela. Kościół katolicki

Religia, Antysemityzm

<sup>28</sup>*interreks* a. *interrex* (łac.) — osoba zastępująca króla w okresie bezkrólewia, regent; w Rzeczypospolitej Obojga Narodów funkcję tę pełnił prymas Polski. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*pacht* (daw.) — dzierżawa. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Legion Młodych* — radykalna pilsudczykowska organizacja młodzieżowa, utworzona w celu zwalczania wpływów opozycji (zwłaszcza endecji) na wyższych uczelniach; głosiła ideologię skoncentrowaną na służbie państwu, antykapitalistyczną, antykomunistyczną i antyklerykalną. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Straż Przednia*, właśc. *Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”* — sanacyjna organizacja wychowania patriotycznego, założona w 1932, skupiająca młodzież szkół średnich, głównie gimnazjów i liceów ogólnokształcących. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Faulhaber, Michael von* (1869–1952) — niemiecki duchowny katolicki, kardynał; główny autor wydanej w 1937 encykliki Piusa XI *Mit brennender Sorge*, która ogólnie potępiała nacjonalizm. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Judentum* (niem.) — żydostwo. [przypis edytorski]

ma pralata Prądyńskiego, którego zdaniem antyżydowskie zarządzenia nowych Niemiec stoją w przedziwnej zgodności z postanowieniami konstytucji apostołskich i synodów. My nie wiemy, komu jesteś bliższy, Prądyńskiemu czy Faulhaberowi. Ale ta młodzież, która stoi masą tysięcy przed Tobą, jest bliższa Prądyńskiemu. I ty, prosimy Cię, bądź bliższy Prądyńskiemu.

I jeszcze milczenie. W jakichś oczach czai się śmielszy błysk:

— ...bo inaczej ci młodzi mogliby odejść...

Ale w większości oczu panuje wahanie:

— ...lub, jeśli Ci trudno, milcz. Twoje milczenie będzie nam wystarczało...

Co może w takiej chwili myśleć następca św. Wojciecha? Przed sobą, jak Chrystus z wysokiej góry, widzi ukazywane mu królestwa dusz. Te królestwa są najbardziej pożądane przez każdą religię. Być może, prymas widzi w tej chwili i innych biskupów, którzy przed nim wznosili dłoń błogosławieństwa nad pochodem Franków, Cherusków, Longobardów i Gotów<sup>34</sup>, i nim tym ludziom ponieśli naukę, kreślili nad nimi znak krzyża. I teraz szerokim, pewnym ruchem ręki kreśli ten sam znak nad tłumami tam w dole. Ludzie klęczący przyjmują błogosławieństwo papieskie. Msza jest skończona i zaraz wychodzi nowy ksiądz z mszą. Prymas, obaj biskupi odeszli do klasztoru. Dochodzi jedenasta, jest skwar, upał i słońce. Przez głośnik zapowiedziano, że odbywać się tu będą jeszcze msze, że plac jest w ten sposób świątynią i że należy zachowywać się na nim jak w świątyni. Aż z rogów placu bucha okrzyk podchwycony przez setki głosów, jeden, drugi. Znowu z innej strony. Znowu z innej. Jakaś orkiestra gra *Hymn młodych*. Okrzyki nie ogarniają nigdy całego tłumu. Rozszarpują go, wyrwywają zeń, jak szmaty, części krzyczące. Plac pod klasztorem jest już jak sejmik z czasów saskich. U góry, pod baldachimem i przed obrazem, ksiądz odmawia tymczasem ciche modlitwy mszy:

— *Introibo ad altare Dei...*<sup>35</sup>

— ...*ad Deum qui laetificat iuventutem meam*<sup>36</sup>.

Ale gdy się zejdzie na dół, widzi się, że wśród zgielku i krzyków są ludzie milczący, którzy na zdeptanej trawie po dawnemu klęczą. Nie, tych ludzi w olbrzymiej większości nie przyprowadziła żadna partia, żaden mieczyk. Ci ludzie dziś nie oprą się żadnym okrzykom, choć nie podchwywają żadnych. Teraz jeszcze tylko się modlą.

\*

Katolicyzm polski zajmuje w katolicyzmie świata zupełnie odrębne stanowisko.

Są kraje, Francja przede wszystkim, gdzie katolicyzm stał się wąską strugą wijącą się wśród współczesnego życia, gdzie masy nie są katolickie, bywają antykatolickie. Katolicyzm jest tam doktryną nielicznej, młodej, intelektualnej elity, oddzielił się od prądów nacjonalistycznych i prawicowych, choć bez wątplenia nacjonalizm tych prądów był dużo mniej skrajny niż nacjonalizm innych krajów. Katolicyzm przerzucił się tam na dół społeczne, zaczyna się wdzierać w ruch robotniczy, godząc tu swoje dogmaty z ich socjalnymi postulatami. Są dalej kraje zeszlowieczne, jak Hiszpania przede wszystkim, gdzie katolicyzm jest religią mas szerokich, ale najciemniejszych, religią starszych roczników, religią ludzi i warstw społecznych nie dynamicznych już, lecz statycznych.

Otóż Polska jest między tymi dwiema — i na razie bliżej Hiszpanii.

Polska nie utraciła jeszcze charakteru kraju o katolicyzmie statycznym, nie zyskała charakteru kraju o katolicyzmie dynamicznym. Polska stara się przemieniać pierwszy w drugi. Przynajmniej to można uważać za zadanie katolicyzmu w Polsce. Są ludzie,

<sup>34</sup>biskupów, którzy (...) wznosili dłoń błogosławieństwa nad pochodem Franków, Cherusków, Longobardów i Gotów — Frankowie, Longobardowie i Goci to ludy germańskie, które najeżdżały Imperium Rzymskie i które wcześniej czy później przyjęły chrześcijaństwo; w przeciwieństwie do nich germańscy Cheruskowie, przeciwnicy Juliusza Cezara, którzy unicestwili trzy legiony rzymskie w bitwie w Lesie Teutoburskim za czasów Augusta, pod koniec I w. stracili na znaczeniu i zniknęli z historii, zanim rozpoczęły się misje chrześcijańskie poza państwem rzymskim. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Introibo ad altare Dei...* (łac.) — Przystąpię do ołtarza Bożego (fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez kapłana). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*ad Deum qui laetificat iuventutem meam* (łac.) — do Boga, który rozwesela młodość moją (fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim, odmawiany przez ministrantów jako odpowiedź). [przypis edytorski]

którzy sądzą, że tę przemianę można przeprowadzić drogą „wypracowania” jakiegoś katolickiego ustroju gospodarczego czy wywieszenia „katolickich czerwonych sztandarów”, wszystko jedno jakich, byle nęcących świeżością haseł tłumi. Mam wrażenie — że nie.

Nie wydaje mi się możliwe wiązanie katolicyzmu, wielkiej religii, z pewnym jednym typem ustroju gospodarczego, korporacyjnego czy jakiegokolwiek bądź innego. Ustroje gospodarcze są zbyt płynne, zbyt poddane koniecznościom życia, aby można było ustalić, że taki właśnie, a nie żaden inny jest sparagrafowaną Ewangelią. Nie wydaje mi się celowe „ożywianie się” przy pomocy „haseł czerwonych”. Natomiast wydaje mi się celowe dbanie, aby wszystkie formy życia społecznego, gospodarczego narodów starać się uczynić bliższymi pojęciom chrześcijańskim. Tylko to i nic więcej, ale to już do końca. I na tej drodze trzeba będzie pójść śladami *Kazań adwentowych* monachijskiego kardynała. Trzeba będzie wybrać między Faulhaberem a Prądzyńskim. Trzeba będzie powiedzieć, czego nie wolno, przypomnieć naruszone i naruszane Boże przykazanie.

Od Częstochowy ślubowań akademickich są tylko dwie drogi. Do Faulhabera, do katolicyzmu młodej Francji — to jedna. Do czasów saskich — to druga. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny” — śpiewa chór modlących się przed cudownym obrazem. „Od nagłej a niespodziewanej śmierci”. „Od sideł szatańskich”. „Od ducha nieczystego”. Nic się w tych słowach z czasów Kochanowskiego nie zmieniło i starsze są one na tej ziemi od wszystkich hymnów narodowych. Dziś do litanii polskich przybyła nowa zwrotka o patronce młodzieży akademickiej. W tym kościele chciałoby się do modłów o ochronę przed niebezpieczeństwami grożącymi dodać także, choćby nie wierząc, jedno: „Od powrotu czasów saskich, od powrotu saskiej religijności i saskiej wiary zachowaj nas, Panie”.

## ŻÓŁCI LUDZIE Z ŁODZI

Człowiek, który miał mnie tu spotkać, zatrzymał mnie w drodze, gdy szedłem, zapytał, czy ja to właśnie jestem ja, po czym poinformował krótko, że znowuż on to jest właśnie on. Powiedział mi także, że wiedząc, którędy będę musiał przejść, wołał spotkać mnie tu niż na „podpunkcie”. Nie bardzo wiem, co to jest „podpunkt” — spotyka się to słowo w sprawozdaniach z procesów komunistycznych, ale pierwszy raz widziałem endecka<sup>37</sup> mówiącego o podpunktach. Nie wiedziałem i nie wiem dziś jeszcze o nim więcej jak to, że mnie z nim skontaktowano, że zajmuje poważne stanowisko w łódzkim bojowym aktywie, że prowadzi na tym terenie robotę. W chwili, gdy to piszę, przypominam sobie, że „aktyw” i „roboty” to także słowa z nieendeckiego zaczerpnięte słownictwa, ale że słyszałem je teraz wielokrotnie właśnie z ust endeckich i że do tych ludzi, których spotkałem w Łodzi, słowa te pasowały.

Tego dnia poszliśmy razem wolnym spacerowym krokiem niedzielnych przechodni. Potem siedliśmy do tramwaju, i miałem go dłuższą chwilę, milczącego, naprzeciw. Był niewysoki i nieniski, nieszcupły i niegruby. Wyciągnął przed siebie na kolana ręce krótkie, niezdarne, ciężkie. Był zupełnie nijaki. Widziałem różnych agitatorów, działaczy, zgoła hieny roboty partyjnej i burdziarzy. Nigdy nie spotkałem wśród nich człowieka, z którego emanował tak wielki, tak zupełny spokój, tak w sobie zwarte najmocniej opanowanie, tak różne od tego, co mówił. Czy to on rzucał bomby do sklepów łódzkich, zakładał petardy, których eksplozja zgasiła życia ludzkie? Może on, może nie on, ale to pewna, że o tych rzeczach ten człowiek musiał chyba wiedzieć bardzo dobrze. Dużo potem, po południu, gdy byliśmy w polu, mówił o tych zamachach, przed którymi drżała Łódź, swoim spokojnym, niemal flegmatycznym głosem, z obiektywizmem poprawiania wadliwie przytoczonych szczegółów, nieścisłych okoliczności. Nie było w nim znać wtedy żadnej radości ani też, rozumie się, żadnego wstydu. Ten człowiek szedł i działał, czy kazał innym działać, na chłodno, pracował na zimno, jego czynności miały nieuchronny i równy bieg wagonów pchniętych lokomotywą na tor.

\*

<sup>37</sup> *endek* — zwolennik a. polityk Narodowej Demokracji, polskiego ruchu politycznego o ideologii nacjonalistycznej, powstałego pod koniec XIX w. [przypis edytorski]

Człowiek chciał mi najpierw pokazać wzorowe „osiedle Mireckiego”, to, co, jak mówił, dał „zwycięski polski socjalizm największemu robotniczemu miastu”. Jest to na drzewionych krańcach zespół kilkudziesięciu dużych piaskowych bloków mieszkalnych, wybudowanych na wzór wiedeńskiego Marxhofu czy Wiener Neustadt, przenoszących robotnika polskiego z nor i suterren do kulturalnych mieszkań z łazienkami i tuszami<sup>38</sup>. Człowiek pytał ludzi z administracji, kto w nich mieszka. Dowiadaliśmy się, że pod szóstym mieszka aż trzech lekarzy, pod drugim czterech urzędnicy z magistratu, pod ósmym ci z izby skarbowej. Potem człowiek poszedł sam, zaprowadził mnie do jednego z mieszkań. Była to typowo kawalerska garsonierka. Człowiek zwrócił mi uwagę na nazwiska brzmiące żydowsko, których zresztą było bardzo niewiele, i na istotną mnogość urzędników. Szliśmy ulicami spełnionej przez socjalizm obietnicy, ulicami Perla i Praussa, ulicami Mireckiego i Barona. W nazwach ulic odbijał się pobrzęk żandarmskich butów na nocnej kiedyś rewizji i skrzyp szubienic. Nazwy ulic były jedynym tonem bohaterstwa i jedynym tonem proletariackim w osiedlu Montwiłła-Mireckiego.

Człowiek z tego wszystkiego nie powiedział mi od siebie właściwie nic, a tylko mnie na to wszystko celowo, systematycznie naprowadzał. Świat robotniczy nie doszedł do swej ziemi obiecanej albo zastał ją przez innych zajętą. Naprawdę świat robotniczy się wycofał. Oto hałdami przeszliśmy kilkaset kroków do położonej w dole Starej Mani. Tu są domy niesymetryczne, źle sklecone, tandetne. Człowiek pokazywał mi przed chwilą surowy dostatek mirecczyni, niebieskie „pergole” na dziedzińcach, ale też obdrapane ich belki, podeptane klomby ogródków bezpieczeństwa, niczyich, bo wspólnych. Stara Mania jest dzielnicą robotniczą biedną, ale nie nędzarską jeszcze. Liche domki otaczają wypielegnowane ogródki, bielone wapnem płoty ulic brzmiących wiejsko i sielsko: Jarzynowa, Grochowa, Solec. Za naszymi plecami wznoszą się nad tym wszystkim bloki minionego już osiedla „robotniczego”, które robotnicy oglądają od Starej Mani. Bloki wyglądają imponująco, jak wysoki mur zamczyska. Stąd widać, jak nad płaskimi dachami osiedla sterczy cała gęstwa antenowych prętów. Drutami idącymi do tych prętów powiązane jest osiedle z wielkimi falami płynącymi przez eter. Tymi prętami osiedle Mireckiego łowi codziennie Berlin, Moskwę, Warszawę, Londyn, Paryż i świat. Może zresztą łowi najczęściej „wesołą falę” i muzykę z płyt. Nad domkami Starej Mani nie ma żadnych anten i drutów. Jej ludzie chwytają tylko te prądy podziemne, dla których nie trzeba selektorów czy anten.

Kiedyś oglądałem prawzór łódzkiego osiedla, wiedeńskie domy robotnicze, wystawione innemu proletariatu, który chciał socjalizmu bez sowietów. Mury tych domów głosiły dumnie, że zbudowała je, za podatek od kamienic, *Gemeinde Wien*<sup>39</sup>. Socjaliści jeszcze rządili w Wiedniu, ale w wielkim pierścieniu osiedli robotniczych odwiedzałem już wtedy inteligentów, urzędników, pracowników prywatnych. Potem oglądałem w Warszawie wielki postępowy blok mieszkań robotniczych. Odwiedzałem w nim jednak nie zecera<sup>40</sup>, ale urzędnika, dla ścisłości urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Osiedle Mireckiego dzieli los swoich braci rodzonych i cudzoziemskich. Eldorado<sup>41</sup> kalkulowano na inne płace robotnicze, płace, które nie przyszły lub odeszły. Do pustych domów wlała się szeroka fala spauperyzowanych<sup>42</sup> inteligentów, którzy te stawki komornego mogli przecież płacić.

— Tu pan miał socjalizm.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

— Tu mam dziecięcą chorobę socjalizmu, pierwszy, na czworakach jeszcze stawiany krok. Mam niepowodzenie, ale nie klęskę. Pan sam wie, że nie klęskę. Pan widział w Łodzi pierwszy maja i pan widział wasz trzeci maja.

Pierwszego maja w Łodzi demonstrowały olbrzymie masy ludzi. Trzeciego maja przejście pochodu nie trwało dłużej niż trzy kwadransy. Trzeba pamiętać, że w Łodzi

<sup>38</sup>tusz — tu: prysznic. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Gemeinde Wien* (niem.) — Gmina Wiedeń. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>zecer — pracownik drukarni zajmujący się składaniem tekstu do druku. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>eldorado — wymarzona, dostatnia kraina; od nazwy *Eldorado*: kraju złota, legendarnej krainy w Ameryce, w której istnienie wierzone w XVI w. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>spauperyzowany — zubożały. [przypis edytorski]

mierzy się corocznie w tych dniach siła natężenia dwóch ruchów: socjalizmu i nacjonalizmu.

Człowiek patrzył się na mnie spokojnie i powiedział, że wie. Widział. Ale to nic nie znaczy.

— Jak to to nic nie znaczy?

— To nic nie znaczy, proszę pana, i nic nie znaczy z bardzo wielu przyczyn. To nie był pochód polski. Nie chodzi mi o to, że to był pochód żydowski, i tego też panu, jako najważniejsze, nie powiem. To był pochód sowiecki. Ot co.

— Dlaczego sowiecki?

— To był pochód sowiecki, bo wszystkie hasła, jakie w tym pochodzie niesiono, były hasłami sowieckimi. „Front Ludowy”<sup>43</sup>. Pan pamięta, jak oni się kiedyś żarli? Plakaty na cześć ZSRR. Na cześć Hiszpanii. Przeciw Niemcom. Na cześć czerwonej Francji. Przeciw Włochom. Portrety Lenina, Róży Luksemburg<sup>44</sup>, Largo Caballera<sup>45</sup>.

— Były to hasła robotnicze i oświatowe.

— Właśnie. Jakby pan się tymi rzeczami zajmował, toby pan wiedział, że każdy ruch polityczny ma dwie serie haseł. Ma hasła klasowe, społeczne, odpowiadające najprostszym interesom życiowym tych, których chce pozyskać, ma hasła polityczne, które ma dla siebie. „Wspaniały, imponujący” pochód pierwszomajowy w Łodzi miał za hasła polityczne wszystkie polityczne hasła sowieckie. I to jest najważniejsze. A to, czy ludzie, którzy nieśli te transparenty, należą do „fraków”<sup>46</sup>, czy „pepesowców”<sup>47</sup>, to w rezultacie jest wszystko jedno. To są ludzie, którzy już dziś, jak te radia, grają melodię stamtąd.

— Tym gorzej.

Człowiek powiedział, że nie, że tym lepiej. Potem długo mówił. Nakreślił krótki szkic politycznych dziejów Łodzi. Ognisko socjaldemokracji sprzed wojny, czysto klasowego, przeciwniepodległościowego ruchu robotniczego. Ciężka sytuacja PPS. Człowiek twierdzi, że znajdzie mi ludzi, co mi opowiedzą, że gdy Piłsudski kiedyś tu przed wojną przemawiał, wyśmiewano go. Po wojnie odrodzenie PPS. Liderzy socjaldemokracji (SDKPiL) odeszli do Rosji. Komunizm podziemny, nielegalny. Socjaliści budują swoje mirecczyny. Potem nowe nadzieje związane z przewrotem majowym. Socjaliści w pierwszym szeregu. Potem zawód i wstrząs, ale jeszcze „słabizny nadziei” we „frakach”. Potem kryzys, obrona podstawowych warunków bytu. PPS bardzo silnie rozwalana z zewnątrz... PPS podminowana przez komunistów, albo raczej nie, przez własnych młodych. „Oni lepiej znają Marksa niż dawni” — powiedział mi. Aż wreszcie wielkie zmiany 1935 roku, zmiany, które przysły wtedy i wtedy otwały perspektywy dużo większych jeszcze zmian, gdy jednocześnie do wszystkich form dawnego socjalistycznego polskiego ruchu zapanowało kompletne rozczarowanie...

Wtedy dodał uwagę: „polskiego politycznie. O tyle, że wiązał się naprawdę z państwem polskim. Żydów w nim było dużo, to druga rzecz...”

— ...i tak, widzi pan — kończył. — Pierwszy maja był bardzo wielki i bardzo imponujący. Był to pierwszy maja tak sowiecki, jak nie był w parę lat po wojnie samej, gdy szczątki dawnej SDKPiL posiadały tu siły. A to, że był sowiecki, decyduje w Polsce o jego przyszłości.

— Wasz trzeci maja był słaby. Urządziliście go pod hasłem antysemityzmu. Wasza większość w wyborach do samorządu rozchwiała się ostatecznie. Dziś jej nie macie.

— Tak — powiedział człowiek — nasz trzeci maja był słabszy. Nasze zwycięstwo samorządowe zostało nie wyzyskane i załamało się. To była nasza wina.

<sup>43</sup>*Front Ludowy* — porozumienia partii i organizacji lewicowych i centrolewicowych zawiązywane w latach 1935–1938 w reakcji na ekspansję ruchów faszystowskich w Europie i przejście władzy w Niemczech przez NSDAP; koalicyjne rządy Frontu Ludowego powstały we Francji i Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Luksemburg, Róża* (1870–1919) — działaczka i ideolog polskiej i niemieckiej socjaldemokracji; zamordowana przez członków niemieckiej nacjonalistycznej formacji paramilitarnej. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Largo Caballero, Francisco* (1869–1946) — hiszpański działacz związkowy i polityk, przewodniczący Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) oraz Powszechnego Związku Robotników (UGT); współorganizator Frontu Ludowego; premier rządu republikańskiego (1936–1937) w czasie wojny domowej w Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*frak* (pot. hist.) — członek Frakcji Rewolucyjnej PPS (Polskiej Partii Socjalistycznej), lewicowej partii powstałej w wyniku rozłamu PPS w 1906. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*pepesowiec* (pot.) — członek PPS (Polskiej Partii Socjalistycznej). [przypis edytorski]

— Dlaczego?

— To była nasza wina. Ludzie wysunięci przez nas byli wybrani do rady miejskiej przez ludzi młodych, którzy na nich agitowali, przez ludzi biednych, którzy na nich głosowali. Ludzie wybrani nie byli młodzi ani proletariusze. Ludzie ci nie potrafili wykonać ani jednej rzeczy, która by mogła im zaskarbić właśnie młodych i właśnie biednych. Na przykład nagroda literacka. Co z tego, że jej nie dadzą Żydowi? Co z tego, że ją weźmie Rostworowski albo Weyssenhoff? Co to powie masom? Bardzo mało. Masom by powiedziało, gdyby przyznać nagrodę młodemu autorowi, który opíše życie i walkę proletariatu polskiego w Łodzi, jego zmagania z zalewem żydowskim. Masom by powiedziało, żeby żadnych nagród, żadnego wyrzucania pieniędzy nie robić, a dać całą nagrodę polskim bezrobotnym, a najlepiej przeznaczyć ją na rzecz ofiar Żydów. Oto co by przemówiło do mas!

— Demagogię można stosować w czasie wyborów, ale chyba przyznacie, że nie stale.

— Nic nie przyznam! Przede wszystkim co to jest demagogia? To tak jak demokracja, z greckiego ustroju pochodzi i z nim się wiąże. To lud i to lud. Demagogia to sposób przemawiania do ludzi tak, żeby zrozumieli, najprostszy sposób wyłożenia zawiłych zagadnień, zainteresowania ich sprawami, którymi by się inaczej nie interesowali. Bez demagogii robotnik pozostałby ciemny. Demagogii nie można stosować na stałe? To właśnie mówił nam jeden z naszych „mecenatów” po wyborach. On myślał, że się wszystko skończyło na świecie, kiedy ruch narodowy zdobył mu w Łodzi mandat do rady miejskiej! Ładnie on się dziś ma, ten, co mówił, że demagogii nie można stosować na stałe. I z tą konstytucją...

Człowiek nie mówił o konstytucji Sławka<sup>48</sup>. Mówił o Konstytucji Trzeciego Maja. Był to jedyny raz w rozmowie, kiedy ręce latały mu w gestykulacji:

— Proszę pana — mówił — trzeba zrozumieć. Trzeba zrozumieć, to, co w Niemczech, to, co wszędzie rozumiano. W Polsce trzeba polskiego święta pracy. Trzeciego maja na święto pracy można było zamienić, póki element robotniczy, uświadomiony narodowo, to był element drobnomieszczańsko-robotniczy z różnych związków chadeckich. Gdy to był element małpujący inteligencję, jak inteligencja małpowała szlachtę. Ale w całym trzecim maju, z jego królem w peruce, magnatami i francuskimi damami w łoży, pan nie ma nic dla naszego człowieka. Nic!

Widocznie się z nim o to sprzeczano, widocznie te słowa uważano za wielką herezję, że mówił to tak zapalnie. I jeszcze raz powtórzył:

— Nasz ruch nie wyzyskał ani swej niedawnej przewagi liczebnej, ani swego wyborczego zwycięstwa, i w pochodach trzeciomajowych zaznacza swój upust sił. Ale to dlatego, że między naszymi wodzami a naszymi masami, naszymi hasłami a naszymi aspiracjami, między starym elementem, który ruch narodowy miał w Łodzi, a nowym elementem, który jego kadry wypełnił, nastąpiła olbrzymia wyrwa. Tamci nie rozumieją tych.

— Na czym polega ta wyrwa? — zapytałem.

— Wyrwa — powiedział — to to, że narodowcem jest najpierw w Łodzi pan doktor, pan kupiec, pan mecenas. Potem idzie nowy narodowiec. Ten narodowiec to jest bezrobotny.

— Bezrobotni nie są komunistami?

— Każdy w Łodzi powie panu tak: i wśród bezrobotnych są komuniści, ale olbrzymia większość bezrobotnych, polskich oczywiście, to narodowcy. Nowi narodowcy.

— Dlaczego? Kilka lat temu bezrobotni byli silnie skomunizowani.

— To prawda. Ale wtedy komuna walczyła z socjałami, a nie szukała zgody. Dzisiaj jest odwrotnie.

— Jakiż to może mieć wpływ na poglądy bezrobotnego? Powinien chyba czuć się bliższy drugiej części proletariatu, która już i politycznie staje mu się bliższa obecnie.

Człowiek pomyślał chwilę.

— Czy pan wie, jakie sobie zadania stawia socjalistyczna partia wobec robotnika? — zapytał.

<sup>48</sup>Sławek, Walery (1879–1939) — polityk, bliski współpracownik J. Piłsudskiego, trzykrotny premier Polski, marszałek Sejmu; lider obozu sanacyjnego; jeden z głównych twórców założeń konstytucji kwietniowej (1935). [przypis edytorski]

— Broni jego praw — powiedziałem.

— Aha, praw jego klasy. Otóż to. Ale proletariat to dziś niejedna, ale dwie klasy. To klasa bezrobotnych i klasa robotników. To klasa, która ma pracę i stara się ją ochronić i lepiej opłacić. I druga, mnożąca się klasa, która pracy nie ma i pracy tej szuka. Dawniej jeszcze te dwie klasy były silniej związane: bezrobotni składali się z ludzi, którzy niegdyś byli robotnikami. To była zdeklasowana część robotników. Ale po siedmiu latach kryzysu przyszli ludzie, którzy nigdy nie mieli pracy. Niedługo, a przyjdzie zastęp dziedzicznych, z ojca na syna bezrobotnych. Bezrobotni stają przed fabrykami, gdzie pracują inni, gdzie inni biją się o krótszą dla siebie pracę i lepszy zarobek. Bezrobotni stają przed fabrykami, które strajkują, aby uzyskać lepsze warunki pracy, podczas gdy oni nie mają żadnych. Na Bałutach pracujemy po osiemnaście godzin na dobę. Czy pan sądzi, że może być mowa o wspólności interesów między takim nędzarzem a tym, co chce pracować na dobę tylko sześć godzin? Ten proletariat, który urządza „strajki polskie”, ma za sobą zjednoczone dziś wysiłki dwóch starych partii politycznych. Ten proletariat, który pracuje po osiemnaście godzin, jeśli w ogóle pracuje, nikogo jeszcze nie ma. Prócz nas...

\*

„Mob z tymi był trudny”.

Słowa te zostały powiedziane przez innych jeszcze ludzi, a tych samych, z którymi po południu byliśmy na przedmieściach. Było to to samo niedzielne popołudnie, wyszliśmy byli<sup>49</sup> w bok od Bałut, staliśmy na wzgórkach, mając przed sobą pola porżnięte wyrwami glinianek, popstrzone dachami domów. Przed nami jak pole bitwy była Łódź płaska i niska; za nami nowy kościółek Marysina. Słowa odnosiły się właśnie do ludzi z tych domów, w prawo od Bałut, między nami a zielonym zakosem toru kolejowego. Mówiąc o nich, moi rozmówcy mówili o mobilizacji. Tych ludzi zmobilizować, rzucić trzeciego maja na Piotrkowską było trudno. Ci ludzie byli bezrobotni.

Ci ludzie byli bezrobotni, i oto wielka rzecz w obrazie Łodzi, która wzbierającym ruchem nacjonalistycznym dziwi nie tylko Hemara<sup>50</sup>. Obecna walka rzesz robotniczych w Łodzi, walka najzupełniej zrozumiała, dążąca przez umowy zbiorowe o zagwarantowanie jednolitego poziomu płac, zapewnienia wszystkim dziś pracującym pośredniej gwarancji, że i nadal pracę zachowają, ta walka jest obca, a zaczyna być wroga całym masom ludzi, które my wciąż określamy terminem wspólnym dla całego „proletariatu”, a które gospodarczo, a częściowo już i politycznie, wypadły z jego ram. Istnieje wielka klasa pracujących, która dopomina się o dalsze rozszerzenie swych praw, która ponownie będzie szturmowała do osiedla Mireckiego, skąd ją wyparto, która będzie żądała więcej szkół, wyższych płac, mniej pracy, która będzie wołała o swój rząd robotniczo-włościański<sup>51</sup>, jak kiedyś burżuazja chciała rządzić przez swoich ludzi. Rośnie druga klasa bez pracy i bez praw, klasa, która jeśli ma pracę, to ta praca wyjęta jest spod wszelkich ustaw socjalnych i musi być wyjęta, bo to się dzieje za zgodą samych ludzi chcących pracować, aby w ogóle nie umrzeć z głodu. Wszystko toleruje tę klasę. W Łodzi istnieje przemysł anonimowy. To taki przemysł, który za gotówkę kupuje surowiec, daje go przetkać po domowemu albo w wielkiej fabryce, potem nie mniej anonimowo go sprzedaje, nie płacąc żadnych podatków, żadnych świadczeń. Uskarżają się na to fabryki, bo stwarza to nierzetelną konkurencję, ale fabryki biorą od niego zamówienia, byle w czasie kryzysu utrzymać ruch. W Łodzi, podobnie, istnieje cała anonimowa klasa ludzi bezrobotnych całkowicie, niezauważona przez socjologów, niebroniona przez polityków, nieobjęta żadną ludzką normą i żadną formą organizacji. Być może, że jest to dziwaczny nowotwór społeczny, który rozplynie się w reszcie organizmu. Tak jak dziś jest jednak, jest to klasa społeczna osobna, klasa społeczna w momencie swego stawania się klasą. Jak robotnicy przed laty pięćdziesięciu, jak mieszczaństwo rewolucji francuskiej.

„Mob z tymi ludźmi jest trudny”.

<sup>49</sup>wyszliśmy byli — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym; znaczenie: wyszliśmy wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Hemar, Marian, pierwotnie M. Heschels (1901–1972) — polski poeta, satyryk, komediopisarz, autor tekstów piosenek. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>włościanin (daw.) — chłop. [przypis edytorski]



Na przedmieściach Łodzi widzi się krzyże i obrazy na drzewach. To miasto wchłonęło w siebie pola i drogi polne, kładąc domy, gdzie były łąki, pozostawiając tylko drzewa i krzyże przydrożne. Czasem na przedmieściach Warszawy widzi się to samo. W niedzielę za miastem widzieliśmy ludzi z miasta, którzy wyszli nie po to, aby się na trawie położyć bez ruchu, ale po to, aby wyjść i patrzeć długo na pole. Tęgo mieszcuchy, póki nie ma bławatków, nie robią. To tylko dawny wiejski człowiek, wygnany do miasta za pracę, tak wychodzi sobie za przedmieścia popatrzeć, czy dobrze wschodzi tej wiosny. Taśma ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjnie roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś. W Łęczycy, Częstochowsku i Łowicku przeludnienie agrarne, brak ziemi do parcelacji<sup>52</sup> w ogóle dosięga szczytu. Na płaskiej ziemi widne z daleka kominy Łodzi — ciągną. Ludzie łódzcy i wiejscy błąkają się obco po ulicach wielkiego miasta, wokół fabryk, gdzie inni walczą o lepsze warunki pracy, o szkoły, o rzeczy, które dla nich będą dopiero dalekim etapem walki. „Tych ludzi zmobilizować trudno”.

Tych ludzi jeszcze teraz zmobilizować trudno. Robotnik, przyzwyczajony do wstawiania na określoną godzinę, bo go woła fabryka, stanie regularniej w pochodzie majowym, wśród kolegów z tej samej fabryki. Robotnik wdrożony jest do organizacji partyjnej, lata związków zawodowych, prasa klasowa urobiły go solidarnie i karnie. Tu „mob” nie jest tak trudny do przeprowadzenia jak „mob” ludzi ze wsi, nawykłych do pracy nieliczonej godzinami, jak „mob” rozwłóczonych bezrobotnych, ludzkiego żelazwa rdzewiejącego z braku pracy, niezdatnego na nic. Patos „owej chwili radosnej, gdy senat i posły... zgodzonego z narodem króla fetowali”<sup>53</sup>, to patos bardzo obcy tej nowej klasie społecznej. Nie zdołała jeszcze przemówić, nie ma swego hymnu, swego wodza, swego ideału, swego święta, swego godła. Zapożycza to wszystko od partii mieszczańskiej i inteligenckiej, od niedawna dopiero nasycającej się tak silnie elementem ludowym. Ale wzrasta z każdym rokiem i dniem kryzysu.

Wydawać by się mogło paradoksem, a jednak jest faktem, że dziś ustanie bezrobocia, ustanie kryzysu pracy w Polsce, likwidując bezrobotnych z urodzenia, wlałoby tę klasę z powrotem do szeregów klasy robotniczej, zasymilowało do tych ludzi, którzy w świątecznych odzieniach nieśli po Piotrkowskiej oblicza Caballera i Lenina. Wzrost zatrudnienia i dobrobytu wzmógłby, nie osłabił wpływy marksizmu, wpływy komunizmu. Ruch narodowy, tj. nacjonalistyczny, przywykliśmy widzieć po prawej stronie barykady. W Łodzi, wszędzie gdzie bezrobocie nabrzmiewa najsilniej, wszędzie gdzie jedni wołają o lepsze warunki pracy, inni nie mają jej wcale, nacjonalizm przelewa się na drugą stronę barykady. Klasa zorganizowana proletariatu starzeje się społecznie, jak między 1789 a 1870 zestarzała się burżuazja. Nacjonalizm dzisiejszy, nacjonalizm starszych panów i młodych inteligentów, nie umie sytuacji tej należycie wyzyskać.

„My jesteśmy żółci ludzie z Łodzi”.

Musiano mi wytłumaczyć, co znaczą te słowa łódzkiego bezrobotnego. „Żółci ludzie” w nomenklaturze łódzkiego człowieka to byli kulisi, marnie opłacani proletariaci chińsko-japoński, który niegdyś pracował w San Francisco, konkurując z proletariatem białym. Jak wiadomo, ci „żółci ludzie” zostali usunięci na żądanie przedstawicieli partii robotniczych. Ten, co mi to mówił, nie miał żadnych zainteresowań politycznych. Był kiedyś we Francji i wiedział, że tam robotnik polski czy włoski jest także „żółtym ludem” i że zgoda go nie bronią, a raczej dążą do jego usunięcia francuskie partie robotnicze. Spotykał się z Westfalakami i Saksami, spotykał z wracającymi z Danii i wiedział, że wszędzie robotnik polski jest „żółtym ludem” i wszędzie go wydalają. „Żółty człowiek” teraz jest w Łodzi. Tu dalej jest „żółtym człowiekiem”. Chodzi wokoło fabryk nie dla niego, pracy

<sup>52</sup>brak ziemi do parcelacji — reforma rolna uchwalona w roku 1919 przez sejm pozostawiała w rękach właścicieli majątki do 180 ha (w Poznańskim, na ziemiach białoruskich i ukraińskich do 400 ha) i zapewniała im odszkodowanie. Parcelację ograniczono do 200 tys. ha rocznie, jednak w latach 1918–1921 zrealizowano ją zaledwie w 40%. Oddanie parcelacji w ręce różnych banków i spółek doprowadziło do spekulacji ziemią, w rezultacie przechodziła ona przeważnie w ręce bogatych chłopów. Porozumienie stronnictw prawicowych w roku 1923 ograniczyło parcelację prawie wyłącznie do majątków państwowych i publicznych. Również w ostatniej swej wersji z roku 1925 reforma rolna uwzględniła przede wszystkim interesy zamożnych właścicieli ziemskich, nie zaspokajając zupełnie głodu ziemi wśród małorolnego chłopstwa i proletariatu wiejskiego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>owej chwili radosnej, gdy senat i posły... zgodzonego z narodem króla fetowali — Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, XII (o uchwaleniu Konstytucji 3 Maja; początek cytatu zmieniony). [przypis edytorski]

nie dla niego, praw nie dla niego, organizacji nie dla niego. Z wolna zaczynają się w nim budzić przebłyski, że jest osobną, inną klasą. I ze swego nędzarskiego niżu może, on jeden w Polsce, patrzeć z drwiącym uśmiechem na tych, co o sobie śpiewają w pochodzie: „Wyklęty powstań, ludu ziemi”... On może zapytać: „Kto tu bardziej ode mnie wyklęty?”

Polityka partii robotniczych, najzupełniej klasowo słuszna, umacniając pozycje pracującego proletariatu, pogłębia, betonuje nowymi prawami rów między dwiema częściami ludu. Każda nowa zdobycz ten rów pogłębia. Ku proletariatu zorganizowanemu i mającemu pracę wyciągają dziś ręce inteligenci, pracownicy umysłowi, pragnący, aby i dla nich scementował ich prawa, umocnił pozycje, zachował posady. Otóż to. Jest to dziś działalność przede wszystkim obrończa i zachowawcza, konserwatywna. Tym, którzy niczego nie mają, którzy znajdują się w sytuacji proletariatu z 1848 r., może odpowiadać tylko polityka zdobywcza, burząca, rewolucyjna. To nie oni będą kroczyli w pochodach. Ale tylko oni będą rzucali bomby.

\*

Człowiek, który mi Łódź pokazał, poprowadził mnie na sam dworzec, wszedł na peron. Myślę, że kiedyś jechałem z komunistą rosyjskim przez Rosję, który mówił mi, że jest w Polsce miejsce święte świętych rewolucji komunistycznej, ojczyzna męczennicy Róży Luksemburg, kraj bohaterów 1905 roku — Łódź. Nigdy mi w Polsce nikt nie mówił z takim ciepłem o Łodzi, co człowiek w pociągu Kursk–Moskwa. W ZSRR pisze się o tej Łodzi wiersze. A oto teraz nie wiem, kto bliższy jest dzisiejszej prawdzie Łodzi, oni czy ten człowiek, który stoi przed oknem wagonu i mówi mi coś jeszcze, jeszcze i jeszcze. Że jego ruch się dźwiga, że jego ruch te masy wyzutych ze wszystkiego ujmie w cembrowinę organizacji, że z nich czerpie dziś swe kadry, że nimi walczy, że nic go nie złamie, że od Łodzi zacznie, że ma wieś. Myślę, że Łódź jest jak te świątynie, którym ręka zdobywcy może zamienić Ewangelię na Koran, krzyże na — półksiężycy, a w miejsce strącanych sierpów i młotów nowe, nieznanne nam jeszcze, postawić godła.

## PRZYTYK I STRAGAN

Na środek sali, w czworokąt zamknięty z jednej strony długim stołem sędziów, z dwóch — pulpitemi obrońców, z czwartej — granatowym policjantem, wychodzi kolejno pięćdziesięciu siedmiu ludzi, określanych jako oskarżeni<sup>54</sup>, kilkuset, przeszło pięciuset, określanych w aktach mianem świadków. Ale proces nie robi wrażenia procesu, sąd nie przypomina zwykłego sądu. To jakby do laboratorium wielkiej wytwórni filmowej przyniesiono kilkaset różnych fotograficznych wersji tego samego wydarzenia i rozwijano je tu po wywołaniu, badając, naświetlając i krając. Szklą obiektywów nie zatoczyły jednak szerokiego kręgu po świecie. Przez trzy tygodnie będziemy deptali na bardzo małym odcinku, po rynku targowym miasteczka, po jego głównej ulicy, jej jezdni, przedmieściu tego miasteczka, po moście nad rzeką Radomką, przy młynie Haberberga, przy straganach i szynkach. Ludzie w togach sędziów, prokuratorów i obrońców będą przez trzy tygodnie brali pod światło każdy odcinek taśmy filmowej, badali jego szczegóły, konfrontowali z wersjami innych operatorów. Ale z tego wszystkiego nie wysnuje się żadna wielka, równy nurt tocząca, rozwijająca się stanowczym rytmem akcja wielkiego filmu. Strzępy różnych operatorów, taśmy wyjęte z różnych aparatów, naświetlane pod różnym kątem różnych jupiterów, w jedną całość zestawień się nie dadzą. Na końcu całej pracy obraz wypadnie taki, jakby tą samą błoną fotografowano te same rzeczy dwa razy, trzy, cztery razy. Czarne cienie pojawiają się na całych zwojach taśmy. Momenty będą się z nich tylko wynurzały nagłymi, ostrymi konturami wydarzeń. Więc będziemy widzieli parobczaka, którego z rąk policji, gdy namawia do bojkotu, wyzwolił tłum, i będziemy zaraz potem widzieli ten sam jarmarczny tłum chłopski, blokujący w małym domu posterunek policji. Będziemy widzieli człowieka, który z piętrowego poddasza wysuwa rękę, będziemy widzieli w tej ręce rewolwer, usłyszymy strzały, upadnie na jezdni chłop. Pokaże się

<sup>54</sup>pięćdziesięciu siedmiu ludzi, określanych jako oskarżeni... — w procesie rozpoczętym 2 czerwca 1936 przed Sądem Okręgowym w Radomiu, dotyczącym pogromu mającego miejsce 9 marca w miejscowości Przytyk niedaleko Radomia, podczas którego zginęły 3 osoby, a ponad 20 zostało rannych. [przypis edytorski]

naraz jakiś samochód widmo miotający strzałami, samochód, którego na żadnym innym filmie już nie będzie. Potem film stanie się na chwilę straszliwie wyraźny: będziemy wtedy w niskich izbach żydowskiego domu, ramy jego okien ugną się pod ciężarem kamieni, troje małych, wystraszonych dzieci będzie wyciąganych za nogi, włosy i główki spod nędznego łóżka, zamachną się nad nimi ciężkie chłopskie orczyki. W ciasnym przedsionku będzie ciemno, i znowu nie zobaczymy twarzy ludzi, którzy pałkami będą miażdżyli podstawę czaszki, kość ciemieniową, żyłkowaną błękitnie wypuklizną skroni biednego żydowskiego szewca. Na chwilę film się urwie zupełnie, i potem wpłyniemy już na strugi taśmy nakręcaną przez rutynowanych operatorów: to już opisy policyjne, sprawozdania lekarza sądowego, oględziny zwłok i relacje przybyłych z Radomia urzędników. Wtedy znowu poprzez rozdartą chłopską koszulę wysondujemy głęboką, równą ranę, jaką przeorała padająca z góry kula suche ciało starego Wieśniaka. Wtedy jeszcze raz podniosą nam zmiażdżoną i domiażdżoną pałkami po śmierci głowę Joska Minkowskiego, każą się wpatrzeć w to, co pozostało z rozbitej orczykami od wozów i przesieczonej nożem czy ostrzem chłopskiej kosi głowy Chai Minkowskiej. Ale tego wszystkiego, co było *przedtem*, nikt, tak jak było, nie przedstawi. Po trzech tygodniach nie da się nawet ustalić, w jakim porządku należy zlepić poszczególne fragmenty straszliwego filmu, jak następowały po sobie kolejno zajścia z bojkotującym Strzałkowskim i aresztującą go policją, walka i rozgrom na rynku przytyckim, wreszcie wypadki za rzeką. W motywach wyroku sąd będzie musiał coraz to powtarzać słowa: „nie dało się ustalić”. Mimo pięćdziesięciu siedmiu oskarżonych, mimo dwudziestu adwokatów, mimo kilkuset świadków i trzech tygodni pracy. Sąd będzie musiał odmawiać wiary zeznaniom świadków, prokurator będzie musiał nieprawdziwość tych zeznań imiennie potępiać. A jednak, mimo zakłęk, powoływań na tę świętość przysięgi, na kary prawne, na poczucie słuszności, ogromna ilość świadków będzie składała zeznania sprzeczne z sobą, wikłające się, fantastyczne. Tłum będzie się solidaryzował nie z prawem przysięgi, prawdziwego świadectwa i kar za krzywoprzysięstwo. Będzie się solidaryzował z ławą oskarżonych, a raczej z dwiema ławami oskarżonych.

Na ławach obrońców o zajścia w miasteczku, o którym do dnia 9 marca 1936 roku mało kto wiedział, gdzie leży, zasiadły największe sławy adwokatury polskiej, ludzie znani z procesów głośnych, sensacyjnych, dramatycznych i efektownych. Broni wielki obrońca w procesach roku 1905 i brzeskim, Leon Berenson. Nie można sobie jednak wyobrazić przewodu, który by mniej niż obecny przypominał tok akcji scenicznego dramatu. Nie można sobie przypomnieć procesu, który by w swej tragicznej grozie był tak mało efektowny. Każdemu z oskarżonych zagrażają pytania adwokatów, podstępne, szukające. Być może, że to ten właśnie człowiek jest bohaterem zajść, być może, że to ten obok jest ich złym duchem, jest Jakubem Szelą<sup>55</sup> nowego chłopa, jest Shylockiem<sup>56</sup> i Przechrztą<sup>57</sup> Przytyka. Reflektor pytań przenosi się z zaciętej, kałmuckiej, muzyckiej<sup>58</sup> twarzy młodego Wójcika na bladą, ze zmrużonymi oczami, skrytą twarz Leski, ślizga się po barach tegiego chłopa o zagłobowskim wyglądzie, po czarnej brodzie Haberberga. Po kilku dniach zmęczone reflektory gaszą swe światła. W tym procesie, wśród tych pięćdziesięciu siedmiu ludzi, wśród tych kilkuset świadków, z których mało który może się zrozumiale wypowiedzieć przed sądem, nie ma żadnych tragicznych, wielkich, bohaterskich czy zbrodniczych postaci. Nie ma żadnych potężnych ludzi — sprzężn działających z ukrycia. Było w Polsce obecnej wiele okolic, gdzie agitacja antysemita miała więcej i lepszych agitatorów, gdzie teren był wcześniej i znacznie silniej objęty działaniem Stronnictwa Narodowego<sup>59</sup> niż okolica Przytyka. Korczak, osławiony „wojewoda przytycki”, jest zwy-

<sup>55</sup> *Szela, Jakub* (1787–1866) — chłopski przywódca antyślacheckiej rabacji galicyjskiej w 1846, podczas której zniszczono kilkaset dworów, a z rąk chłopskich zginęło ok. tysiąca osób. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *Shylock* — bohater *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare’a, stereotypowo przedstawiony Żyd-lichwiarz. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *Przechrztą* — postać z *Nie-Boskiej* Komedii Krasińskiego; występujący w tym dramacie Chór Przechrztów to Żydzi, którzy pozornie przyjęli chrześcijaństwo, ale knują złowrogi światowy spisek, aby obalić porządek społeczny i Kościół i ustanowić rządy Izraela. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *muzycki* (z ros.) — chłopski. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Stronnictwo Narodowe* — partia polityczna obozu narodowego (Narodowa Demokracja), utworzona w 1928 w wyniku przekształcenia Związku Ludowo-Narodowego i kontynuująca jego program, mająca na celu budowę katolickiego państwa narodu polskiego. [przypis edytorski]

kłym, przeciętnym chłopem. To, co mówi, mówi po chłopsku, jego sposób argumentowania jest chłopski, jego słownictwo jest chłopskie, jego środowisko jest środowiskiem chłopca — „biedniaka”, o marnej glebie, dorabiającego się poddzierzawianiem ziemi innych, jakimiś nadziejami na zbycie tu czy tam dochowanego konia, dalekimi marzeniami o własnym handlu wapnem. Jedno, co można jeszcze powiedzieć o tym człowieku, z którego prasa żydowska robiła *spiritus movens*<sup>60</sup> zając, wodza hord przytyckich, radomskiego Hitlera, groźbę dla rządu w Warszawie, o tym człowieku, który miele w rozmowie kanony polskiego antysemityzmu, to to, że bliżej od innych chłopów zżył się ze światem miasteczka. Oni bywali w nim raz na tydzień, on — co dzień. Być może, że nieraz słuchał gdzieś radia, być może, że częściej rozmawiał z ludźmi szerokiego świata, być może, że częściej mógł czytać gazetę. Iskra, którą stał się ten człowiek w wydarzeniach radomskich, była przypadkowa. Prochy, które tutaj leżały, mogły się zająć od ogarka.

Bo oto jeszcze jedno zdjęcie filmowe musi sobie uzupełnić reporter, jeszcze z jednej strony, on, którego wynik procesowy, sądowy, proceduralny nic nie obchodzi, który tutaj widzi tylko pewien przekrój sprawy żydowskiej w Polsce, musi na to spojrzeć. Ogromna większość ławy oskarżonych, i polskiej, i żydowskiej, to ludzie młodzi. O ludziach młodych mówi się, że są najczulszymi membranami, jeśli chodzi o wchłanianie płynących w eterze ich dni, niewidzialnych dla oka prądów, że wiek, dojrzałość, rodzina i praca nie stępiły jeszcze aktualności ich politycznego słuchu. Wreszcie ci młodzi ludzie, Polacy, są chłopcy, i nie tylko chłopcy. Są to małorolni i bezrolni, synowie licznych rodzin, dziedzice rozdrobnionych na płachetki gruntu gospodarstw. Gdyby ci ludzie chcieli pisać, mogliby do *Pamiętników chłopów*<sup>61</sup> dodać nowe wstrząsające karty. To niewątpliwy, klasyczny proletariatus wsi polskiej, kraju, którego przeludnienie agrarne i nędza wsi nie mają sobie równych w całej reszcie Europy. Wreszcie jest to proletariatus wiejski nie spod Baranowicz i Równego, ale dobrze za Wisłą, proletariatus z owej szczęśliwszej połowy Polski, z owej „Polski A” ministra Kwiatkowskiego. O 19 km stąd jest socjalistyczny Radom, o sto kilkadziesiąt kilometrów Poznańskie, polska Dania, gospodarcza oaza. Oskarżeni umieją czytać i pisać, byli w szkole. Oskarżeni należeli do partii politycznych, bojkotowali nie tylko żydowski stragan, ale jeszcze ordynację zacieśniającą prawa wyborcze. Ci właśnie oskarżeni zrobili Przytyk.

Nie jest to wcale obojętne, nieważne, przypadkowe, że największy proces o zaburzenia antysemickie, jaki mieliśmy dotąd, jest procesem chłopskim, nie procesem chłopów „kułaków”, zamożnych gospodarzy wiejskich, ale procesem młodej wsi małorolnej i bezrolnej, ludzi, którzy w dwudziestym którymś roku życia widzą, że zabraknie im ojcowskich morgów. Fornalscy<sup>62</sup> bohaterzy *Ojczyzny* Wandy Wasilewskiej<sup>63</sup> pytali, co im dała Polska za lata wojny o niepodległość, żądali jako zapłaty socjalizmu. Przed zablokowanym posterunkiem w Przytyku wołali inni chłopcy, żołnierze armii ochotniczej z 1920 r., co im dała Polska, choć żądana przez nich zapłata przedstawiała się inaczej niż okrzyk z głośnej powieści. Sąd nie zdołał ustalić, pod czyimi razami zginęła w straszliwy sposób zamordowana para żydowskich przytyckich biedaków. Ale to dłonie chłopskie puściły w ruch orczyki<sup>64</sup> i kamienie, pałki i noże. Wieśniak mógł nie paść z ręki Leski, padł od innych żydowskich strzałów. Na wprost nas, z filmu, rzucanego na ekrany prasowe całej Polski, maszerują nie Leska, Haberberg, Banda, Wójcik, Kubiak, to nie tylko świadek Snopek powie o pogromie z uciechą: „a było czemu się przyglądać”. To na wprost nas, tak jak o trzeciej po południu, gdy zaalarmowani wieściami z miasteczka chłopcy śpiesznie zawrócili konie, aby iść „bronić swoich”, wali ogromny tłum chłopski. Bohaterem, winnym, oskarżonym i oskarżycielem jest tłum tego procesu, i szukając tego tłumu, trzeba pójść między domy żydowskie Przytyka, pójść do Potworowa, pójść na wieś.

<sup>60</sup>*spiritus movens* (łac. dosł.: duch poruszający) — siła sprawcza, główna przyczyna działania. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*Pamiętniki chłopów* — zbiór prac nadesłanych na konkurs ogłoszony w 1933 przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, opublikowany w dwóch tomach (1935, 1936). [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*fornal* — robotnik rolny w folwarku, zwłaszcza obsługujący konie robocze. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Wasilewska, Wanda* (1905–1964) — polska działaczka socjalistyczna i komunistyczna, pisarka; autorka m.in. powieści społecznej *Ojczyzna* (1935), opisującej losy rodziny folwarcznej od początku XX w. do czasów powstania utworu. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*orczyk* — poziomy drążek służący do połączenia uprzęży koni pociągowych z pojazdem lub narzędziem rolniczym. [przypis edytorski]

— A przed owym bojkotem czy Żydzi dużo targowali? — pyta każdego Żyda obrońca endecki, mecenas Kowalski.

— Targowali — odpowiada Żyd.

— No, a ile przedtem bywało tak straganów żydowskich w dniu targu?

— Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt.

— Osiemdziesiąt — podkreśla za każdym razem mecenas. — No, a gdy już był bojkot, tak przed dziewiątym marca i dziewiątego marca rano, przed rozruchami, ile było straganów żydowskich?

— Żydowskich — mówi Żyd — mogło być osiem, dziesięć.

— Osiem, dziesięć — powtarza Kowalski. — No, a chłopskich ile?

— Sześćdziesiąt — mówi Żyd.

— Sześćdziesiąt — upewnia się Kowalski. — No, a dawniej bywały chłopskie stragany?

— Nie bywało — odpowiada Żyd.

— Nie bywało, więc przedtem nie bywało chłopskich straganów — powtarza sam do siebie mecenas. — A teraz po bojkocie są.

I taka rozmowa, nic niemająca wspólnego z procesową stroną sprawy, stanowi *leitmotiv*<sup>65</sup>, oprzędzany przez obronę chłopów dookoła każdego świadka. Taktyka obrońców polega na dwóch rzeczach: z jednej strony broni każdego z oskarżonych przed zarzutami gwałtu i terroru, z drugiej — podnosi gospodarcze powodzenie akcji bojkotowej, która po upływie kilku tygodni postawiła tłum żydowski przed widmem wygłodzenia i nędzy. Nie wiemy, czy ta akcja ulżyła niedoli wsi polskiej, nie wiemy, czy posiadała ona charakter trwały, czy zakorzeniła chłopą w miasteczku i przeprowadzała go istotnie od pługa do stragana, jednak jest oczywiste i pewne, że akcja ta niszczyła, rujnowała ekonomicznie parę tysięcy Żydów zamieszkałych w Przytyku. Trzeba tam być. Jest to miasteczko w 90 procentach żydowskie i jest to chyba jedno z najnędźniejszych miasteczek, jakie po długich wędrówkach po nędzarskich kresach udało mi się widzieć. W „wojnie przytyckiej”, w pogromie, w „poruchu”, który tu się odbył, brały udział dwie strony narodów. Ktoś, co tu przyjedzie, będzie się dziwił, czego szukać mogli chłopci w żydowskim Przytyku, czego zazdrościli ludziom z tych wykrzywionych lepierek. I nie tylko temu będzie się ten ktoś obcy, do dna spraw tych nieznanający, dziwił.

Na początku tego, co się tu stało dnia 9 marca, był bojkot gospodarczy, zorganizowany przez chłopów przeciw żydowskiemu miasteczku. Początkiem walki, która skończyła się śmiercią Wieśniaka i trupami Minkowskich, była walka o stragan. Nie o sklep, ale właśnie o stragan. Żydowska ludność żyje z handlu. Arystokracja tego narodu zasiada w wielkich bankach, klasa średnia zasiada w sklepach, proletariat ma stragan. Stragan rynkowy został zaatakowany przez chłopstwo, przez masę ludzką podnoszącą się ze wsi. Stragan rynkowy po bardzo krótkim czasie został w Przytyku zdobyty.

To są znowu rzeczy, które w Polsce trudno zrozumieć. Wszyscyśmy przywykli, uważamy za naturalne, zrozumiałe i uprawnione dążenie chłopów do parcelacji ziem obszar- niczych, do zabrania nawet bez odszkodowania ziemi pańskiej, gruntów folwarcznych. Wszyscy w mieście jesteśmy przekonani, że fala niechęci chłopskiej podmywa kolumny dworów, że co ważniejsze, z olbrzymią i radykalną parcelacją odciągnie się chłopą od komunizmu czy od Witosy<sup>66</sup>, zdobędzie dla Składkowskiego<sup>67</sup> czy Grażyńskiego<sup>68</sup>. Ale oto procesy o bunty chłopskie z lat ubiegłych, procesy o Łapanów, o Lisko, o Tarnów,

Żyd, Przemoc

<sup>65</sup>*leitmotiv* (niem.) — motyw wiodący, przewodni. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Witos, Wincenty (1874–1945) — przywódca ruchu ludowego, polityk; współzałożyciel PSL „Piast”, trzykrotny premier II Rzeczypospolitej; jego rząd został obalony w wyniku przewrotu majowego; przeciwnik rządów sanacji, współorganizator i jeden z przywódców Centrolewu; w 1930 aresztowany, oskarżony w tzw. procesie brzeskim o przygotowywanie zamachu stanu, skazany na 1,5 roku więzienia, w 1933 udał się na emigrację do Czechosłowacji. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Składkowski, Felician Skawoj (1885–1962) — polityk, generał; od 1905 w PPS, podczas I wojny światowej w Legionach Polskich, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, trzykrotny minister spraw wewnętrznych, zwolennik sanacji, po przewrocie majowym komisarz rządu na miasto stołeczne Warszawę. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Grażyński, Michał (1890–1965) — działacz niepodległościowy i polityk; organizator POW na Górnym Śląsku podczas I wojny światowej; uczestnik powstań śląskich, wojewoda śląski (1926–1939), politycznie związany z sanacją. [przypis edytorski]

pokazywały chłopą w walce z podatkami i szarwarkiem<sup>69</sup>, ze starostą, komornikiem, policjantem. Ale oto procesy obecne pokazują go nam w zmaganiu z nędzarskim szewcem Minkowskim, z Ickiem Bandą, z żydowskim straganem z jajami, perkalikami czy czapkami. Chłop, bez odszkodowania, wywłaszcza żydowski stragan. Dlaczego?

Żeby zrozumieć dlaczego, można zrobić trzy kolejne doświadczenia. Można najpierw przeczytać *Pamiętniki chłopów*; jeśli będziemy je czytali inteligentnie, zobaczymy, że miejsce, jakie tzw. dwór zajmuje w dzisiejszej wsi polskiej, w jej nędzy, w jej nadziejach, jest niesłychanie małe; na setnej którejś tam stronie spotykamy dopiero słowo „dwór”, dla tysięcy wsi i setek tysięcy chłopów jest to zjawisko odsuwające się w egzotykę. Możemy następnie przelecieć samolotem nad Polską; będziemy mogli z lotu ptaka od Czerniowiec do Gdańska i od Wilna do Katowic szukać daremnie tych latyfundiów<sup>70</sup>, bezmiernych obszarów, niekończących się pańskich łąnów; Polska z lotu ptaka to pokrajana szachownica sznurkowych zagonów. Możemy wreszcie, aby zrozumieć tragedię przytycką, sięgnąć do książek Józefa Poniatowskiego i Theodora Oberländera, poświęconych przeludnieniu agrarnemu Polski. Powiedzą nam one najpierw, że nawet z melioracją całego zapasu nieużytków zapas ziemi do parcelacji wyniesie w najlepszym razie 3 mln hektarów. Gdyby zrobić jeszcze radykalniejsze posunięcia, można by, zdaniem Poniatowskiego, uzyskać jeszcze 600 tys. hektarów. Na tym maksymalnym zapasie można by osadzić 600 tys. sześćohektarowych gospodarstw. Roczny przyrost ludności w Polsce, w większości swej rolniczy, wynosi 400 tys. Nadmiar ludności rolniczej oblicza dziś Poniatowski na 9 mln. Wedle Oberländera, zapas ziemi dostępny dla kolonizacji pójdzie niemal w całości na upełnorolnienie małorolnych. A bezrolni, a mnożące się królicze pokolenia naszej wsi? Wychództwo sezonowe i stała emigracja skończyły się niemal zupełnie. Uprzemysłowienia nie ma. Zaczynają się Przytyki.

Walka o stragan zaczyna się nie dlatego, że przy straganach może się pomieścić bezrobocie wiejskie. Zaczyna się to dlatego, że dokąd indziej nie można iść, drogi są zamknięte, ziemi brak, że założenie nowego gospodarstwa, nawet gdyby się miało ziemię, kosztuje wiele, że stragan jest najbliższy, najbardziej dostępny, najszybciej odrzucający zyski<sup>71</sup>. Ten stragan także niczemu nie pomoże, ludności bez pracy nie wchłonie. Będzie stanowił ulgę większą, ale nie zupełną. Ale handlarz dla wsi dzisiejszej to bogacz posiadający u siebie skarb z cukrem, naftą, zapalkami, żelazem. Tylko dla nas, patrzących z góry, ten *handeles* jest istotnie nędzarzem. Dla chłopą to człowiek, o którym z lamentem słyszymy w sądzie, że zarabia kilkadziesiąt złotych dziennie. Chłop byłby szczęśliwy, gdyby zarabiał ich kilkanaście. Ten człowiek w jarmulce żywi się śledziami i kartoflami, ale ten drugi człowiek w kożuchu żywi się tylko kartoflami. Po prostu element o stopie życiowej niższej nawet od żydowskiego getta — getto to podważa.

I znowu nie byłoby nic bardziej naturalnego. Po prostu dokonywałyby się w Polsce proces, który o sto lub kilkadziesiąt lat wcześniej dokonał się wszędzie na Zachodzie, w konserwatywnej Anglii, jak w republikańskiej Francji, w Niemczech, Austrii, Danii, Czechosłowacji: uregulowanie sprawy agrarnej przerzucało zawsze masy ludności wiejskiej do miast i miasteczek. W ten sposób czeszczył się Karlsbad i Praga, słoweńczyła Lublana, w ten sposób wreszcie polszczyły się miasta i miasteczka Poznańskiego. Tylko to wszystko odbywało się gdzie indziej wcześniej i odbywało się bez Przytyków. Nadmiernemu rozrodzeniu się ludności wiejskiej i przeludnieniu wsi towarzyszyła bowiem wszędzie koniunktura na rozwój przemysłu. To nie tylko kurczyły się morgi<sup>72</sup> wsi, to jeszcze otwierały się fabryki w mieście. Ludność małomiasteczkowa, handlowa, przechodziła kolejno od straganu do sklepu, od sklepu do kapitału, od kapitału do przemysłu. Ten ruch nie tylko opróżniał placówki handlowe w miasteczkach, ale jeszcze tworzył nowe warsztaty pracy, otwierając fabryki. U nas rozwój przemysłu jest zahamowany, stoi. W latach koniunktury roczny wzrost zatrudnienia był minimalny w porównaniu z rosnącą od dołu masą rąk do pracy. Nędzarska rzesza Minkowskich, Lesków i Bandów nie przejdzie do sklepów radomskich. Właściciel młyna Haberberg nie zbuduje wielkiej

Żyd, Chłop

<sup>69</sup>szarwark — przymusowe świadczenia w robociznie wykonywane przez ludność wiejską dla publicznego pożytku, najczęściej przy budowie i naprawie dróg, mostów i wałów przeciwpowodziowych. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>latyfundia — wielkie posiadłości ziemskie. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>odrzucać zysk — dziś w tym znaczeniu: przynosić zysk. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>morga — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

fabryki, nie zatrudni w niej tysięcy Strzałkowskich, Wójcików, Kubiaków. Nie stanie się w drugim pokoleniu Kronenbergiem<sup>73</sup> czy Blochem<sup>74</sup>. Człowiek ze wsi, którego by wtedy zatrudnił, stanie się teraz jego konkurentem. Będzie brutalnie, niby to chcąc kupować, macał brudnymi, spoconymi rękoma wszystkie bułki leżące na straganie. Zrzuci mu z lady czapki do błota. Odpędzi kupujących od niego. Będzie go wygładzał. Zabije.

Ale Żyd przytycki nie tylko nie zamieni swego małego handelku na nowoczesny sklep w samym Radomiu, nie zamieni warsztatu na zakład, młyna na fabryczkę. On nie tylko nie może pójść wyżej, on w ogóle nie ma dokąd pójść. Przed wojną był rozwój przemysłu, dziś nowe kominy dymiące dziesiątkami w Radomiu i „trójkącie bezpieczeństwa” to dymy fabryk państwowych. Przed wojną była emigracja, dziś jej nie ma. Organizacje syjonistyczne otworzyły Palestynę Żydom z Niemiec, zamknęły ją niemal przed Żydami z Polski. Jeśli myślicie, że po Przytyku Żydzi odejdą, dowiedzcie się, że po tym wszystkim, co tu zaszło, wyjechała do Palestyny jedna osoba. Jeśli wskazujecie na przykład Poznańskiego, pamiętajcie, że w Poznańskim nie było Przytyków, Mińsków Mazowieckich, Grodnów, które od dołu, widmem pogromów usuwały Żydów. W Poznańskim unosił się nad gettem miraż Berlina, wielkiego, świętego Berlina, Berlina asymilacji i zamożności. Przed wojną i po wojnie tysiące Żydów z Poznańskiego emigrowało w głąb Niemiec. Miraż działał silniej niż widmo. Ale w dzisiejszych warunkach Żydzi przytyccy mogą iść tylko na kirkut<sup>75</sup>.

Pisze się to wszystko po to, aby wyłożyć pewien problem, szerszy niż sprawa przytycka służąca nam za jego przekrój. Trzeba na zimno stwierdzić, jakie możliwości ma dzisiejsza wieś, jakie się sprzed niej usunęły, jakie ją z kolei zwodzą. Mierosławski<sup>76</sup> miał widzieć przyszłość Polski w powieszeniu na kiskach ostatniego szlachcica ostatniego biskupa. Być może, że na zebraniach u Korczaka jakiś doktryner wiejski mówił, że nie będzie szczęścia w Polsce, póki na kiskach ostatniego Żyda nie powiesi się ostatniego komornika. Albowiem demagogia jest zawsze ta sama, tylko czasami opuszcza wyżłobione już zupełnie koryta i szuka nowych.

Ruchowi, który szedł przez Opoczyńskie i Radomskie, nie przeciwstawiła się — trzeba to jeszcze zauważyć — żadna siła. Był tylko policjant. Nie było inteligenta. Nie było nauczyciela wiejskiego. A przecież wsie przytyckie mają nauczycieli i szkoły, przecież Przytyk ma nauczyciela. Widzieliśmy jednego z nich przed sądem w raczej smutnej w tym wszystkim roli. Szkoła w Przytyku dzisiejszym to miejsce zaciekłych walk, nienawiści dzieci. Małe Korczaki i mali Minkowscy walczą w najlepsze. Nienawiść z ulicy przenosi się na ławę szkolną. Rozlewa się szeroko po całym kraju. Nie natrafia na żadną tamę. Nie natrafia też na żaden kanał, który tę burzę, nie z agitacji powstała, lecz z nędzy, skierowałby w kanały pozytywne, twórcze, konstruktywne. Ci czy tamci chcą w niej widzieć tylko zaczyn dla przyszłej rewolucji, krwawą falę, która poniesie ich sztandary.

## KRAJ POLSKI CHŁOPIEJ

Jest dobrze po północy, gdy nad naszymi głowami, w mokrym i gorącym powietrzu chwieje się swymi wielkimi wachlarzami las olbrzymich palm. Oddychamy czymś duszącym, usypiającym, pełnym nieznanym dla nas zapachów. Gdyby jeszcze pogasły lampy elektryczne i była pełnia, księżyc przyświecałby teraz tą pełnią nad palmowym gajem, wyrosłym w środku Poznania. Moglibyśmy tak chodzić, a nawet błędzić poprzez wąskie ścieżki, wśród egzotycznych krzewów, ocierać się o liany z lasów dziewiczych, szeleścić kłosami płowego ryżu, ale nie po to nas tutaj zabrano; i oto dziś, tego wieczoru, może zaraz, najdalej za godzinę, zakwitnie na środku podzwrotnikowej sadzawki olbrzymi kielich

<sup>73</sup>Kronenberg, *Leopold Julian* (1849–1937) — polski finansista, bankier i działacz gospodarczy żydowskiego pochodzenia, syn inwestora i bankiera Leopolda Stanisława Kronenberga (1812–1878). [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Bloch, *Jan Gottlieb* (1836–1902) — finansista i przemysłowiec, „król kolei żelaznych”, budowniczy kilku ważnych linii kolejowych, w tym Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>kirkut — cmentarz żydowski. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Mierosławski, *Ludwik* (1814–1878) — polski generał, pisarz i poeta, teoretyk wojskowości, działacz polityczny i niepodległościowy, uczestnik powstania listopadowego, przywódca dwóch powstań w Wielkopolsce (1846, 1848), pierwszy dyktator powstania styczniowego. [przypis edytorski]

*Victoria Regia*<sup>77</sup>. Właśnie kołysze się na wodzie sennej i martwej jak powietrze, otoczony kręgami swych olbrzymich nenufarowych liści, o brzegach zagiętych do góry jak brzegi wielkich zielonych patelní. Jest w tej chwili dużym jak mała dynia pąkiem, prześwieca białoróżowymi szparami kwiatu. Wszystkie sale wspaniałej poznańskiej palmiarni oddychają w nocy silną wonią tropikalnych gajów. W najskrytszym mateczniku tego lasu *Victoria Regia* zakwitnie naraz, jakby to był nie Poznań, ale zalewy rzeki Ukajali, i poznaniacy nie chcą, abyśmy stracili moment narodzin cudownego kwiatu. Niestety, *Victoria Regia* nie chce zakwitnąć, a poznaniacy także nie chcą ustąpić. Siedzimy przy czarnej kawie pół godziny, godzinę, dwie godziny. Rozchodzimy się po cienistych ścieżkach olbrzymiej szklarni-pałacu. Poznaniacy są najwidoczniej zażenowani, że zakwitnięcie *Victorii Regii* w obecności gości z Warszawy nie dało się wyreżyserować.

Przez kilka dni od samego rana do późnej nocy wielki turystyczny autokar przerzuca nas do coraz to innych miejscowości Poznańskiego. Pokazują nam nowe fabryki, które „centrala” chce przenieść do Warszawy, pokazują nam muzeum etnograficzne w Śremie, urządzone przez amatora, miejscowego restauratora, zasekwestrowane<sup>78</sup> przez izbę skarbową z tytułu niepłacenia podatków. Opowiadają nam dzieje starosty powiatowego, którego wicewojewoda nie zastał kiedyś w biurze, ale za to „odnalazł go bez trudu na miejscowej plaży; starostę przeniesiono na kresy” — kończy się sentencjonalnie opowiadanie. Wiemy teraz, jakie jest przeznaczenie kresów. Pokazują nam fabrykę cukru i osiedla dla bezrobotnych, warsztaty fabryki „Stomil” i ogród pałacu Działyńskich. Przez kratę pałacową widzimy zamek kórnicki, jezioro, na którym ku podziwowi okolicznych chłopów dwaj magnaci przed pół wiekiem urządzali bitwy morskie, z okrętami na wzór fregat Nelsona i prawdziwymi małymi armatkami. Pokazują nam nawet taką małą armatkę, z której potem popełnił samobójstwo jeden z tych wielkich panów, słynny podróżnik, hojny mecenas i pruderyjny wydawca listów Jana Sobieskiego. Oglądamy dwór Dezyderego Chłapowskiego, oficera Napoleona i barona cesarstwa, jednego z ludzi, którzy najgłębiej zrazili się do Korsykanina i zaczęli na drodze pozytywnej pracy szukać dróg do zwycięstwa. Widzimy czworaki<sup>79</sup> wiejskie z dużymi, paroizbowymi mieszkaniami, widzimy w tych mieszkaniach porządne, mieszczańskie meble, kaktusy i pelargonie w oknach, radio, maszynę do szycia, rower, wózek dziecienny w kącie, ogródki zamiast cuchnących bajor przed domami, chłopów przyjmujących za obrazę bożą propozycję mieszkania w niemurowanej chacie. W salonie dworu siedzi jeden z tutejszych chłopów. Trzeba nam było o tym powiedzieć, inaczej nie byłibyśmy wiedzieli. To nie tylko to, że chłop tutejszy nie będzie się na „pokojach pańskich” sromać<sup>80</sup>, wstydał i żenował, to także dlatego, że i w sposobie bycia niejednego z naszych wielkopolskich gospodarzy jest chłopska bezpośredniość zarazem i prostota. Różnica zaciera się i „od dołu”, i „od góry”, zewsząd. My patrzymy na to jak na inny, bardzo od naszego odmienny świat. Istotnie, świat rozpoczynający się za linią, wytyczoną przez kongres wiedeński za granicę ziem pruskiego Wielkiego Księstwa Poznańskiego i rosyjskiego Królestwa Polskiego, jest bardzo odmienny.

Przez długi czas mieliśmy go za świat urobiony po prostu na wzór i podobieństwo Niemiec i tym rozwiązywaliśmy sobie wszystko. Ale cechą, która Poznańskie czyni tak bardzo odmiennym od całej reszty Polski, to nie jest niemieckość lub dryl pruski, to jest dobrobyt, a raczej, powiedzmy ściślej, jest zachodniość tutejszego gospodarstwa. Życie gospodarcze i społeczne tego kraju rozwijało się od stu lat w pełnym związku z rozwojem tego życia w całej Europie Zachodniej. Jak ono, było rolnicze, cierpiące na przeludnienie agrarne w połowie ubiegłego wieku; jak ono, zostało ogarnięte gorączką emigracji przemysłowej w kilkanaście lat później; jak ono, uregulowało swą sprawę agrarną trojakiemi drogami: emigracji handlowej do miasteczek, robotniczej do nowych parcelacji, i intensyfikacji; wreszcie jak ono, zapoczątkowało nowoczesny rozwój rolnictwa i przemysłu rolniczego. Na odrębność Poznańskiego złożył się silniej i w daleko wyższej mierze ustrój

<sup>77</sup>*Victoria Regia* (łac., bot.) — Wiktoria królewska, roślina wodna z dorzecza Amazonki, mająca ogromne, okrągłe liście o podniesionym brzegu, uprawiana w wielu ogrodach botanicznych, w ogrzewanych basenach. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*zasekwestrować* — sądownie zająć majątek w celu zapewnienia roszczeń. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*czworaki* — budynki mieszkalne podzielone na cztery izby, dla czterech rodzin pracowników folwarku. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*sromać się* (starop.) — wstydzić się. [przypis edytorski]



gospodarczy niż tyle u nas omawiana sprawa narodowościowego nacisku. Pług reform społecznych i ekonomicznych przeorał go tysiącokrotnie silniej niż tromtadracja<sup>81</sup> landratów<sup>82</sup>, hukanie pism nacjonalistycznych, paragrafy i ustawy antypolskie. Państwo, które temu krajowi ukształtowało ustrój jego życia, szablon jego myślenia, system jego organizacji, schemat pracy, odeszło, skurczyło się, zwęziło, jak wcześniejsza o wieki niemieckość starego Krakowa ograniczyła się wreszcie do niedzielnej mszy z kazaniem niemieckim u Świętej Barbary. Ale wprowadzony tu ustrój został, opiera się, trwa i odgradza. Ustrój ten zrobił wiele. Że spolszczył poznańskie miasta i miasteczka, że usunął z nich Żydów, to prawda, ale to prawda bardzo wąska i bardzo ciasna. Na konto tego ustroju trzeba tu zapisać prawie wszystko, bo prawie wszystko on tu nie tyle stworzył sam, ale raczej i prędzej dopomógł do stworzenia, ułatwił, umożliwił. Gdzie indziej z nie mniejszą niż tu energią były podejmowane nie mniejsze niż tu i tutejszym podobne próby; bywali i gdzie indziej działacze na miarę patrona Jackowskiego<sup>83</sup> czy księdza Wawrzyniaka<sup>84</sup>, mieli takie same idee, takie same cele. Pozytywizm gospodarczy, praca społeczno-narodowa miała z Prusem na czele swych najlepszych formulatorów właśnie gdzie indziej, poza granicami tego kraju. Realizatorów znalazła jednak tylko właśnie tutaj, i właśnie tutaj powstały sklepy nie wyidealizowanych Wokulskich, Wokulskich bez dziadka kasztelana i wywodu z heroldii<sup>85</sup>, zagrody podniesionych społecznie Ślimaków.

Śmiałyśmy się i śmiejemy z słynnych poznańskich ogłoszeń, o kanapie do sprzedania, na której właścicielka gotowa jest coś stracić, o fabryce kieszek z naturalnym popędem. Podziwialiśmy, że to całe społeczeństwo jest „nareszcie” polskim społeczeństwem chłopskim, że zdrenowano tu całą żeromszczyznę i rabację, że Deczyńscy<sup>86</sup> nie są już oddawani w rekruta przez dziedzica, że powstanie, Polska i wszystko nie jest już dla nich rzeczą pańską, dworską i szlachecką. Otóż i te rzeczy, z których myśmy się śmiali, i te, które naszym entuzjastom wyciskały leżkę zachwyty, pochodzą z tego samego źródła. To są rzeczy, które przyszły razem, razem idą, od siebie oddzielić się nie dadzą. To są rzeczy takie same jak w Polonii amerykańskiej, gdzie chicagowski „Dziennik Związkowy” ogłasza najspokojniej, że na jakieś religijno-narodowe cele odbędzie się tam a tam „wielka afera karciana”, ale gdzie też wychodzą największe polskie pisma i gdzie istnieją jedyni nowocześni polscy milionerzy. To są wreszcie rzeczy — ludzie mali, nie obraźcie się! — takie same jak nowotwory ukraińskiej mowy, tyle wyśmiewane przez dumnych Polaków ze Lwowa i Trembowli. To są różne objawy tego samego procesu: Poznańskie i Chicago to jedyne punkty, gdzie nastąpiła prawdziwa polska rewolucja klasowa, gdzie chłop objął — wszystko, zasiadł w sklepie, banku, szkole, uniwersytecie, kancelarii adwokackiej, i wszędzie zachował się tak, jak lokator domu budowanego nie dla niego, domu, w którym mu jest niewygodnie i w którym wszystko przemienia, stawiając w salonie inkubator do wylęgania kurcząt, a wewnątrz fortepianu używając za nadprogramową szufladę. Nowe pojęcia, przedmioty i czynności nie znajdują w jego słownictwie odpowiednich określeń, chwytają je na gwałt z obcej przekręconej mowy, dorabia je sobie sam szybko i tandetnie, używa składni językowej tak samo wadliwie, jak „wadliwie” posługuje się serwetką czy nożem przy stole, ale ma już swoje snobizmy, ma już swoje *Victoriae Regiae*. Możemy o takim społeczeństwie powiedzieć to samo, co zwykle mówimy o Czechach, Ukraińcach, o reemigrantach z Ameryki — najczęściej zresztą bardzo niesłusznie — że są to

<sup>81</sup>tromtadracja — krzykliwe, demonstracyjne głoszenie wzniosłych, lecz pozbawionych treści hasel. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>landrat — naczelnik powiatu w Prusach nadzorujący sprawy administracyjne i policyjne. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Jackowski, Maksymilian (1815–1905) — polski działacz społeczny i gospodarczy w Wielkopolsce. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Wawrzyniak, Piotr (1849–1910) — polski ksiądz, wielkopolski działacz społeczny, oświatowy i gospodarczy. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>heroldia — po powstaniu listopadowym dekretem carskim powołano, na wzór analogicznej instytucji rosyjskiej, Heroldię Królestwa Polskiego (1836–1861), która zajmowała się sprawdzaniem dowodów szlachestwa i prowadzeniem ksiąg szlachty; po rozwiązaniu instytucji jej dokumenty trafiły do Petersburga. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Deczyński, Kazimierz (1800–1838) — polski pamiętnikarz pochodzenia chłopskiego; pomimo uznania za niezdolnego do służby wojskowej został wcielony do armii, uczestniczył w powstaniu listopadowym; autor krytykowanego przez środowisko emigracyjne *Opisu życia wieśniaka polskiego*, w którym negatywnie ocenił ustrój feudalny i szlachtę. [przypis edytorski]

ludzie bez „manier”, że jest to społeczeństwo „chamskie”, ale właśnie w tym uchwyceniu podkreślamy istotną cechę tego społeczeństwa, że jest ono nowe, młode, świeże, że w swym nieokresaniu posiada niewyświechtaność, że w swym braku poloru<sup>87</sup> posiada siłę. Siła, młodość, nowość i świeżość ujawniają się w rozmaity sposób, ale wszystkie te objawy są nieodłączne.

Co zrobiła reforma agrarna, która w ciągu dwudziestu kilku lat przebudowała dawny, odziedziczony po Rzeczypospolitej szlacheckiej, zaostrzony jeszcze staropruskimi ustawami o dziedzicu, ustrój agrarny? Oto chcąc przeciw szlachcie ziemiańskiej, przez całą połowę w. XIX jedyne promotora irredenty<sup>88</sup>, wygrać chłopą, zorganizowała go w silną rolniczo warstwę zamożnych gospodarzy, odciągając nadmiar ludności bezrolnej lub małorolnej do miasta, do tworzącego się przemysłu posadańskiego<sup>89</sup> cesarstwa. Uprzemysłowienie Niemiec i rozbudowa wielkich miast pociągnęły ku sobie z Poznańskiego wielkie siły. Pociągnęły żydostwo miejscowe, które w wielkim ruchu handlowym stolicy znalazło więcej pola do pracy; pociągnęły za sobą większe jeszcze zapewne, nigdy — rzecz dziwna — nieobliczone u nas, masy proletariatu polskiego. Ale jednocześnie inna fala wsi polskiej poszła na miasto. Nastąpiło nieskoordynowane i pośpieszne zlanie się niemieckich form życia burżuazyjnego z chłopską naturą przybysza. Tak samo jak wychodźstwo za morzami kojarzyło swoją polsko-chłopską przeszłość z amerykańsko-miejską przyszłością. Być może, że skojarzenia te wypadły bezładnie, chaotycznie, nieharmonijnie. Być może, że uniknęłyby się wiele śmieszności i rzeczy rażących, gdyby ten proces rozłożył na długie lata, gdyby stopniowo masa chłopska przeciekała do miasta i stopniowo tworzyły się formy polskiego życia miejskiego, jak powstały one we Włoszech. Ale właśnie charakter przemian w Poznańskim miał mimo cały swój konserwatyzm<sup>90</sup>, społecznie biorąc, najwybitniej rewolucyjny charakter, i ten kraj, który w swoich dziejach nie miał ani roku 1846, ani roku 1905, jest tu krajem specjalnie najmniej anachronicznym w Polsce, gdzie tyle rzeczy przypomina jeszcze życie Europy sprzed 1848 r... Piast po raz drugi zwyciężył szlacheckiego Popiela.

A ustrój zachodnioeuropejski, tak jak go wreszcie wypracował schyłek XIX w., nie zatrzymał się na spolszczeniu poznańskiego miasta przez schłopienie go, nie zatrzymał się na stworzeniu jedyne w Polsce mieszczaństwa, które wywodzi się nie ze zrujnowanego dworu, ale ze zubożonej wsi. Ustrój ten, mimo sprzęgnięcia go po 1918 r. z nowym organizmem państwowym, gdzie w harmonijny chaos układa się feudalizm „dołów” z etatyzacją „góry”, nie zatrzymał się w swoim rozwoju, trwa, wydaje skutki. Zmieszczanie chłopstwo przyniosło do Śremów, Śród, Nakiel i Gniezen swoją starą, prymitywną, uczuciową, prostą i płytką religijność, ale połączyło ją też z mocnym postanowieniem nie dać się zepchnąć z tego standardu życiowego, na który po tylu wiekach poniewierki zdołało się wydostać: Poznańskie jest religijne, ale jest religijne mieszczańsko. W miastach poznańskich nie widzi się Żydów, ale widzi się i mało dzieci. Przyrost naturalny tego kraju, gdzie wychodzą dziesiątki doskonale prowadzonych katolickich pism ludowych, jest niesłychanie niski. W powiecie gostyńskim zaznacza się spadek urodzin. Powiat gostyński jest najbogatszym rolniczym powiatem Polski, powiatem arystokracji chłopskiej i powiatem bezdzietnym. To są wszystkie rzeczy, których również nie złączył ze sobą przypadek. To są rzeczy, które tak samo dał ten właśnie i taki właśnie ustrój.

Ustrój, lepiej niż jakikolwiek inny czynnik, przeprowadził tu aż do najdalszych granic między własności prywatnej. Ustrój, który rozdrabniał, nędzarskie, poletkowe gospodarstwa rolne zamienił na małe chłopskie ordynacje, przyznał każdemu z tych ordynatów<sup>91</sup> chłopskich osobne ławki w kościele, czego w wielu okolicach wschodniej Polski nie mają już nawet ziemiańscy kolektorzy<sup>92</sup>. Ustrój nie zatrzymał się nawet przed bramą

<sup>87</sup>polor — ogłada, dobre maniery, kultura towarzyska. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>irredenta — dążenie do wyzwolenia narodowego. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>posadańskie cesarstwo — tj. to, które powstało „po Sedanie”; wojna francusko-pruska (1870–1871) między Cesarstwem Francuskim a Królestwem Prus, wspieranym przez inne kraje niemieckie, zakończyła się straszną klęską wojsk francuskich w bitwie pod Sedanem, a następnie proklamacją założycielską zjednoczonego Cesarstwa Niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>mimo cały swój konserwatyizm — dziś popr. z D.: mimo całego swego konserwatyzmu. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>ordynat — właściciel ordynacji: wielkiego, niepodzielnego rodzowego majątku ziemskiego, przechodzącego z ojca na syna. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>kolektor — zbieracz opłat lub składek. [przypis edytorski]

wysokiego kościoła. Wszystko więc jest podzielone i przydzielone, niewspólne, własne. Ustrój rosyjski w Polsce starał się granice własności prywatnej zacierać; Muchanow<sup>93</sup> propagował miry, wspólne pastwiska, serwituty gromadzkie, tu w Poznańskim rozgradzano wszelką wspólnotę, jak ją rozgrodzono na Zachodzie. W ludnym i rozgraniczonym Poznańskim prowadzi się jedyną bodaj w Polsce formę rozwiązania bezrobocia przez osadzanie bezrobotnych na roli, na dawnych hałdach podmiejskich, w małych ogródkach, z pobudowanymi wśród zagonów kartofli domami, między którymi pojawiają się już pierwsze drzewka owocowe, przyszłe sady. To wszystko pobudowane znowuż na resztkach i szczątkach wspólnej własności gruntowej; na dawnych ziemiach parafialnych czy miejskich, dawnych pastwiskach gminnych, gruntach wydartych melioracją spod grozy zalewu Wartą, ziemiach wywłaszczonych przez Prusy pod tereny forteczne. W reszcie kraju bezrobotni ci będą armią robotniczą przenoszoną od Soły do Prypeci. Tu będzie się zmierzało najszybciej do tego, żeby z powrotem dać im ziemię na własność. Znowuż w Niemczech jest milion takich ogródków działkowych, znowuż wszystkie przedmieścia, wszystkie zbocza torów kolejowych przy miastach obrosłe są chaszczą takich ogródków.

Sowieckie reportaże o budowie Dnieprostroju<sup>94</sup> wspominają o dosyć częstym fakcie ucieczki robotników od tej pracy. Trzeba pamiętać, że Dnieprostroj nie był budowany przez kadry zesłańców, warunki pracy nie były szczególnie ciężkie, że robotnik rosyjski nie jest, jak angielski czy niemiecki, przyzwyczajony do łaźienki i do puddingu<sup>95</sup>. Jednak robotnik rzucał pracę, dezertował, czego robotnik budujący Gdynię nie robił. Oto w Rosji zaciera się granica między położeniem bezrobotnego a pracującego. Podobnie na kresach, przy niskiej płacy robotnika, a taniości życia, różnica między bezrobotnym a posiadającym pracę niemal zanika. Tam istnieje raczej różnica między posiadającym własność a nieposiadającym jej, i dobrobyt, bardzo zresztą względny, związany jest z faktem własności.

W ustroju Poznańskiego jest inaczej.

W ustroju, jaki ma po dziś dzień Poznańskie, przy stosunkowo — jak na stosunki polskie — wysokim wynagrodzeniu, stosunkowo — znowuż jak na stosunki polskie — wysokich cenach wszystkiego, między położeniem człowieka, który ma pracę, i człowieka, który jej nie ma, istnieje głęboka różnica. Duża demokratyzacja stosunków czyni wszystko, lub wiele, dostępne temu, kto zarabia, posiada pracę. Ten, kto jej nie ma, jest w wyższym stopniu niż w reszcie Polski zależny od funduszy, czynników, instytucji publicznych, w większym stopniu wydziedziczony i spauperyzowany. W takim kraju bezrobocie jest zjawiskiem dziesięćkroć tragiczniejszym.

Gdyby tu powstała była wielka kultura literacka! Oto jeszcze pytanie. Gdyby ci Kałamajscy i Zakrzewscy, Ratajscy i Ratajczakowie mieli braci i synów piszących, gdyby obok księdza Wawrzyniaka był Prus, zamiast Wilkońskiego<sup>96</sup> Reymont. Ale wszystko, co tu pisało, emigrowało z Poznańskiego nie tylko jako z ziemi, ale jako ze stosunków, z procesu dziejowego, ze zmian społecznych. Gdzież tego Poznańskiego lat przedwojennych szukać u poznaniaka, który pozostał wielkim chłopem wiejskim, u Kasprowicza<sup>97</sup> gdzież szukać tego, co się tu stawało, u Przybyszewskiego<sup>98</sup>, asymilanta niemiecko-skandynawskiej secesji? To, co się tu działo z niezwykłą na Polskę konsekwencją, niestety, nie

<sup>93</sup> Muchanow, Paweł Aleksandrowicz (1798–1871) — rosyjski wojskowy, urzędnik carski w Warszawie, dyrektor Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> Dnieprostroj (ros.) — Dnieprzańska Elektrownia Wodna, hydroelektrownia na rzece Dniepr, zbudowana w latach 1927–1932. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> pudding — angielski deser o konsystencji gęstego budyniu lub miękkiego ciasta. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> Wilkoński, Zygmunt (1832–1882) — polski przedsiębiorca i prawnik, twórca pierwszej na Kujawach cukrowni w Janikowie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> Kasprowicz, Jan (1860–1926) — poeta, krytyk literacki, dramaturg, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, tłumacz; twórczość Kasprowicza odzwierciedla kilka nurtów młodopolskich: od naturalizmu (*Z chłopskiego zagonu*), przez symbolizm, katastrofizm i ekspresjonizm (*Hymny*) do prymitywizmu (*Księga ubogich*). [przypis edytorski]

<sup>98</sup> Przybyszewski, Stanisław (1868–1927) — pisarz, dramaturg, poeta, jeden z pierwszych ekspresjonistów w literaturze europejskiej, czołowy twórca Młodej Polski i jej estetycznego programu (*Confiteor*), redaktor krakowskiego „Życia”, skandalista, członek cyganerii krakowskiej. Jego płomienne manifesty, twórczość i styl życia przyniosły mu szeroką popularność. Postać ważna także dla literatury niemieckiej, dzięki pisanim w młodości poematom prozą, później przetłumaczonych na polski. [przypis edytorski]

miało swego poety, pisarza, dziś także nie doczekało się swojej Marii Dąbrowskiej<sup>99</sup>. Jest to większa szkoda, niż się wydaje: tego typu przemian społecznych nie było w całej reszcie Polski owego czasu. Tyle nowych elementów nie wydostało się na powierzchnię nigdzie w Polsce. Literatura wyrosła z nich, obok nich i dla nich — byłaby obrazem tych przemian, portretem tych ludzi. Świadectwem epoki. Być może, że dla tych warstw polskich innych dzielnic, które mozolniej odbywają proces dążenia ku górze, byłaby to literatura bliższa, bardziej dostępna, zrozumiała i swoja niż literatura ze szlacheckim rodowodem. Jaka by była? Być może, że przypominałaby Knuta Hamsuna<sup>100</sup>, może pisarzy skandynawskich, bardzo być może, że miejscami nawet literaturę sowiecką, która śledzi przede wszystkim proces dojścia do władzy i podniesienia się na obce sobie szczeble wielkich mas ludowych.

Literatury jednak poznańskiej nie ma, istnieje tylko głód literatury. To pobożne i mieszczańskie środowisko importuje z Warszawy i reszty Polski ogromną moc czasopism właśnie najbardziej lewicowych. Ten kraj, którego gazety posiadają spore jak na Polskę nakłady i najbardziej przyziemny, konkretny, amerykański sposób ich redagowania, nie zawiera własnej literaturze publicystycznej. Periodyki, sprowadzone z Wilna, ze Lwowa, z Chełmna, z Naprawy, powiewają na każdym kiosku. To są jeszcze jedne egzotyki, jeszcze jedne *Victoriae Regiae*. Spokojne, umiarkowane Poznańskie jest łase na nowinki religijne. Ustrój, jaki mu nadano w ciągu wieku, najbardziej może wyrażony z ustrojów ziem polskich, pozostawia szeroki margines do tęsknot ku lepszemu. Ale Warszawa nie jest jedynym importerem nowinek: w szynkach i restauracjach, kiedy jest *Parteitag*<sup>101</sup>, głośniki radiowe chwytają nie tylko Hitlera czy Goebbelsa, ale Fricka<sup>102</sup>, Darrégo<sup>103</sup> i innych bogów brunatnego Olimpu, ludzie siedzą, słuchają, myślą. Tamten świat za Zbąszyniem jest uformowany tak jak oni, przeżywa bóle bliskie ich bólom. Być może, że znalazł leki bliskie ich marzeniom o lekach. I jeśli dziś wieczorem słucha się w Poznańskim mów niemieckich ministrów przez niemieckie radio, nie myślcie, że jest to skutek dawnej pracy germanizacyjnej. To więzy gospodarcze, więzy psychiki społecznej przetrwały granicę.

## KIEŁKOWANIE NA BAGNIE

Młody zupełnie, wprost niepoważnie, nieprzyzwoicie młodziutki ksiądz opowiada mi wszystko na wziętkiej bryczce, w środku głębokiego lasu, nad samą granicą sowiecką. Znam go jeszcze skądinąd i wiem o nim samym wiele. Jest synem zamożnej rodziny chłopskiej, tak zamożnej, że już w dzisiejszych czasach nie sukienka duchowna patrzyła się jej dla syna, ale bardziej po dzisiejszemu — urząd. Ten młody człowiek jest księdzem z głębokiego powołania; skończył pomyślnie seminarium nauczycielskie; miał już przed sobą jedną karierę otwartą, gdy przeszedł na inną drogę. Inna droga powiodła go potem w najdzikszyny ostep Polesia. Od małej stacyjki granicznej, skąd raz na tydzień odchodzi pociąg towarowy i jest szesnaście godzin koleją z Warszawy, było do jego parafii Puzewicze jeszcze 56 km leśną głąszą. Parafia była rzucona w błota i lasy, między prawosławie, baptyzm i zabobon. Gdzieś przy samej granicy stała strażnica KOP-u<sup>104</sup>, gdzieś jak Owidiusz<sup>105</sup> nad Morzem Czarnym snuł swe *tristia* zagubiony tu nauczyciel. Księży, jak wiedziałem skądinąd, przydzielano tu dotąd staruszków, czasem zesłańców niedobrze

<sup>99</sup>Dąbrowska, Maria (1889–1965) — pisarka, autorka opowiadań (cykl *Ludzie stamtąd*), powieści (monumentalne *Noce i dni*), tekstów publicystycznych oraz esejów. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Hamsun, Knut, właśc. *Knut Pedersen* (1859–1952) — norweski pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1920), autor powieści psychologicznych i egzystencjalnych; podczas II wojny światowej opowiadał się po stronie faszystowskiej i marionetkowego rządu Quislinga. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Parteitag (niem.) — zjazd partyjny; tu: jeden z corocznych wieców nazistowskiej partii NSDAP, które po dojściu Hitlera do władzy w 1933 stały się wielkimi propagandowymi wydarzeniami. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Frick, Wilhelm (1877–1946) — prominentny działacz nazistowski, minister spraw wewnętrznych III Rzeszy, następnie protektor Czech i Moraw, zbrodniarz wojenny. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Darré, Richard Walther (1895–1953) — prominentny działacz nazistowski, członek SS, minister rolnictwa III Rzeszy. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>KOP — Korpus Ochrony Pogranicza, polska formacja wojskowa utworzona w 1924 do ochrony wschodniej granicy II Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>Owidiusz, właśc. *Publius Ovidius Naso* (43 p.n.e.–17 a. 18 n.e.) — jeden z największych poetów rzymskich, twórca licznych utworów o tematyce miłosnej, *Ars amatoria* (*Sztuka kochania*) i poematu epickiego *Metamorfozy* (*Przemiany*); w 8 roku n.e. został skazany przez cesarza Augusta na zesłanie do Tomi nad M. Czarnym

widzianych w kurii. Młodziutki ksiądz nie był jednak zesłańcem i był synem chłopskim z kresów. Tedy<sup>106</sup> po raz pierwszy proboszcz puziewicki zaczął naraz objeżdżać wszystkie kąty rozległej parafii i wyszukiwać w niej najbardziej zabłąkane owieczki. Jeździć musiał do nich wasągami<sup>107</sup>, ale częściej jeszcze konno, często łódką duszegubką<sup>108</sup>. Całymi tygodniami błądził tak po rojstach<sup>109</sup>, omijał zdradzieckie nietry<sup>110</sup>, okrążał wiorstami<sup>111</sup> wszelakie hały<sup>112</sup>, popławy<sup>113</sup>, wyżary<sup>114</sup>, w ile tego wszystkiego obfituje las i język polepszucki.

Wilkiem patrzący parafianie spoglądali z leśną nieufnością na duszechwata. Niejedni widzieli księdza po raz pierwszy w niekrótkim życiu. Wtedy w tych odległych chutorach<sup>115</sup> ksiądz Wieliczko wydostawał z torby wszystko, co potrzebne jest do mszy świętej, i ludzie leśni widzieli ze zdumieniem, że „molebnia”<sup>116</sup> przyszła do nich z kościoła, jak z dalekiego świata do innych parafii przyszły szyny kolejowe, odgłos sygnałów tartacznych, radio ze strażnicy KOP-u, nieznanne choroby. Dla mszy trzeba było nie tylko oczyścić brudną izbę czy miejsce w lesie. Trzeba było przede wszystkim uczynić to samo ze straszliwym kołtunem wierzeń religijnych, mieszaniną legend ewangelicznych, przeżytków słowiańskiego pogaństwa, którego te puszcze były ostatnim europejskim rezerwatem, stałych sporów religijnych Rzymu z Bizancjum, sekciarskich dogmatów, co dawno uschłe w świecie, odkwitły z nową mocą w głuchym bagnie. Młody ksiądz cofał się niemal przed bezmiarem topieli, jaka rozpościerała się przed nim. Nie mówił mi tego, ale przyznawał, że wszystkie swoje misjonarskie nadzieje pokładał w małych dzieciach leśnych. Patrzyło to ciekawie i prosto. Słuchało z niezwykłym, niespotykanym napięciem wszystkiego, co ksiądz-wędrownik mówił w zalewach Sluczy i rozłogach leśnych, niegdyś może spławnych, kanałów, o tym, co się niegdyś stało w Galilei, Kafarnaum, Tyberiadzie. W takie dni ksiądz z pogranicznej parafii był tu wszystkim. Był inspektorem rolnym, który, wbrew podstępnej nieufności starszych, przekonywał do sadzenia warzyw, uprzednio namuliwszy bagnem piasek ogródka, niemal zadając to jako pokutę religijną. Był nauczycielem ludowym, który docierał aż w tę głąszę i po którego odjeździe dzieci sylabizować musiały napis na jedynym okazie druku w puszczy — świętym obrazku. W te kilka świąt do roku, gdy jednemu księdzu wolno jest odprawić trzy msze, ksiądz rozpoczynał dzień o czwartej rano pierwszą mszą w Puziewiczach, po czym zaraz siadał na konia i jechał na drugą mszę o dwadzieścia kilka kilometrów, potem — wciąż na czczo — na trzecią, którą odprawiał już prawie po dwunastej.

W tych wędrówkach, jeśli nie ocierał się o granicę sowiecką, gdzie patrolują żołnierze, lub o drogę do stacji, którą czasem ktoś przejeżdżał, nie spotykał nikogo prócz leśnych ludzi. Ale ksiądz miał w tych bagnach głęboko zaszytych przeciwników. Nie musiał tu prowadzić słusznej czy niesłusznej wojny, jaką niejeden ksiądz wiedzie na wsi z niejednym nauczycielem, odnoszącym się niechętnie do religii. Po zaściankach lub czasem w zupełnej głąszy siedzieli jednak ludzie, którzy też sprawowali swój rząd dusz. Czarodzieje, znachorzy i wieszczuny. Były to dzisiaj przede wszystkim kobiety zamawiające choroby, do księży odnoszące się niechętnie, niechęcią zapadłą może w czasach, gdy te ostatnie służki dawnych kultów pogańskich tropiono w lasach i oddawano katu. Ksiądz z Puzewicz łamał bowiem niepisany rozejm między kościołem a znachorstwem w tych stronach: zamiast siedzieć na swej parafii, rozjeżdżał po niej, grasował po najdalszych zaściankach,

---

(ob. Konstanca w Rumunii), gdzie napisał m.in. zbiór elegijnych listów poetyckich pt. *Tristia* (Żale). [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*wasąg* — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*duszegubka* (reg.) — łódka dłubanka, wydrążona w pniu drzewa, bardzo wywrotna, stąd określenie, oznaczające „gubicielka dusz”. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*rojst* (reg.) — miejsce bagniste porośnięte mchami, krzakami; torfowisko; moczary. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*nietry* — grząskie tereny, porośnięte łożą, trzcinami, olchą i zielskiem. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*wiorsta* — dawna miara odległości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*hały* (reg.) — miejsca „gole”, pozbawione zalesienia, zadrzewienia. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*popława* (reg.) — łąka położona wśród pól na niższym terenie, okresowo zalewana przez pobliską rzekę lub deszcze. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*wyżary* (reg.) — miejsca na bagnistym lub torfowym gruncie wypalone przez pożar ziemny. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*chutor* (z ukr.) — pojedyncze gospodarstwo, oddalone od wsi; przysiółek. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*molebnia* — nabożeństwo wschodnie. [przypis edytorski]

niejako raubszycował<sup>117</sup> na cudzym terenie. Dokąd nie zaglądali żadni przedstawiciele wielkiego państwa, zaglądał i wkraczał. Wszystko w tych rojstach było zatem jak gdzieś w Rodezji czy Kambodży, gdzie misjonarz wypasza przede wszystkim miejscowego czarnoksiężnika.

Dziś młody ksiądz żałuje swej leśnej parafii. Jest teraz także nad granicą sowiecką w środku Polesia, ale ma stację na miejscu. Całe miasteczko drewnianych domów rozrosło się, gdzie przed szesnastu laty stało jedenaście chałup. Na terenie olbrzymich niegdyś magnackich majątków, dziś zagranicznej spółki akcyjnej, powstała fabryka dykt, zatrudnia przeszło tysiąc robotników. Po lasach, które zaciskają się wokół osady, drży płynący z rosą metaliczny dźwięk pił tnących drzewo. Huczą trzy razy na dobę syreny fabrycznej zmiany. W puszczy wdarł się naraz przemysł, w społeczeństwie leśnych dziadków, żyjących z myślistwa, tłukących sobie kaszę w stępach<sup>118</sup>, mielących ziarno w żarnach domowych, tkających sobie odzież i krzeszących ogień z hubki<sup>119</sup>, stanął — robotnik.

W wielkich, niedawno wybudowanych halach fabrycznych unosi się silny, nieznanym gdzie indziej zapach pni olchowych i sosnowych, które długimi miesiącami mokły w wodach Prypeci i Piny. Tak pachnie w porcie w Pińsku, na przystani horyńskiej w Dawidgródku, w załomach Jasiołdy, na której kajak zatrzymany jest nieraz spławem flisackim. Ale w wielkiej fabryce poleskiej nie tylko tnie się olchę i sosnę. Oto na zębaty walec maszyny nałożono duży kłoc nieznanego drzewa. Oto drugi kłoc i trzeci. Za chwilę maszyna rozwinie te kłoc w zwoje jakby tkaniny, potnie je na części, będzie je pod prasami rozprostowywała, zlepiła, składała na cienkie deski meblarskiego forniru. Maszyna obraca teraz pień drzewa serayah, potem weźmie na swoje noże pień drzewa teak, potem weźmie pnie limby białej i czarnej. Serayah jest drzewem z Borneo, tamte są drzewami z Afryki Południowej. Czy to meblarstwo polskie potrzebuje tych drzew szlachetnych? Bynajmniej. Serayah i teak, które przybyły tu z egzotycznych krajów, wrócą tam z powrotem w formie dykty, zrobiwszy morzem i lądem tysiące kilometrów i całe tygodnie podróży. Po cóż to wszystko? Oto trzeba pamiętać, że Unia Afryki Południowej jest dominium angielskim o wysokim standardzie życia robotnika, że holenderski robotnik jest także robotnikiem o wysokich płacach. Przeróbka drzewa, która nie opłacałaby się w Kapsztadzie, opłaca się w Mikaszewiczach. Czy więc w lasach panuje wyzysk przemysłu i wyzysk przemysłu czyni rentowną podróż afrykańskich kłoców na Polesie? Nie mam tego wrażenia. Oto zarobki robotnicze wynoszą, jeśli chodzi o kobietę, od zł 1,60 do zł 2,90 za ośmiogodzinny dzień pracy, mężczyzna zarabia tu od zł 2,40 do zł 7 dziennie. Są to oczywiście w zestawieniu z Zachodem robocizny niskie, ale są to robocizny wysokie, a nawet bardzo wysokie, jeśli chodzi o to, co człowiek tutejszy mógłby zarabiać, gdyby po dawnemu w Mikaszewiczach jedenaście suchotnicznych<sup>120</sup> chałup sterczało pod lasem. Mieszkania robotników są czyste i schludne, doglądane przez opiekę społeczną, jest łaźnia bezpłatna i bezpłatna — oczywiście — pralnia, jest spółdzielnia sprzedająca artykuły pierwszej potrzeby istotnie po najniższych cenach, jest piękny dom ludowy z salą teatralną, do której przyjeżdża czasem teatr objazdowy z Wołynia, robotnicy mają opał za darmo, siano dla swego bydła kupują ze znaczną zniżką. Dom opieki nad matką i dzieckiem ma czyste białe pokoje, wszystkie urządzenia. Stację obsługują dwie pielęgniarki fachowe. Kobiety ciężarne, które pracują w fabryce, i żony robotników, które same nie pracują, istotnie znajdują tu pomoc. Każdy noworodek dostaje całą wyprawę bielizny, wianienkę. Znowu trzeba pamiętać, że to jest Polesie, że matki tych noworodków najczęściej wyszły z lasu, że trzeba doglądać, aby z wianienki czyniono właściwy użytek, a pieluchy nie poszły na chusty. Znowu trzeba te rzeczy brać w związku z krajem. To, co byłoby naturalne w Poznańskim, za prymitywne w Manchesterze, dużo oznacza na Polesiu.

Tych tysiąc trzystu ludzi zatrudnionych w Mikaszewiczach to nie wszystko Poleszycy. Mamy wśród nich Polaków z Kongresówki, Śląska i Poznańskiego. Element ludzki miesza się tu stale, dopływa nowy. Fabryka rozbudowuje się, jak zresztą bodaj cały przemysł

<sup>117</sup>raubszycować (daw., z niem.) — kłusować, uprawiać kłusownictwo. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>stępa — dawny przyrząd do kruszenia ziarna na kaszę, składający się z wysokiego naczynia wydrążonego w kamieniu lub drewnie oraz drewnianego ubijaka, zwanego stęporem. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>hubka — miąższ huby, grzyba rosnącego na pniach drzew, używany do rozniecania ognia z pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>suchotniczy — charakterystyczny dla suchotnika, tj. chorego na gruźlicę. [przypis edytorski]

drzewny w Polsce. Fabryka przerabia drzewo poleskie, a jako ważny „produkt uboczny” przerabia i poleskiego człowieka. Praca na starej wsi poleskiej stanowi jeszcze jedno podobieństwo z murzyńskimi stosunkami: w swej bezwzględnej większości ciążyła na kobiecie. Wielkim zajęciem mężczyzny były sianokosy, dokonywane na łąkach bagiennych. Wszystkie inne zajęcia należały do kobiety. Mężczyzna wiodł żywot kacyka podzwrotnikowego, polował, łowił ryby. Tłuczeniem kaszy i mieleniem zboża zajmowała się kobieta. Fabryka wszystko zmieniła. Praca w fabryce zmusza człowieka do nieznanego na wsi napięcia nerwów, uwagi, zmusza do szybkości, metodyczności ruchów, tempa pracy. To już nie jest ani koszenie, ani spław drzewa, i pieniądze, jakie tu ściągają ludzi, nie są przez nich łatwo zarobione. O takiej pracy Poleszuk nie miał pojęcia. Ale też robotnik ma pieniądze. Robotnik ma czystą izbę, widział teatr, czyta, pije herbatę z cukrem. Ta nowa warstwa socjalna na Polesiu przeżywa ogromną hossę na miejscowej giełdzie kobiecej. Cóż znaczy wyjść za popa, za gospodarza, za zaściankowego szlachcica, jeśli można wyjść za robotnika? Robotnik to duże mieszkanie, ogródek, kilkadziesiąt złotych wypłacanych co drugi tydzień, to herbata i cukier, zapalki i nafta czy elektryka, to miastowy kapelusz, to gościńce fabryczne dla dzieci na gwiazdkę i nowe, ciekawe życie. Ten mąż, który idzie na osiem godzin, potem wraca zharowany, nie czepia się byle czego, pracuje, zarabia, to istotnie ideał małżonka, a jego pozycja na tle nędzy poleskiej istotnie znaczy wiele.

Ale to nie tylko pospolite kobiece ciągoty, zadowolenie kotki przy ciepłym piecu i łaskawych ludziach podnosi olbrzymie znaczenie socjalne, jakie stwarzają w Polesiu narodziny robotnika przemysłowego. W kategoriach poleskich jest to nowy człowiek i nowa warstwa. To nie jest „człowiek prosty”, ale niemniej nie jest człowiek „z panów”. „Z panów” jest każdy urzędnik, nawet sekwestратор<sup>121</sup>, choć oczywiście urzędnik nie jest z tych prawdziwych, wielkich i dawnych panów. Dotąd na Polesiu była tylko jedna kategoria ludzi żyjąca między światem prostym a pańskim: Żyd. O Żydzie pomówimy później. Otóż naraz taką kategorią nadzwyczajną stał się robotnik. Dziś robotnik coraz bardziej zaczyna być zaliczany do warstwy i kategorii „swojej, ale nie prostej”. Zbyt wiele tutejszego prostego elementu wsiąkło w jego kadry. Robotnik imponuje stanowczością, skupieniem w sobie, twardością swoich powiedzeń, rozumieniem rzeczy, których prosty człowiek nie umie sobie wytłumaczyć. W twardej szkole fabryki robotnik nauczył się nowoczesnej metody pracy. Był pierwszym Poleszukiem, który naprawdę pracował kolektywnie, zbiorowym wysiłkiem. Od innych robotników nie przedzielały go kilometry rojstu czy bagna. Pracował z nimi w warsztacie, jadł w jadalni, bawił się w domu ludowym. Robotnik na wsi to ktoś taki jak rekrut wyszły z koszar w Grudziądzu, reemigrant z Buffalo. Dla syna chłopskiego zostać urzędnikiem, policjantem, kupcem, nauczycielem to senne marzenie. Zostać podoficerem zawodowym — piękny pomysł, ale trudny. Zostać robotnikiem na fabryce jeszcze można, i to jest bardzo wiele w marzeniach młodego Poleszuka. A takie marzenia przeobrażają społeczność.

Ale jeszcze jedno człowiecze w społecznych kotłach fabryki dykt nad granicą przerabia się i prasuje: to mowa tej mieszaniny ludzkiej. Tworzy się coś podobnego jak ze Ślązakiem przed wojną, który wprowadzony w las i w pole, mówił gwarą Reja i Piasta, zaprowadzony na tereny fabryczne, objaśniał wszystko w mowie potwornych niemieckich koślawizn. Rosja pozostawiła na Polesiu terminy państwowo-urzędowe. Poleszuk mówił *wospreszczajetsia*<sup>122</sup> i nazywał wojsko „moskalami”. Nieliczne terminy fabryczne były z rosyjska niemieckie. Teraz terminologia związana z fabryką, z życiem miejskim i społecznym tych nowych ludzi, jest polska nie tylko wtedy, gdy sami przychodzą z Polski. Rdzenny Poleszuk powie dziś „obrabiarka”, „wiertaczka”, „koło rozpędowe”. Słowa, które dla nas brzmią nieco jak nowotwory profesorów lingwistyki, dopiero w jego ustach brzmią naturalnie.

Ale to jeszcze jest dopiero połowa przemiany. Jest fabryka, jest nieraz ojciec Mazur spod Skierniewic, ale jest jeszcze kraj, jest matka Poleszuczka, córka chłopa, ta, która śniła o mężu robotniku i która tego męża dostała. Twarde, męskie i polskie słowa fabryki mieszają się w tym świecie mikaszewickim z miękka, bezradną mową kraju i matki. Jaką mową będzie mówił syn tych dwojga, młode pokolenie wywodzące się z fabryki i rojstu?

<sup>121</sup>sekwestратор — urzędnik dokonujący sekwestracji, egzekucji zaległych podatków. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>wospreszczajetsia (ros.) — zabrania się. [przypis edytorski]

Kobieta, Mężczyzna, Wieś

Robotnik, Małżeństwo

Robotnik

W jego mowie mieszają się obie mowy. Robotnik Polak, cóż dopiero robotnik tubylec, ożeni się prawie zawsze z kobietą tutejszą, jego dzieci będą się bawiły z dziećmi tutejszymi, Warszawa będzie dla nich dalsza niż Olewsk, Gopło egzotyczniejsze od Dniepru. Może za jakie lat dziesięć-dwadzieścia będzie nacjonalista targował się o dusze tych dzieci, które teraz zbierają jagody, szukał w ich metrykach babki katoliczki, dziada Mazura. Może do tego czasu lepszy nacjonalizm uzna, że najszkodliwsze jest właśnie to wbijanie pali, rozgradzanie rodzin, powiewanie metryką. Ci ludzie przyszli, najnowsi mogą być nową wielką Polską. Na pewno jednak nie zrobi się z nich Polski spod Krakowa i znad Gopła, a dziś na kresach, w praktyce, Polska i polskość to rzeczy nie rozszerzone ponad etnografię, ale zacieśnione do czapek krakusów, do legend wielkopolskich, do kraju z Łęczycy i Sieradza, malutkiej, endeckiej Polski. Konstanty z Ostroga i Lew Sapieha, fundatorzy kościołów i cerkiew, to bohaterzy posądzeni o irredentę. Jeszcze Jarema Wiśniowiecki<sup>123</sup> znajdzie łaskę jeśli nie u nauczycielstwa poleskiego, to u poleskiego wojewody. Mój młody ksiądz pochodzi z rodziny polskiego włościanina z kresów wschodnich. Jest niewątpliwym Polakiem, nawet nacjonalistą, ale pewien wojowniczy ksiądz z Poznańskiego dopatrywał się w tym nieśmiałym, dobrym człowieku „agenta Białejrusi”. Białoruś w oczach tego poznańskiego księdza to oczywiście jedna z kilku głów „hydry germańskiej”.

Młody ksiądz patrzy jednak inaczej niż ja na fabrykę, która zmienia jego leśnych ludzi w najmłodszy proletariatus Europy. Ksiądz wie, że w szerokim promieniu od fabryki dawne worożychy<sup>124</sup> odzyskały po raz pierwszy od czasów pogańskich aktualny przedmiot swych czarów; ksiądz wie, jak znaczny i tu, i w rejonach KOP-u jest odsetek kobiet spędzających plód nieślubny lub plód taki, który dla ludzi uczepionych za pierwszy w życiu dobrobyt będzie ciężarem. Ksiądz wie, że „babka” z lasu odnajduje w domach fabrycznych chętne pacjentki, zna jej proceder, aż do ziół, którymi kuruje po obrzydliwej operacji. Mało dzieci doczeka się narodzin i blaszanych wanienek, o których nie słyszano w głębi puszczy. Ksiądz wie jeszcze, ilu tu zatrudnionych ludzi porzucalo gdzieś po świecie, albo i tutaj, swoje żony, wzięło inne, ilu zamienia się nimi. Ksiądz wie, jak śladami cywilizacji wpęła prostytutka, wie, jak wygląda życie innych ludzi, których tutejsi robotnicy mają przed oczami. On jeden może w duszy uznaje racje ludzi wiejskich, którzy biją leśną dziewczynę, gdy zadaje się z KOP-owym żołnierzem. A jednak czasem ma wątpliwości. Oto właśnie tych samych najgorzej grzeszących parafian spotka rano, dobrze przed pracą, gdy pójda na dobrowolną budowę wznoszonego tu kościółka. O, nie bójcie się, nikt i nic ich do tego nie zmusza, nic te rzeczy, poza jakim datkiem, nie obchodzą belgijsko-ewangelicko-żydowskich zarządców firmy. Ksiądz wie, że doprawdy bez najmniejszego nacisku ci sami ludzie opodatkowali się drobną, ale powszechną ofiarą na budowę kościoła i że ten mały kościółek, który w październiku będzie gotów, jest im dumą w tej osadzie, dzięki nim z szybkością Gdyni powstałej. Lutrowskie *sündige gut aber glaube besser*<sup>125</sup>, stosowane przez tych ludzi, nie może zaćmić księdzu tego całego grzechu, który tu widzi co dzień, gdy inni widzą w nim rzeczy ludzkie i powszednie. A jednak idą mu trochę pod serce. Młody ksiądz jest tutaj bezradniejszy niż wobec leśnych ludzi z rojst, niż gdyby ci w grzechu żyjący gardzili i nim, i kościołem. Wykształcenie seminaryjne i wiejska przeszłość nie dały mu klucza do tych spraw. Rosną tu dla niego mateczniki ludzkie, trudniejsze jeszcze od tamtych. Trzeba będzie z trudem się przedzierać. Mam jednak wrażenie, że ten młody, nieśmiały człowiek przedrze się przez nie lepiej, niż to tutaj robią inni.

\*

Inni przedzierają się znacznie trudniej. Polesie, jak Wołyń, jak Śląsk, są terenami wojewodów, którzy eksperymentują. Eksperymenty wojewody Kostka-Biernackiego są odmienne od eksperymentów jego wołyńskiego sąsiada, Henryka księcia na Kiwercach („tak Napoleon daje swoim wodzom księstwa, od miejsc, na których wielkie odnieśli

<sup>123</sup> Wiśniowiecki, Jeremi, zwany Jaremą (1612–165) — książę, dowódca wojsk polskich w walkach z kozakami; odegrał znaczącą rolę w tłumieniu powstania Chmielnickiego; znany z brutalności i stosowania okrutnych represji; ojciec późniejszego króla polskiego, Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1640–1673). [przypis edytorski]

<sup>124</sup> worożycha (rus.) — wróżbiarka; czarownica. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *sündige gut aber glaube besser* (niem.) — grzesz dobrze, ale wierz lepiej. [przypis edytorski]



zwycięstwa”), jeśli chodzi o narodowe eksperymenty. Jeśli chodzi o metodykę pracy i jej stronę społeczną, znajdują jednak bez trudu wspólny język. Ostatnim słowem wspólnym z administracyjnego słownika dwóch województw jest eksperyment „spichrzów zbożowych”. Może słyszeliście coś o tym? Otóż spichrze zbożowe stworzone zostały, oczywiście wielotysięcznymi kosztami, w każdej prawie gminie. Zbiera się tam zboże uzyskane z nowej, nieprzewidzianej niczym daniny od hektara. Powstaje w ten sposób zapas, który nie bez sensu powierzono do dyspozycji szefom wydziałów bezpieczeństwa. Zapas ten miał „w zasadzie” stanowić fundusz pomocy w wypadkach głodu: w praktyce jest znakomitym środkiem regulowania, oczywiście w dół, cen zboża, no i znakomitym, dostosowanym do miary miejscowej *reptilienfondem*<sup>126</sup>. Cóż innego nad pełną i już od momentu siewu, nie od zbiorów zaczęłą kolektywizację zboża przeprowadzają Sowiety? Cóż doprawdy „przeciwstawiamy” (tak to się tutaj mówi) „światu bolszewizmu”, jeśli aż do metod gospodarczo-politycznych robimy malej i nieśmiałej to co oni?

Trzeba przyznać władzy na Polesiu, że nie toleruje żadnej walki narodowościowej, żadnego judzenia. W dzisiejszych czasach i przy dzisiejszej administracji to już bardzo wiele. Polesie jest dziwnym krajem. W Pińsku wychodzą trzy samowystarczalne, opłacalne pisma o kilkunastotysięcznym nakładzie. Można podziwiać takie nakłady, uzyskane bez subsydiów urzędowych w ziemi, gdzie analfabetyzm jest częścią składową horyzontu. Wszystkie trzy pisma Polesia i Pińska są to pisma żydowskie. Olbrzymia większość inteligencji miejscowej jest żydowska.

Ale typ poleskiego Żyda jest tak osobliwy, że trzeba o nim pomówić. To nie tylko inteligencję żydowską i żydowskiego kupca posiada ten kraj. Tu jest jeszcze żydowski rolnik, żydowski robotnik. Zapewne nigdzie na świecie, poza jakimiś próbami w Rosji i poza Palestyną, masa żydowska nie przyłgnęła tak silnie do ziemi. Polesie, przy tych warunkach, zwracało na siebie uwagę „terytorialistów” chcących osiedlenia Żydów poza Palestyną. I to samo Polesie odpowiada dziś masie żydowskiej czym innym: człowiek, który pierwszy rzucił hasło powrotu nad Jordan, nazywał się Pińskier. Nigdzie siły rewizjonistów żydowskich, grupy najsilniej negującej bytowanie Żydów poza Palestyną, nie są tak silne jak u Żydów poleskich. Spędziłem dwie noce na statkach. Jechała nimi młodzież żydowska. W Wilnie śpiewaliby „Wołga, Wołga” i mówili po rosyjsku. Na szlaku Prypecy śpiewali pieśni hebrajskie zawleczone z kibuców Emeku, mówili po hebrajsku.

A to jest naprawdę dziwne. Nigdzie tak jak w spokojnej, powolnej Pińszczyźnie Żyd w Polsce nie może się czuć pewny, zrosnięty z krajem jak tutaj. Antysemityzm inteligencjo-urzędniczy jest hamowany nielicznością tego elementu w prawdziwym morzu Żydów. W Pińsku akademie uroczysta, święto morza, trzeci maja, jedenasty listopada przedstawiałyby się jak mizerny wieczorek amatorski, gdyby nie zapewniono sobie udziału Żydów. Manifestacje z tym „gościnnym udziałem” istotnie wypadają tłumnie i masowo, a prawdopodobnie nawet zachodnie dzielnice Polski nie objawiają tak świętego oburzenia mas, gdy na nich mówi się o Niemcach... Akcji antysemityzmu inteligencckiego w szerszej skali więc nie ma. Jeśli chodzi o lud, to mimo lichwy istnieje jakby pewien filosemityzm.

Trzeba to sobie wytłumaczyć i trzeba w tym celu powrócić do owego tysiąca robotników nadgranicznej fabryki fornirów. Otóż w dawnym układzie kraju, gdy nie było jeszcze jako warstwy społecznej robotnika, Żyd był tym czymś pośrednim między „panem” a „człowiekiem prostym”. Od czasu gdy pojęcie „pana” stało się w swej większości pojęciem napływowego urzędnika, obcego i zwierzchniego, rozdział między nimi urosł. Życie przyniosło moc wydarzeń, których człowiek prosty nie mógł sobie wytłumaczyć. I oto w tym stanie rzeczy najbliższej jeszcze człowieka prostego stał także człowiek tutejszy, Żyd. Nieliczni ziemianie uważali — niesłusznie — za swój obowiązek nigdy wobec „ludzi” nie krytykować polskiej władzy. Żyd postępował swobodnie. Żyd wyjaśniał, tłumaczył, bardzo po prostu, wiele. Żyd był źródłem nowinek ze świata, tym czym ongi dla rzeszy szlacheckiej — przejezdny kwestarz. Pantoflowa poczta żydowska, którą tak dobrze opisuje Walerzy Przyborowski czy Józef Korzeniowski, dotrwała na Polesiu. Chłop nie tylko kupi u Żyda, chłop z Żydem pogada i od niego się dowie załamanych w kupieckim mózgu nowinek ze świata. Spółdzielnie, zakładane pośrednio czy bezpośrednio przez władze,

<sup>126</sup>*reptilienfond* (niem.) — fundusz gadzinowy; używane w Niemczech pogardliwe określenie środków pochodzących z przekierowanych funduszy państwowych i wykorzystywanych do wywierania wpływu politycznego, w szczególności do subwencjonowania oddanej rządowi prasy. [przypis edytorski]

Żyd

Żyd, Chłop

nic tu nie zmienia. Elementem, który naprawdę odbiera Żydowi poleskiemu jego stanowisko wobec mas ludu, jest dopiero robotnik. On także wiele rzeczy — nie sądzicie, aby specjalnie socjalistycznych — Poleszukowi tłumaczy, ale jest jemu bliższy. Po Przytyku i Mińsku jest tu naprawdę wielki spokój. Cicho płynie woda Prypeci, miękko szeleszczą trawy mokrego stepu. W poświęconej zagładzie ziemiaństwa ukraińskiego *Pożodze Kossak-Szczucka*<sup>127</sup> pisze o Kozaku dońskim, stacjonowanym z oddziałem na wsi; Kozak ten bardzo sobie upodobał jej synka, a gdy w okresie pierwszych wrzeń anarchistycznych wyjeżdżał, prosił rodziców dziecka, aby mu je dali za swoje. „*U was tut budiet plocho, oczeń plocho, a na Donie spokojno, sławno*”<sup>128</sup>... Żydzi z Pińska czy Lenina mogliby tak powiedzieć do opiekunów sierot Minkowskich. U nich na Prypeci byłoby dla tych dzieci, jak nad Donem, *spokojno, sławno*. Ale młodzi Żydzi nawet z tego kraju, w który żydostwo wrosło nie tylko łokciem handlarza, lecz robotnikiem spotykanym na Pinie, chcą sami odejść.

\*

Słucha o tych rzeczach tak bardzo tutejszy mój towarzysz podróży na wózku chłopskim, sierżant KOP-u, i ku memu strapieniu, nie dostrzegł ich dotąd, ani tych, ani wielu innych. Nie bierzcie tych strapien za przesadę imperialisty: sierżant czy podoficer KOP-u odzwierciedla nie swoje tylko poglądy, ale i sam nie jest w tym kraju postacią bez znaczenia. W Warszawie nie macie nawet pojęcia, ile pod Werenowem czy Stolinem znaczą sierżant KOP-u. Jedziemy, ja słucham, a on mi wyluszcza swoje poglądy na potrzeby Polski. Przede wszystkim należy upaństwowić obcy kapitał pracujący w Polsce, potem wszelkie fabryki i latyfundia, potem trzeba zrobić wielkie roboty publiczne, naprostować krętą Pinę, trzeba Żydom odebrać handel i oddać go w ręce spółdzielni. Wojsko powinno być pepinierą<sup>129</sup> wszystkiego. Na wszelkie posady powinno się przyjmować ludzi o trzyletniej nadprogramowej służbie wojskowej. „Tak jak już jest w policji”. Administrację, przysze przedsiębiorstwa państwowe trzeba obsadzać elementem wyższym z wojska w całości. To, co się dzieje obecnie, jest niedostateczne. Wtedy nie będą możliwe takie afery jak Parylewiczowej<sup>130</sup>. Lechicka Sparta sierżanta będzie wojskowa i czysta.

Właściwie mówiąc, program sierżanta KOP-u jest już w znacznym zarysie zrealizowany. Nie będę się go pytał, czy wie, że jedno z największych przedsiębiorstw państwowych w Polsce przynosi mniej dochodu, niżby przyniosło, należąc do prywatnego przedsiębiorcy i płacąc normalny podatek dochodowy. Nie będę mu wykazywał, że w lasach państwowych Hajnówki robotnicy skarżą się na wyzysk albo że oaza prywatnej własności i niezurzędniczenia, Poznańskie, jest krajem bijącym w nieskończone rekordy dobrobyt kraju spichrzów zbożowych. Nie mam czasu na prostowanie tak wielu rzeczy. Nie mam także żadnej gwiazdki na czapce. Ale sądzę, że przecież jest ktoś powołany na to, aby czynnik, który współpracuje w przyszłości tego kraju, nie miał w głowie mętlika nierealnych uproszczeń. Znowu na tej bryczce myślę o księdzu, który uganiał się po rojstach i prostował mylne ścieżki myśli religijnej. Trzeba jednak kogoś, żeby ten kraj inaczej nieco ruszył. Dużo rzeczy prostuje się samych, moc innych prosi o prostowanie. Kołtun<sup>131</sup> w tym kraju rośnie nie tylko na głowie, ale i w głowie, chroni się nie tylko pod chustę chłopki. Problemy, wielkie problemy tego kraju, tych ludzi, Polski, świata leżą jak senna martwota wód pińskich. Bo najpierw trzeba rzeczy tego kraju, takie jakie są dziś naprawdę, widzieć. A potem — w tym właśnie jest cała, pozornie łatwa, ale naprawdę bardzo trudna sprawa — potem trzeba je rozumieć. Trzeba wprząc, powołać do tej pracy

<sup>127</sup> *Kossak-Szczucka, Zofia* (1889–1968) — polska powieściopisarka i publicystka. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *U was tut budiet plocho, oczeń plocho, a na Donie spokojno, sławno* (ukr.) — U was tu będzie źle, bardzo źle, a na Donie spokojnie, miło. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *pepiniera* (z fr.) — szkółka drzewek; przen.: ośrodek przygotowujący przyszłe wykwalifikowane kadry. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *Parylewicz, Wanda, z domu Pieracka* (1885–1937) — działaczka społeczna, siostra ministra Bronisława Pierackiego; znana z największego skandalu korupcyjnego II Rzeczypospolitej: zasiadając w zarządach stowarzyszeń, dokonywała wielu pożyczek, których nie spłacała, dopuszczała się przywłaszczeń, obiecywała pomoc w załatwieniu spraw urzędowych i sądowych, powołując się na swoje znajomości; aresztowana, zmarła podczas procesu. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *kołtun* — zbity kłęb splątanych i pozlepianych brudem włosów na głowie. [przypis edytorski]

zewsząd elementy najmłodsze, najsilniejsze, ochoty pełne, wykształcone i ofiarne. Przez przeszło lat sto takie kadry walki polskiej dawało nieistniejącemu jeszcze państwu młode pokolenie inteligentkie... Myśl odpywa daleko od Polesia, do uniwersytetów, do przyczyn, dlaczego tych ludzi tu nie ma i dlaczego ci potrzebni i odpowiedni ludzie stamtąd coraz mniej wychodzą, dlaczego zastępuje ich źle wyrobiony urzędnik, lepszy w akcji niż w myśli — pan sierżant.

## MICHAŁ KLEOFAS<sup>132</sup>

Do Telechan jedzie się odnogą wąskotorowej kolejki dojazdowej. Trzeba sobie raz jeszcze uświadomić, że rzecz dzieje się na kresach, na pograniczu Polesia i Nowogródzczyzny, że kolejkę budowano w roku szesnastym dla użytku niemieckiego frontu, że wreszcie Telechany nie leżą na głównej linii tego znakomitego szlaku, ale już na jego „bocznej odnodze”. Wszystko jest tu na miarę telechańską; obywatel posiadający 100 złotych w PKO uchodzi za lokalnego magnata, a obywatelka umiejąca czytać nie tylko w książce do nabożeństwa — za intelektualistkę. Pociągi na tej znakomitej, zagubionej w moczarze i przetrzebionym lasku, kolei kursują dwa razy dziennie. Uroczę lokomotywki mają wążki szybkie kominów, zakończone wspaniałym turbanem, niczym stare garłacze muszkietierów Ludwika XIII. Sapia i wydają z siebie pary i dymu więcej niż największe lokomotywy z Pacific Railroads, a postój na węźle kolejowym Święta Wola trwa o 35 minut dłużej niż postój ekspresu Paris–Niegoriełoje w Berlinie. Lasy wokoło tej kolejki, przecinające głąsę bezkolejowej przestrzeni kraju, są niestety wyniszczone zupełnie. Monotonia młodego lasu, częściej lasku, który tu ostał się lub wyrósł od tamtych czasów, jest smutna. Kolejkę tę w ostatnich czasach swej władzy wykorzystywali Niemcy do gruntownego ograbienia puszczy. Podchodziła ona przecież w najwspanialsze tereny borów skirmuntowskich, pusłowskich, dawnej ognińszczyzny. Olbrzymy leśne stały tu o krok, waliły się niemal na tory. Te olbrzymy były niemiłosiernie wycinane. Nie tylko dniem, ale i nocą, przy świetle lamp elektrycznych rąbano, piłowano, wywożono. Nie trzeba się temu dziwić: w tym właśnie okresie wojny bolszewizm zniszczył siły obronne Rosji, na Zachodzie przybyła Ameryka, w Niemczech był głód surowców. Chemiccy Niemcy wiedzieli, że drzewo odpowiednio przetworzone może zastąpić cały szereg potrzebnych surowców. Moc niemieckich erzaców<sup>133</sup>, erzaców odzieżowych, spożywczych, napędnych, fabrykowano z poleskiego lasu. Czekano z upragnieniem w Niemczech na te drzewa ładowane na kolejkach jak ta, między Janowem Polskim, Iwacewiczami a Telechanami. Dziś kolejka pozostała, jak w głąsży leśnej pozostały niepotrzebnie bloki olbrzymich betonowych schronów i fortów, jak przedtem pozostały karabiny, pasy wystrzelanych nabożów kulomiotowych<sup>134</sup>, maski do gazów trujących. Demobil olbrzymiej armii.

Opłakana kolejka idzie więc przez resztki swej niszczonej pracy, wije się jak olbrzymi, potworny kornik tego kraju. Och, nie mam za złe Niemcom, każdy patriota swego kraju musiałby to zrobić! Ale Polesie tych stron jest pustynnym Polesiem. Tam, gdzie wytrzebiono drzewo doszczętnie, spod mchów, które poschły, wydobyła się zaraza lotnych piasków. Drzemały spojone korzeniami drzew. Trzymała je pod powierzchnią sieć korzonków wrzosu. Gdyby wszędzie wyrąbano las, byłaby tu pustynia lotnych piasków. Małe osady i wsie, całe z drzewa, toną w miękkim piachu. Źle tu rosną zboża, fatalnie kartofle. Wreszcie Telechany. Nędza. Na pryncypalnej<sup>135</sup> ulicy Marszałkowskiej, która dość smętnie przypomina Warszawę, same sklepy wódczane. Wyszynk, handel alkoholem, rozlewnia, wina i wódki. Czasy saskie do użytku braci chłopów. Coraz inni Żydzi sprzedają w tak samo nędznych chatkach najtańsze i najgorsze wódki. Wszystkie inne

<sup>132</sup>Michał Kleofas — W tym rozdziale autor nieświadomie połączył w jedną postać dwie różne osoby: *Michała Kazimierza Ogińskiego* (1730–1800), hetmana wielkiego litewskiego, pisarza, kompozytora, mecenasa sztuk, uczestnika konfederacji barskiej, budowniczego Kanału Ogińskiego (1765–1784), łączącego Niemen z Dnieprem, oraz jego syna, *Michała Kleofasa Ogińskiego* (1765–1833), kompozytora i działacza emigracyjnego, który kiedyś uchodził za twórcę melodii *Mazurka Dąbrowskiego*, a dziś jest najbardziej znany jako autor poloneza a-moll *Pożegnanie Ojczyzny*. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>erzac a. ersatz (niem.) — namiastka. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>kulomiot (daw.) — karabin maszynowy. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>pryncypalny (daw., z łac.) — najważniejszy, główny. [przypis edytorski]

towary trzymane są jako dodatek do wódki i „machorki”<sup>136</sup>. Nawet skład apteczny siedzi kątem u wódczarza. Biało świeci przychodnia, pusta zupełnie, bezruchem promienieje kasa Stefczyka<sup>137</sup>, „otwarta dwa razy na tydzień”. Gdzieś betonem sklepienie piec wypalają węgiel drzewny. Szydł komornika donosi, że przebywa on tutaj tylko „od 25 do końca każdego miesiąca”. Wystawiam sobie<sup>138</sup>, że najszczęśliwszy miesiąc w Telechanach to luty.

Potem naraz tymi suchotniczymi uliczkami zaspanego miasta wychodzi się za opłotki. Wielkie łodzie rozsychają się od słońca. Idziemy dalej, drzewa, ładniej, nie ma piasku. I naraz...

\*

Kanał Ogińskiego.

Komuś, co Polesia nie zjeździł, nie włókł się godzinami po piachu, nie jechał smrodliwą kolejką, nie widział tej nędzy, biedy, biedy cherlawych Żydów, brudnych dzieciaków tabunami, o jakich w centralnej Polsce nie ma się pojęcia, nie zrozumie, jakie wrażenie robi ten prosty kanał. Oto naraz ziemię przecina szlak szeroki, a wytyczony równo, jak strzelił, rozumną, pewną równością ludzkiej nauki. Wielkim szlakiem toczy się równo woda. Brzegi obramione są porządnie palisadą kolów. Jak okiem sięgnąć — długi, niebieski szlak. W oddali błękitnieje już, nie marszczy się jak tutaj i wygląda jak stalowa autostrada. Nad jego brzegami olbrzymie dęby, rozłożyste, cieniste, wspaniałe. Dębami poznaczony jest szlak kanału. Woda o zabarwieniu rdzawozłotym, żelazistym zabarwieniu wód Dniepru i Prypeci, odbija w sobie niebo, chmury i te wspaniałe hetmańskie dęby.

Tak jest przed nami.

Za nami woda rozlewa się w nieregularny, ale z prostych linii złożony, pięciobok. Ta geometria wszędzie tu, na Polesiu, gdzie drogi i szosy rozchodzą się w najbardziej nonsensownych zawijasach, a miasta mogłyby się uczyć symetrii od grzybów w lesie, jest doprawdy coś wspaniałego w tej geometrii. Jak wiadomo wszystkie teorie o tym, że planeta Mars jest zamieszkała, powstały stąd, iż uczeni dostrzegli na tej planecie równo wytyczone biegi wód — kanały — niechybny znak istnienia myślącej istoty. Otóż w tych nędzarskich, chaotycznie budowanych Telechanach, w tym kraju jak wielki samosiej, wyrośniętym bezładnie i dziko, naraz ten kanał pokazuje, że istnieli tu ludzie, którzy myśleli naukowo i tworzyli planowo.

Wspaniały kanał!

Woda płynie miękko, cicho. Okres spławu i natłoku na kanale to maj. Wtedy niezliczone ilości tratw spływają tą drogą. Całe miasteczka i wsi płyną jako flisacy. W takim Motolu królowej Bony pozostają podobno tylko starcy i Żydzi. Powstanie całych osad łączy się chronologicznie z powstaniem kanału. Dęby, które nad nim szumią, szumią naprawdę sławą.

Nie ma nic tak dziwnego jak ten kanał. Największe, najpotrzebniejsze dzieło, jakie tu wzniesiono w tym kraju, to on właśnie. A wzniosła go Rzeczpospolita, chyląca się ku upadkowi. Nie Rosja, nie Niemcy, dawna Polska. Wzniesiono go w epoce niemal saskiej i niewiele różnej od saskiej: sejmiki i zjazdy wrzały w najlepsze. Wzniósł to hetman, który był kiepskim wodzem, którego wylegującego się z kochanką w namiocie rozbił był w puch Suworow<sup>139</sup>. Nigdy Rzeczpospolita nie była tak bezsilna, strupieszala, beapańska jak wtedy. Nigdy polska myśl temu krajowi nie dała rzeczy większej. Nie wiem, ile kilometrów ma dziś ten kanał. Wiem tylko, że jeśli może zaimponować inteligentowi z miasta, to jakżeż nie imponuje tutejszym, prostym, których po stu latach żywi,

<sup>136</sup>*machorka* (z ros.) — liche tytoń. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*kasa Stefczyka* — forma spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych w Polsce, zainicjowana w 1890 przez działacza spółdzielczego Franciszka Stefczyka; w okresie międzywojennym istniało około 3500 kas Stefczyka, należało do nich półtora miliona osób. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*wystawiać sobie* (daw.) — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*hetman, który był kiepskim wodzem, którego wylegującego się (...) rozbił był w puch Suworow* — w bitwie pod Stołowiczami (23 września 1771) oddział wojsk rosyjskich gen. A. Suworowa rozbił trzykrotnie liczniejsze wojsko konfederatów barskich, dowodzonych przez nieposiadającego wojskowego wykształcenia i doświadczenia hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego, wykorzystując niewystawienie przez konfederatów odpowiednich wart na czas snu; w wyniku klęski konfederacja straciła oparcie na Litwie. [przypis edytorski]

którzy nic wspanialszego nie widzieli. Przez przeszło sto lat, poprzez całą łowajszczyznę<sup>140</sup>, dyskredytując Polskę szlachecką, mówił tym ludziom o wielkich rzeczach, które tu zbudował ten Polak, pan, magnat, hetman, książę. Jego wymowa była silniejsza nad propagandę isprawników<sup>141</sup>.

Wodny szlak kanału błękitnieje daleko. Trzeba schylić się niżej od gałęzi dębów, żeby widzieć jego kres zlewający się z niebem.

Wokoło kanału jest puszcza, brudne żydowskie miasteczka, nędza chłopska poleska, groźne, nieużyteczne, obce, betonowe kazamaty<sup>142</sup> Niemców. Kanał stanowił linię frontów. Najpotrzebniejszym dziełem, jakim się może wylegitymować Rzeczypospolita, to nie strażnice KOP-u, nie ludzie z miasta na posadach wójtów, nie spichrze zbożowe, nie policja, nie komornik w Telechanach, ale poprawienie, oczyszczenie dzieła Michała Kleofasa Ogińskiego. Kontynuacją — wspaniałą, rozumną, ale tylko: kontynuacją — dzieła wzniesionego przez magnata, hetmana i księcia, feudała szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Korony dębów szumią nisko, niziutko nad swym rówieśnikiem, kanałem. Kajaki spływają wolno jego wodą. Jakie to dziwne, jaki to dziwny człowiek, Michał Kleofas Ogiński. Rzeczpospolita zawdzięcza mu dwie rzeczy:

- ten kanał,
- swój hymn narodowy.

Właśnie „Słowo”<sup>143</sup> z lekka dworuje z niefortunności hetmańskiego oręża. To prawda. Ten hetman nie był żołnierzem, dzisiejsi generałowie są niezawodnie lepsi. Ale niestety, iluż to dzisiejszych generałów i wojskowych zna się na sprawach gospodarczych znacznie gorzej niż Michał Kleofas na wojskowych...

Kanał wolno, spokojnie toczy swe wody równo wytkniętym szlakiem. Nie ma żadnego pomnika Michała Kleofasa Ogińskiego. Jego ród wygaś, nie pracuje tu, na krańcach Rzeczypospolitej. Ale każda struga, która się wlewa w ten polski kanał, szemrze mu sławę, wraz z szumem dębów, nad wszystkie pomniki większą. Ale srebrne trąby pułków armii polskiej, bębny i czynele<sup>144</sup> orkiestr wyrzucają tony jego mazurka. Ale młodzi oficerowie, młodzi żołnierze i podchorążowie preżą się wtedy na bacność, a 33-milionowy naród odślania głowy na dźwięki przez niego po raz pierwszy złowione. Rzeczpospolitą, która przestała być szlachecką, i armię, która stała się zwycięską, prowadzi w przyszłość, jak przeprowadził ją przez burze dziejowe, hymn rusko-litewskiego kniazia.

## WŁAŚCICIEL GALERII PORTRETÓW

Dziś rano jadłem śniadanie w niewielkim, czystym sklepie spożywczym, w którym stoją dwa stoliki, jest schludnie i porządknie. Zegar wskazywał pięć przed dziewiątą, prócz mnie i właścicieli nie było nikogo. Wszedł policjant.

— Flagi u pana nie ma!

Zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Jakoś nie widziałem jeszcze takiej sceny. Policjant był jakby zawstydzony, właściciel sklepu wyjaśniał:

— To pan dozorca zawsze wywiesza.

— To pan ma wywieszać, pan wie, że tak nakazano, pan chce, żebym panu sklep musiał zamknąć — powiedział policjant i szybko wyszedł.

Byłem człowiekiem nietutejszym, co widzieli wszyscy. Nie wiem czemu, wydało mi się, że tym razem stanowczość policjanta była nieco robiona, jak człowiek, który krzyczy bardzo głośno dlatego czasem, że właśnie się boi. Wydało mi się także, że policjant

<sup>140</sup>łowajszczyzna — propaganda prorosyjska podobna do stosowanej przez Dmitrija Iłowajskiego (1832–1920), rosyjskiego historyka, autora obowiązujących w Królestwie Polskim podręczników szkolnych i akademickich, gloryfikujących imperialną Rosję i usprawiedliwiających rozbiory Polski, za główną przyczynę upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów uznających wrodzoną skłonność Polaków do anarchii. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>isprawnik (z ros.) — urzędnik stojący czele powiatu (ujezdu) w carskiej Rosji; razem z dwoma asesorami tworzył tzw. niższy sąd ziemski. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>kazamata (z wł.) — pomieszczenie pod fortyfikacjami, ze sklepieniem z cegły lub betonu, chroniącym przed ogniem artyleryjskim, używana jako magazyn lub stanowisko obronne. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Słowo — konserwatywny dziennik wydawany w latach 1922–1939 w Wilnie, organ prasowy litewskiego ziemiaństwa. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>czynele — perkusyjny instrument muzyczny złożony z dwóch metalowych talerzy, które, uderzane o siebie, wydają dźwięki. [przypis edytorski]

akcentuje raczej dla mnie słowa „nakazano” i „musiał”. Że chce powiedzieć, że to nie on nakazuje i że on będzie po prostu musiał.

Była chwila dosyć nieprzyjemna po wyjściu policjanta, ale powoli właściciele sklepów, ona szybciej i bardziej porywczo, on wolniej i ostrożniej przed obcym, poczęli się rozgadywać. Dość już naprawdę tych flag ciągle wywieszanych!

— To pan ma już całą galerię portretów — zażartowałem.

— A mam, proszę pana, mam. Wszystkie kazano kupować. Tylko Pierackiego<sup>145</sup> jeden, inne same po dwa.

— Jak to, to portret śp. Pierackiego kazano panu kupować?

Człowiek patrzył się na mnie prosto w same oczy. Te oczy nie kłamały.

— A innych mam po dwa. Każą do każdej witryny, a ja mam dwie witryny. Chce pan zobaczyć tę moją „galerię” portretów?

Żona wytaszczyła je ze składziku. Istotnie kupiec miał dwóch wielkich Marszałków. Jeden był w zwykłym mundurze, popiersie, groźne, prawo patrzące oczy, włosy nastroszone. Czy myślał On kiedy, że go każą komuś kupować? Drugi był reprodukcją jakiegoś obrazu, z buławą opartą o jakiś dokument, z uchyloną portierą czy draperią, z jakąś małą armatką u nóg. Bóg Wojny nabyty z rozporządzenia administracji. Potem było dwóch Prezydentów. Jeden, pamiętam, w czapce marynarskiej, u spodu równiutko wypisanym pismem Prezydenta Rzeczypospolitej hasło o polskim morzu. Potem były dwa portrety generała Rydza-Śmigłego, znowu jeden w czapce marynarskiej, drugi w generalskim mundurze. Wreszcie była czarna, z boleśnie skurczonymi ustami, fotografia Bronisława Pierackiego. Czyście pomyśleli sobie, że wasze podobizny będą nabywać z rozkazu?

Galerię zamykał jeszcze ostatni okaz: duży Orzeł Biały.

— Ja miałem swojego Orła — tłumaczył kupiec — tu go teraz nie ma, ale jest w domu. Tego Orła to ja już dawno miałem w domu, a jak przyszła rewolucja, to go dałem w sklepie na Trzeciego Maja. Wtedy tu byli Niemcy, robili Białoruś, ale nic mi nie zrobili. Grano u nas wtedy w resursie<sup>146</sup> *Kościuszkę pod Racławicami*. Książka, który nie żyje, przemawiał, pani Korsakowa śpiewała od fortepianu, a mego Orła dali nad sceną. Teraz Orzeł był nieprzepisowy. Powiedzieli mi, że mogę go sobie w domu trzymać, a w oknie na święta musi być przepisowy.

— I Piłsudskiego mąż miał — dodała żona, aby nic nie zapomnieć.

— A jakże, z dziewiętnastego roku jeszcze. Jak w Wilnie był, to takich sprzedawali...

— Nikt wtedy nie kazał?

— Kupować? O, wtedy nikt! Wtedy sami kupowali, starczyć nie było można.

Jadłem jeszcze dość długo, więc przyniesiono mi nawet „tamtego” Piłsudskiego z domu. Była to reprodukcja, niewiele większa od pocztówkowej, starego portretu Kossaka. Marszałek jest w swej błękitnej kurtce, ma głowę opartą na szabli, dobre, zamyślane oczy. Miałem wrażenie, że ci ludzie prości patrzyli na tego Marszałka coś jakby, jakby z wyrzutem.

Pokazano mi jeszcze, porządnie poskładane, białe i czerwone bibułki, wstęgi, sztywny papier, pluskiewki, deski, obicie z jakiegoś materiału. Pełne urządzenie dwóch lad sklepowych na wielkie święta, których jest kilkanaście. Wtedy z lady trzeba wszystko wyprzątać. Wtedy, zależnie od święta, wędruje czerwień, biel i kir, wtedy w jednym oknie ukazuje się Marszałek albo Prezydent, albo Rydz-Śmigły, w innym odpowiednio, a pięć przed dziewiątą policjant sprawdza i może kazać zamknąć sklep.

\*

Sklep był biedny, taniutki, w biednym, ubogim mieście. Właściciel tego sklepu musiał posiadać po dwóch Marszałków, dwóch Prezydentów, dwóch Rydzów-Śmigłych, mu-

<sup>145</sup> *Pieracki, Bronisław* (1895–1934) — polski polityk, legionista, jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, współorganizator przewrotu majowego; od 1931 minister spraw wewnętrznych; zastrzelony przez członka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *resursa* (daw.) — stowarzyszenie osób jakiegoś środowiska mające na celu zabawę; także: lokal takiego stowarzyszenia. [przypis edytorski]

siał ponadto — prawda! — mieć Żwirkę i Wigurę<sup>147</sup> oraz Orła. Jakże to przykre, że te nazwiska, nazwiska nieraz oczernione żalobą serdeczną, profanowane są nakazami. Jakże to przykre, że się wie, że za tymi nakazami stoi na pewno ktoś, co te portrety wydaje, drukuje, sprzedaje, że ktoś z tego ciągnie zyski i że zyski te ciągnie i powiększa drogą tych nakazów. Choćby to nawet szło na nie wiedzieć jak dobry cel — ileż w tym innej szkody. Gdzie jesteś o tej godzinie pięć przed dziewiątą każdej uroczystości, święta morza, obchodu, gdzie jesteś wtedy w tym kresowym miasteczku NN, dawna Polsko z 1917? Gdzie jesteś, dniu piękny, gdy może byli tu Niemcy, ale *Kościuszkę pod Raclawicami* reżyserowała dobra wola narodu, z dobrej woli śpiewała, jak umiała, pani Korsakowa, po swojemu, nieudolnie może, ale szczerze przemawiał ksiądz proboszcz, który nie żyje? Gdzie jesteś, dniu jeszcze piękniejszy, gdy Piłsudski zdobył Wilno, a w małym miasteczku nie można było jego wizerunków nastarczyć i gdy jeszcze biedny właściciel sklepiku nie był zarazem, z łaski starosty powiatowego, właścicielem galerii obrazów?

## WOLA WŁADZY

Młody adwokat rzeszowski, za którym uganiałem się bezskutecznie cały dzień, nie mieszka w samym Rzeszowie, ale w pół wsi, pół przedmieściu zwanym staromieście, podobno przy rodzicach, chłopach. Adwokat nie ma jeszcze własnej kancelarii, a stoi już na czele potężnego stronnictwa ludowego w powiecie, który jest tego stronnictwa jedną z najpotężniejszych domen. Z nim w pierwszym rządzie lub przed nim, przed jego trzydziestu laty, tytułem doktora, pochodzeniem chłopskim i chłopską energią, będzie jutro defilował tłum większy niż na wszystkich świętach morza w wielkiej stolicy państwa. W rok po przewrocie majowym Roman Dmowski skarżył się na rozproszkowanie społeczeństwa. Młody przywódca stronnictwa ludowego, dr Kloc, na rozproszkowanie uskarżać się nie potrzebuje.

Rzeszów, który tyle razy mijamy, jadąc z Krakowa do Lwowa i ze Lwowa do Krakowa, jest dziwnym i ciekawym miastem. Wszystko, co w nim budowano ongi, budowano na wyrost. Na wyrost, który nie przyszedł. Na wyrost budowano nawet kościoły w Rzeszowie, wspaniałe, wielkie. Na wyrost zbudowali Lubomirscy zamek, od warszawskiego i większy, i okazalszy. Dziś zamek podzielono między więzienie a wszelkiego rodzaju sądy, i jeszcze jest tu przestrojnie wymiarowi sprawiedliwości i kary Rzeczypospolitej. Domy wybudowano na wyrost, i kartki „do wynajęcia” mówią o wszelkiego rodzaju wolnych lokalach. Na wyrost budowano restauracje, które wszystkie są w najpiękniejszym stylu secesji wiedeńskiej. Przed wojną Rzeszów miał jedenaście legalnych nocnych lokali. „Po co to panu?” — można by było zapytać, gdyby Rzeszów był jakimś jegomościem z prowincji. Ale jegomość z prowincji i prowincjonalny gród był kiedyś, przed wojną, czymś więcej. Był miejscem postoju czterech regimentów kawalerii i huzarów, najlepszych, okrytych sławą i szykiem pułków jazdy cesarstwa i królestwa. Miasto żyło wtedy w cieniu domianów<sup>148</sup> i ułanek<sup>149</sup>, szamerunków<sup>150</sup> i bufiastych czerwonych spodni, znanych nam dziś z filmów wiedeńskich. Dziesiątki przystojnych Willy Fritschów<sup>151</sup> uwodziło dziesiątki rzeszowskich i importowanych Ditt Parlo<sup>152</sup>. W pułkach służył kwiat arystokracji austro-węgierskiej. Zgryźliwy rzeszowianin, zajmujący się hodowlą remontów<sup>153</sup>, twierdzi, że cztery dobre stajnie pułkowe przyczyniły się do podniesienia rasy końskiej w tych stronach, a rasa ludzka nie ucierpiała również na obecności młodych oficerów. Właściciel jednego z ocalałych nocnych lokali, dziś spokojnej mieszczkańskiej kawiarni, snobującej się niepotrzebnie i z trudem na Warszawę, mówi mi, że miał specjalne piwnice na przecho-

<sup>147</sup>Żwirko i Wigura — pilot Franciszek Żwirko (1895–1932) oraz jego przyjaciel, konstruktor lotniczy i lotnik, Stanisław Wigura (1903–1932), wspólnie zdobyli w 1932 w zawodach „Challenge” pierwsze miejsce i puchar międzynarodowy dla Polski; zginęli w katastrofie lotniczej. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>dolman — tu: huzarka, rodzaj dawnej kurtki wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>ułanka — czapka ułańska, czako. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>szamerunek — ozdoba ubrań, szczególnie dawnych mundurów, wykonana z pasmanterii (taśm, sznurów itp.) naszytej wymyślnie na materiale. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>Fritsch, Willy (1901–1973) — niemiecki aktor, szczególnie znany z filmów z okresu kina niemego. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Parlo, Dita, właśc. Gerda Olga Justine Kornstädt (1908–1971) — niemiecka aktorka filmowa, popularna w latach 30. XX w., występująca w filmach niemieckich i francuskich. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>remonta (daw.) — młode konie przeznaczone dla wojska. [przypis edytorski]

wanie wina. Jego lokal to była rzeszowska — „tamtego dawnego Rzeszowa” — „Adria”, „Oaza”. Z jedenastu c.k.<sup>154</sup> kafeszantanów<sup>155</sup> osiem poprzerabiano na sklepy, na składy żelaza, nawet na mieszkania, jeden na żydowski dom modlitwy. Dziwnym istotnie peregrynacjom<sup>156</sup> pośmiertnym uległ wesoly lokal huzarskich rozrywek! Być może, dawne diwy spotyka się w kruchcie kościelnej lub w domu dla starców żydowskich. Szampan i ułani starzeją się szybko. A gdzie jesteście wy, młodzieży o mundurach piękniejszych od tytułów nawet? Błyszczą w wiedeńskiej *Kapuzinerkirche*<sup>157</sup> białe *Gedenktafeln*<sup>158</sup> waszych pułków o skończonej historii.

Przed kościołem farnym<sup>159</sup> Rzeszowa, na niewielkim placu widnieje pomnik innego smukłego oficera, oficera w ich chyba wieku, może młodszego jeszcze. Oficer pieszo, z wzniesioną szablą prowadzi do nieznanego ataku niewidzialne zastępy, a napis pod pomnikiem mówi, że wywiązał się znakomicie ze wszystkich zleconych mu misji, że padł na polu walki w roku 1919 jako dziewiętnastoletni dowódca pułku<sup>160</sup>. To był wiek szlifów generalskich Hoche’a i Murata, marszałkowskich niemal — Junota. Gdyby któryś z dawnych huzarów przybłąkał się kiedyś do Rzeszowa, pomyślałby może, że był to wiek, w którym założyciele jego pułków, Eugeniusze Sabaudzcy, Montecuccoli i arcyksiążę Karol spod Aspern kładli także swoje fundamenty przewag pod cokół, na którym kiedyś dziedzice pułkowej sławy mieli pięknie obnosić barwne mundury wielkiej gali. Ale z tamtego świata się nie wraca, i pogrobowcy cesarskiego pułku huzarów już nie wrócą. Być może, nie poznaliby nawet bohatera pomnika, choć w rozjazdach ćwiczebnych na błoniach podmiejskich musieli go nieraz spotykać, gdy on, chłopski syn z Kosiny, Kula, jeszcze nie pułkownik, nie bohater, nawet nie Lis, ćwiczył innych wiejskich chłopaków na przyszłych oficerów armii nieistniejącego jeszcze państwa, jak dzisiaj innych chłopaków ćwiczy mecenas Kloc.

Jutro jest dzień święta ludowego, 15 sierpnia. Dziś wieczorem zapłoną ognie po wsiach, a jutro masa chłopska od Sanu po granicę czeską i dalej w górę Wisły i mapy będzie demonstrowała swoją wolę. Będą to Nowosielce<sup>161</sup>, odnowione w dziesiątkach miejsc, w dziesiątku odbitek. Masa chłopska przedefiluje w cieniu wież królewskich zamarłego Wawelu, w cieniu rzeszowskiego zamarłego zamku królewiał magnackich, w cieniu dawnego miasta cesarsko-huzarskiego, u stóp barokowych kościołów Jarosława, przed zagrodą chłopskiego premiera Rzeczypospolitej. Będzie rozpierała ulice tych miast, przypomni już nie jednego Pyrza z XVII w., ale dziesiątki tysięcy Pyrzów z 1920 r., i w imię tych Pyrzów postawi swoje żądania.

\*

Pozostaliśmy sceptyczni wobec niedawnych zapewnień „Piasta”, głównego organu najpotężniejszego stronnictwa ludowego, że chłopci przede wszystkim nie chcą dziś ziemi, ale chcą praw. Nie chce nam się w to wierzyć. Z góry zakładamy, że chłop jest materialista, z góry sprowadzamy całość jego postulatów do jednego tylko: do *grontu*. Ale do Rzeszowa nie przybyłem z Warszawy. Przez dziesięć dni chodziłem po wsiach Małopolski

<sup>154</sup>c.k. — cesarsko-królewski, określenie i skrót odnoszące się do instytucji Austro-Węgier. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>kafeszantan (z fr. *café chantant*: śpiewająca kawiarnia) — kawiarnia lub restauracja z kabaretem. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>peregrynacja (z łac.) — podróż, pielgrzymka. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>Kapuzinerkirche (niem., r.ż.) — kościół kapucynów. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Gedenktafeln (niem.) — tablice pamiątkowe. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>kościół farny — miejski kościół parafialny. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>napis pod pomnikiem mówi (...) że padł na polu walki w roku 1919 jako dziewiętnastoletni dowódca pułku... — mowa o odsłoniętym w Rzeszowie w 1932 pomniku majora Leopolda Kuli ps. „Lis” (1896–1919), za młodu przywódcy grupy rówieśniczej konspiracyjnego Związku Strzeleckiego, ulubieńca Józefa Piłsudskiego i uzdolnionego dowódcy, który zginął podczas walk na froncie ukraińskim i został pośmiertnie awansowany do stopnia pułkownika. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>Nowosielce — wieś w gminie Przeworsk, w województwie podkarpackim; w 1624 wieś oparła się najazdowi Tatarów: pod wodzą swojego wójta, byłego żołnierza Michała Pyrza, chłopcy wytrzymali czterodniowe oblężenie kościoła, w którym schronili się ze swoim dobytkiem; w 1936 na cześć tych wydarzeń społeczeństwo usypało kopiec Michała Pyrza, 29 czerwca odbyło się uroczyste poświęcenie kopca, połączone z wielką manifestacją chłopską przeciwko rządowi sanacji; była to jedna z największych uroczystości chłopskich w Polsce międzywojennej: zgromadziło się ok. 150 tys. uczestników z całej Polski. [przypis edytorski]



zachodniej i środkowej, na Podhalu, w Tarnowskim. Rozmawiałem z chłopami starymi i młodymi, z działaczami, z dziewczętami. Wszystkie odpowiedzi, ludzi różnego wieku, zamożności, przekonań, układają się tak samo. Kiedyś myślałem, że wieś chce ziemi, reformy rolnej bez odszkodowania. Potem myślałem, że chce straganów; miejsca w mieście, w miasteczku. To wszystko jest zepchnięte teraz na dalszy, najdalszy plan. Wieś rozumie, że jej potrzeb, potrzeb dziewięciu milionów „ludzi zbędnych” na roli, potrzeb przybywającego rocznie pół miliona kołosek, nie zaspokoi ani resztki gruntów ziemiańskich, ani obecna ilość straganów czy sklepów. Wieś, która bardzo powoli, ale najwyraźniej wychodzi dziś z kryzysu lat ubiegłych — och, nie ze stałego swego kryzysu — wieś, która jest dziś silniejsza i mniej głodna — nie możemy powiedzieć: bardziej syta — niż w roku 1933, ta wieś jest bardziej stanowcza i harda w stawianiu swych żądań.

Wieś nie żąda ani kolchozu<sup>162</sup>, ani falansteru<sup>163</sup> socjalistycznego, nie żąda tego, co by można nazwać zasadniczą zmianą ustroju. Nie chce, aby ją ktokolwiek i jakkolwiek uszczęśliwiał. Wieś chce, ni mniej, ni więcej, stać się warstwą rządzącą Rzeczpospolitą, tak jak się to stało w Danii, Czechosłowacji, na Łotwie, w Estonii, Finlandii. Ostatni wielki kraj w Europie, który jest chłopski przez skład swej ludności, chce stać się chłopskim przez skład swej warstwy rządzącej, swego rządu. Warstwą rządzącą w Polsce jest inteligencja, inteligencja miejska. Po raz pierwszy, przeciw warstwie ziemiańskiej, upominała się ona o rządy pewnej nocy listopadowej 1830 r.; Nabelakowie, Goszczyńscy, Mochnacy — to byli ci ludzie nieposesjonaci<sup>164</sup>, dla których konstytucja Królestwa Kongresowego nie raczyła wyznaczyć miejsca. Potem wzrastały miasta, potem na rzecz miast likwidowała się warstwa ziemiańska, potem przyszły legiony, obrona Lwowa, Radzymin, armia ochotnicza, tłumny udział w niej młodzieży. Na krótki okres warstwa inteligencka stała się istotną warstwą rządzącą w Polsce. Zadań, jakie przed nią stanęły, rozwiązać nie zdołała. Stworzyła przeogromną moc urzędów. Warsztatów pracy nie stworzyła.

Wszystko, co by się dzisiaj ofiarowało wsi, wydawać się jej będzie podstępem, odwróceniem uwagi, paliatywem<sup>165</sup>. Poczucie siły wzrosło w masach ogromnie. Połączyło się z poczuciem zdolności do rządzenia, z poczuciem, że władza jest czymś, co się jej, w sposób naturalny, należy.

Rok 1936 nie jest rokiem historycznym przez to, że mieliśmy te czy inne zmiany rządów, taki czy inny proces na Śląsku, wyniki olimpiady czy aferę Parylewiczowej. Rok 1936 jest jednak historyczny, tzn. że w dziejach Polski ma swój wyraźny sens przez to, że po raz pierwszy w tej sile i tak powszechnie pewna klasa, dotąd niemająca udziału w rządach, o ten udział się upominała.

W wieku XII i następnych walczyli o to samo *praelati et barones*, duchowni i świeccy panowie rada królewscy, ci, co zaczęli stanowić o tronie krakowskim, zmienili następstwo tronu w starszej linii Krzywoustego, przeprowadzili wydziedziczenie Piastów śląskich i mazowieckich po śmierci Kazimierza Wielkiego, nie dopuścili Wilhelma Rakuskiego, wybrali Jagiełłę.

W wieku XV walczyła o to samo rzesza szlachecka statutami nieszawskimi i przywilejami Olbrachta i na długi ciąg wieków wygrała tę walkę. W wieku XIX walczyła o to młoda, rodząca się warstwa inteligencka, i przejąwszy dziedzictwo po zlikwidowanej jako odrębna klasa społeczna warstwie ziemiańskiej, zajęła pierwsze miejsce w narodzie.

W czwartym dziesięcioleciu XX w. walkę o swoje następstwo u władzy podjęła w formie masowej i powszechnej warstwa chłopska. Po raz pierwszy toczy się w Polsce walka analogiczna do europejskich walk XIX w. o demokratyzację. Nasza demokracja po

<sup>162</sup>kolchoz (ros. колхоз, skrótowiec od коллективное хозяйство: gospodarstwo kolektywne) — rolnicza spółdzielnia produkcyjna w ZSRR; kolchozy tworzone pod przymusem w okresie kolektywizacji rolnictwa. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>falanster — osiedle zamieszkiwane przez wspólnotę zwaną falangą, forma organizacji zaproponowana przez francuskiego socjalistę utopijnego Charles'a Fouriera (1772–1837) zamiast państwa; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólnocie profesji. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>nieposesjonat (daw.) — osoba, która nie jest posesjonatem, nie posiada posiadłości ziemskiej lub nieruchomości miejskiej. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>paliatyw (z łac.) — środek przynoszący ulgę, nie leczący choroby, ale łagodzący jej objawy. [przypis edytorski]

roku 1918 nie była zdobyta. Przyszła ona bardziej jako rezultat wyników wojny na Zachodzie, zwycięstwa idei, reprezentowanych przez Francję i Amerykę, niż jako dorobek naszej własnej walki. Może dlatego nie umiała się utrzymać: przecież przewrót, niewątpliwie mający charakter dyktatorialny<sup>166</sup>, cieszył się zrazu poparciem wielu grup lewicy demokratycznej. Takie pomyłki były możliwe tylko w kraju, gdzie ustrój demokratyczny zjawiał się niemal jako produkt uboczny walki o wolność. Ale też od paru lat zarysowała się wyraźna walka o to, co w każdym innym kraju nazywało się demokracją. Mętność, niewyraźność wszystkich terminów w Polsce pozwalała długie lata „godzić” pojęcie demokracji z dyktaturą. Zdaje się, że to godzenie staje się nawet u nas coraz mniej możliwe. Najsilniejsza liczebnie masa chłopska żąda szczególnie wyraźnie tego samego, czego od króla domagało się kiedyś szlacheckie pospolite ruszenie w Cerekwicy<sup>167</sup>. Trzeba powiedzieć, że szlachta z XIV w. żądała tego *przed* wyprawą wojenną, chłopci upominają się o to *po* wyprawie. Bo rok 1920 jest na wszystkich ustach.

Mało kto się może zastanowił nad tym świętem, do którego zbierali się chłopci na tygodnie, o którym mówiono przy żniwach, przy pierwszej orce, przy młócce. Uważamy naszą walkę pod Radzyminem<sup>168</sup> za tak słuszną, tak naturalną! W oczach Zachodu nie zawsze tak wyglądała. W oczach Zachodu była bardzo często uzasadnieniem do nazywania Polski żandarmem Europy, najemnikiem kapitalizmu, parobkiem obcych mocarstw. Dla naszych komunistów chłop z armii ochotniczej był jakimś wyolbrzymionym Bartkiem Zwycięzcą<sup>169</sup>, który jak tamten spod Gravelotte walczył nie tylko za sprawę sobie obcą, lecz wręcz za wroga, przeciw władzy robotników i chłopów. Z perspektywy lat szesnastu, które dla tych mas były — przynajmniej to — latami nędzy, masy te nie patrzą na tamtych swych bohaterów jak na nieświadomych, zbłąkanych Bartków. Patrzą, jak całe pokolenia szlacheckie patrzyły na rycerzy spod Grunwaldu, inteligentkie na Łukaszańskich i Ściegiennych. A bardzo, bardzo łatwo mogłoby być inaczej.

\*

Masa chłopska żąda władzy. A to, czego żąda prócz władzy, musi być w dalszym toku zaspokojone nowymi, ogromnymi warsztatami pracy, jakimś sowiecko-amerykańskim rozwojem przemysłu, ale musi być także, nim nastąpi tamto, zaspokojone kosztem wszystkich w Rzeczypospolitej. Stanie się to nie tylko kosztem folwarku pańskiego, żydowskiego straganu, stanie się to kosztem miasta, urzędnika, inteligenta. Możemy się przed tym bronić. Możemy petentów odsyłać do sąsiada. Dwór do straganu, stragan do dworu. Nie wiem, czy to się na co przyda. Ale możemy także z ogólnego, państwowego, historycznego stanowiska starać się rozważyć, czy ten stan, który chce władzy, może w interesie państwa ją sprawować. Czy problemy, które będzie miał do rozwiązania, będzie najpierw rozumiał, a potem umiał rozwiązać.

Niestety, my, inteligencja mamy najfatalniejsze przygotowanie do znajomości chłopca. Jako klasa nie wyrosliśmy z niego. Poznańskie jest pod tym względem oazą, oazą, która ginie w ogólnym obrazie pustyni. Pochodzimy z dworu i dworku, pochodzimy z żydowskiego miasteczka, pochodzimy od niemieckiego przybysza. Chłop w naszej literaturze, jak to słusznie pisała p. Maria Dąbrowska, jest stworem, który modli się, tańczy i śpiewa. Czasem bywa nadczłowiekiem. A tymczasem chłop wyrósł. Jest zwykłym, po prostu, człowiekiem.

Chłop

<sup>166</sup>dyktatorialny — dziś popr.: dyktatorski. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>Cerekwica — wieś w ob. województwie kujawsko-pomorskim, miejsce wydania przywileju cerekwickiego (15 września 1454) przez króla Kazimierza IV Jagiellończyka w obozie pospolitego ruszenia, pod presją szlachty wielkopolskiej zgromadzonej na wyprawę przeciw zakonowi krzyżackiemu w trakcie wojny trzynastoletniej; artykuły przywileju ograniczały władzę króla i elity możnowładców, działającej za pośrednictwem rady królewskiej, na rzecz reprezentacji szerokiej szlachty, gromadzącej się na sejmikach, co zapoczątkowało ustrojowe prawo Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>bitwa pod Radzyminem (13–16 sierpnia 1920) — stoczona podczas wojny polsko-bolszewickiej, stanowiąca jeden z najważniejszych elementów działań znanych pod wspólną nazwą bitwy warszawskiej; w wyniku krwawego starcia rosyjski atak został odparty, co było jednym z warunków powodzenia polskiej kontrofensywy. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>Bartek Zwycięzca — tytułowy bohater noweli Henryka Sienkiewicza z 1882, prosty chłop, który po wybuchu wojny francusko-pruskiej zostaje wcielony do pruskiego wojska i oglupiony propagandą, dzięki swojej ogromnej sile wyróżnia się w bitwie pod Gravelotte, zyskując uznanie pruskich oficerów. [przypis edytorski]

W Poznańskim chłop miał dobrobyt, gruby, materialny. W Kongresówce nie miał nic. Tam oblicze wsi jest najbardziej tajemnicze, zagadkowe i chmurne. W Małopolsce była nędza, ale z tą nędzą przyszedł wcześniej parlamentaryzm, chłopscy posłowie i stronnictwa. Stapiński<sup>170</sup>, polskie szkolnictwo powszechne. W Małopolsce oblicze polityczne chłopca jest najwyraźniejsze, mowa jego postulatów najbardziej prosta. Ten chłop wie o wiele więcej niż to, co byśmy mogli sądzić o jego ojcach, tych ze *Skalnego Podhala* i *Wesela*. Można z tymi ludźmi mówić najzwyczajniej o deflacji i inflacji, o bilansie handlowym, o wpływie takich czy innych posunięć na położenie gospodarcze. Można z nimi mówić o wszystkim, i mają oni o tym swoje głęboko uzasadnione zdanie. Ludzie ci znają zagranicę lepiej niż niejeden inteligent. Znają ją głębiej. Wielu z nich spędzało całe lata w Niemczech, wielu powróciło z Ameryki, wielu mieszkało we Francji. Daje to zapas obserwacji, których nie da nikomu już nie bona<sup>171</sup> zagraniczna, ale nawet lektura, nawet wycieczka „Orbisu”. Gruntowną znajomość z dołu. Obcowanie z bardziej wyrobionymi społecznie masami krajów Zachodu. To jest kontakt z tymi krajami, jakiego nie było w romantycznej epoce Lolki Bobrówny<sup>172</sup>.

Te rzeczy są ważne, ale te rzeczy jeszcze nie mogą przesądzać o tym, czy dana warstwa dorosła do rządów krajem. Bo nie ludźmy się, że będziemy wtedy, gdy ona dojdzie do władzy, rządzą obok niej. Zostaniemy fatalnie odepchnięci na bok, może jak dawna rada królewska średniowiecza, może gorzej niż miasta Jana Olbrachta. Właśnie miasta. Otóż najniewątpliwiej mieszczenie krakowscy średniowiecza byli najwykształceńszą warstwą w ówczesnej Polsce i niewątpliwie z tego tytułu mieli więcej praw do władzy niż władcy Łokietka. Byli jednak warstwą dla kraju obcą i na własne i nasze nieszczęście prowadzącą politykę w imię interesów obcego — użyjmy dzisiejszego szablonu — mocarstwa. Bunt wójta Albrechta był nie tylko ruchem socjalnym, był ruchem narodowym i ruchem obcym, proniemieckim. Taka warstwa nie mogła bez szkody państwa dojść do władzy. Gdyby doszła, Kraków podzieliłby los Wrocławia. Ale oto świętem chłopskiej warstwy, zarazem jej legitymacją do rządzenia, jest dziś wojna toczona z obcymi. Wojna, o której niejeden będzie twierdził, że przecięła bagnietem żołnierskim wiekowy spłot sprawy polskiej ze sprawą rewolucji światowej.

Czy piętrzące się przed nami zagadnienia państwowe potrafią chłopcy rozwiązać, to inna rzecz. Zagadnienia te jednak rozumieją. Czy potrafią się wznieść na stanowisko ponadklasowe? Powiedzmy, że przyjdzie im to trudno, ale żadna warstwa rządząca nie była w historii wolna od podobnych grzechów. Myśmy tych zagadnień rozwiązać nie potrafili. Nie uczyniliśmy tego ani w erze parlamentu, ani w erze silnej władzy. Dziś, po chaotycznym rozparcelowaniu milionów hektarów, sytuacja na wsi jest gorsza, niż była. Trzeba będzie tych ludzi dopuścić, aby to uczynili sami, a nam pozostanie jedynie troska, aby ten wielki proces przyszedł jak najprędzej, odbył się najbardziej zbliżenie do wzorów Zachodu, nie został zamącony w sposób, który by się odbił na sile, może nawet na bycie, naszego państwa. Nie jest to staranie małe i praca łatwa, ale jest to praca, która ma jeszcze wszelkie szanse powodzenia i z którą nie można zwlekać.

\*

Oto z błonia podmiejskiego przeszli olbrzymim pochodem chłopcy, rzeszowska masa chłopska defiladą ludowego święta, wybranego przez nich, kończącego się poza granicami tego kraju, polskiego święta. Nigdzie nie widzi się u nas takich mas jak na tych chłopskich uroczystościach. Przeszli przez miasto burzą. Wołali: „Precz ze szlachtą!”, „Precz z Żydami!”. Ta „szlachta” to nie tylko katuszowe postacie. To, jak ci Żydzi, i miasto, i inteligent, biały kołnierzyk, krawatka. Niechęć do Żyda jest gospodarcza. Niechęć do ziemianina przechodzi coraz bardziej, z każdym rozparcelowanym folwarkiem, z gospodarczej — w polityczną.

Trzeba zrozumieć, dlaczego opada, stygnie tamta, rodzi się ta. Otóż najniewątpliwiej obszary dworskie skurczyły się w sposób bardzo znaczny i nędzy chłopskiej mało w czym

<sup>170</sup>Stapiński, Jan (1867–1946) — polski polityk, jeden z twórców i przywódców polskiego ruchu ludowego, publicysta, poseł do parlamentu austriackiego i na Sejm II RP. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>bona (daw.) — wychowawczyni małych dzieci w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>Lolka Bobrówna — Ludwika Bobrówna (1825–1890), córka Joanny Bobrowej, adresatka wiersza Słowackiego z 1844. [przypis edytorski]

ulżą. Ale w ciągu ostatnich lat drogi polityczne ziemianina i chłopą, nigdy zbyt bliskie, rozeszły się bardzo silnie. Ziemianie przystali do obozu Piłsudskiego. W swej większości dwory uczyniły to dla zasady, niemal mistycznej, że rząd polski, rząd głoszący naprawę ustroju, rząd z bohaterem niepodległości na czele, trzeba bezwzględnie poprzeć. Wiś poszła inną drogą. W wielu wsiach w slotne dni ostatnich wyborów jedynym człowiekiem, który pod niechętnymi spojrzeciami milczącej wsi szedł spełnić obowiązek wyborczy, był ziemianin, nauczyciel. Ludzie ci nie mają żadnego wpływu na wsi. Ludzie ci — i ze szkoły, i z dworu — uważani są za ludzi trzymających z miastem.

Trzeba pamiętać, że interes zawodowy skłaniał ziemianina do zajęcia postawy przeciw rządóm, które dla rolnictwa były ciężkie, że głosząc, popierając, ziemianin ten przekreślał własny interes. Ale trzeba pamiętać, że ziemiaństwo przestało już być klasą, że musi więc do którejś z istniejących dziś klas przystać. Stojąc za rządami pomajowymi, zwłaszcza w ich ostatnich etapach, ziemiaństwo wybrało miasto, i prowadzenie innej polityki niż wieś, skupiło na nim niechęć już nie tę, jaką czuje biedny do bogacza, ale tę, którą się czuje do politycznego przeciwnika. Grupa inteligencji miejskiej, która podtrzymywała kontakt z masami ludowymi, profesorzy jak Kot i Marchlewski, stali się tymi, do których uświadomiona wieś małopolska posiada zaufanie. Zamiast możliwej współpracy chłopsko-ziemiańskiej powstała współpraca chłopsko-inteligencka, oczywiście częściowa. Wydaje mi się, że warstwą, która będzie musiała najwięcej zrzec się ze swego stanu posiadania w wypadku objęcia władzy w państwie przez warstwę chłopską, będzie jednak właśnie ona, bardziej niż dwór, bardziej niż stragan. Niemniej ta garstka inteligentów, która współpracuje z chłopami, ci Kotowie i Klocowie spełniają może najważniejsze dziś zadanie: przeprowadzenia przejścia władzy od jednej warstwy do drugiej, służenia pomocą wiedzy i doświadczenia ludziom nowym. Bo przecież takie przejście będzie, mimo możliwości pokojowego przebiegu, bardzo głęboką orką rewolucji społecznej.

Takie przejście dokonało się kiedyś, w ponurych dniach klęski niemieckiej, w 1918 r. Ostatni kanclerz cesarstwa, książę Maks Badeński, stanął wtedy naprzeciw trybuna ludu, socjalisty Eberta. Człowiek, którego świat się załamał, myślał jednak nie o klęsce swej warstwy, ale o tym, co przekazuje innej klasie. „Panie Ebert — powiedział — oddaję panu władzę w Niemczech. Oddajemy tym panu Niemcy”. „Książę — brzmiała odpowiedź Eberta — ja dla Niemiec dałem dwóch moich synów”. U stóp cesarskiego pałacu tłumy witały narodziny republiki, ale republika nie oznaczała — stoczenia się w przepaść.

## SPRAWA O GARNKI PRZY DRZWIACH OTWARTYCH

W sprawie niniejszej występuje najpierw jeden oskarżyciel, który zresztą osobiście nie zjawił się na rozprawie, i którego oskarżenie znamy tylko ze streszczenia, popartego i rozszerzonego przez znaną literatkę i świetną tłumaczkę Londona, panią Stanisławę Kuszelewską. Pani Kuszelewska pisze w „Gazecie Polskiej” najsamprzód<sup>173</sup> tak:

Polskie Radio nadało 11. bm. świetny reportaż p. Z. Skierskiego pod tytułem: *U garncarzy w Horodnie*. Z rzeczowych i prostych słów prelegenta, niebarwionych żadną tendencją, a tylko czasem podkreślających tonem głosu głęboką treść społeczną tych obserwacji, dowiedzieć się mógł uważny słuchacz rzeczy na pozór drobnych i mało ważnych, które jednakże pozwolę sobie uznać za — wstrząsające. Mianowicie: cała ludność osady Horodno na Kresach trudni się z dawien dawna wyrobem garnków glinianych. Garnki te skupowane są przez miejscowych handlarzy i pośredników po sześć (wyróżnie sześć) groszy za sztukę. Pośrednicy organizują „we własnym zakresie” polewanie tychże garnków, po czym sprzedają je hurtownikom, biorąc po... 25 groszy od sztuki. Chłopów nie stać na materiały, potrzebne do robienia polewy, zrzeczyć się sami nie potrafią, toteż od wielu lat biernie i posłusznie żyją w tej nowoczesnej pańszczyźnie. Garncarzy liczy Horodno i okolica około czterech tysięcy. Handlarzy i pośredników — osiemnastu ludzi. Garncarze żyją w ostatniej nędzy. Cena 25 groszy za garnek byłaby dla nich bogactwem. Polewę robić umieją. A jednak — idiotycznie i beznamiętnie pozwalają się doić.

<sup>173</sup>najsamprzód (daw.) — najpierw; przede wszystkim. [przypis edytorski]

Mamy więc klasyczny obraz wyzysku, a że przy tym, co za chwilę zaznaczy pani Kuszelewska, dowiemy się, że cztery tysiące garncarzy należy do narodowości białoruskiej, zaś osiemnastu lichwiarzy do żydowskiej, [mamy] cały aspekt problemu żydowskiego. Mamy zaś na razie obraz działalności starostwa:

Zlitowały się wreszcie nad nimi władze starościńskie. Zakupiły większą ilość materiałów do robienia polewy. Założyły spółdzielnię wytwórców. Więcej, zbudowały dla tej spółdzielni duży, specjalny dom. Aliści już na pierwszym jarmarku hurtownicy oświadczyli, że garnków polewanych w spółdzielni nie kupią wcale, nawet za tańszą cenę, a na przyszłość wymagać będą (zgadnijcie państwo!)... kartki, że garnek otrzymał polewę z rąk „powołanych”. Wobec tego spółdzielnia zakończyła sromotnie swój bezpłodny żywot, po czym zapanował *status quo ante*<sup>174</sup>: bezprzykładna nędza chłopów poleskiego i brutalny wyzysk pośredników.

Powiedzieliśmy, że powództwo zostało przez panią Kuszelewską rozszerzone. Istotnie, nie chodzi już o samo Horodno. Cała Polska jest wielkim Horodnem, czterema tysiącami garncarzy, osiemnastoma wyzyskiwaczami:

Los garncarzy horodeńskich nie jest odosobniony. Jest raczej symptomatyczny niż sporadyczny. Historia wszystkich przemysłów chałupniczych w Polsce to jeden ciąg podobnie ponurych i wstrząsających anegdot. W nieco innej formie powtarzają się one w innych dziedzinach życia poleskiego, głównie na Kresach Wschodnich. W handlu zbożem, drewnem, bydłem, końmi, nabiałem, drobiem, rybami, owocami, futrami, ubraniem.

Przed sądem oskarżyciel występuje z wnioskiem, powództwo składa swe żądania. Pani Kuszelewska czyni to istotnie ze wszystkim znawstwem procedury sądowej:

Wiadomo, że Palestyna nie jest dziś spokojnym terenem kolonizacyjnym, ale znane są również ostatnie posunięcia angielskie, zmierzające do jej uspokojenia. Znana jest również potęga pieniądza, którym rozporządzają poważne czynniki żydostwa międzynarodowego, i wiadomo, że dla pieniądza... świat nie kończy się na Palestynie. Wiemy też, jak wielkiej pracy gospodarczej i kulturalnej dokonali Żydzi np. w Tel Awiwie i jak odradzają się we własnej siedzibie.

Przed Polakami i Żydami leży ogromna praca do podjęcia i przeprowadzenia. Składa się ona — dla władz państwowych — z szeregu wewnętrzno-politycznych zarządzeń, jako też z zewnątrzpolitycznych środków. Dla społeczeństwa zaś: z powstrzymania się od wzajemnych krzywd i z — decyzji rozstania.

Wszystko to jest niezwykle wyraźne, przejrzyste i ściśle. Są jednak sprawy sądowe, które wymagają wizji lokalnej, a ludzi znających nieco Polesie pewne zbyt przejrzyste punkty tej sprawy szczególnie zainteresowały. Wizja lokalna, odbyta na własną rękę, dała też interesujące rezultaty, a przede wszystkim nie ustaliła żadnych śladów pobytu tamże p. Z. Skierskiego, oskarżyciela prywatnego nr jeden. Być może, że ankietę prowadził *via* powiatowe miasteczko Stolin, w każdym razie jeśli tu był, prowadził swe poszukiwania z dyskrecją tak zupełną, że nawet panu Janowi Kisielowi, miejscowemu kierownikowi niedoszłej czy raczej załamanej spółdzielni, nic nie jest o nim wiadome.

Natomiast udało się ustalić następujące rzeczy. Przede wszystkim przyjdzie skrócić znacznie cyfrę ludności lepiącej garnki, a podanej zarówno przez p. Skierskiego, jak też — o co nie mamy żalu — przez p. Kuszelewską. Po pierwsze bowiem, wyrób garnków jest skoncentrowany w samym Horodnie, nie w „okolicznych wsiach”. Jedyne kilka bardzo dalekich już chutorów, ponad 10 km, zajmuje się we własnym zakresie lepieniem i sprzedażą garnków, i to niezależnie od żydowskich polewaczy czy sprzedawców rodem z Horodna. W tych warunkach nic dziwnego, że liczba zajmujących się tą pracą, a więc

<sup>174</sup>*status quo ante* (łac.) — poprzedni stan rzeczy. [przypis edytorski]

wyzyskiwanych, nie wynosi 4000, ale o jedno małe zero mniej, 400, jak o tym powiadomili niniejsze badającego zarówno kierownik niedoszłej spółdzielni, jak i miejscowy posterunek policji. Oczywiście proporcja 18 do 400 — bo cyfra 18 polewaczy była jednak prawdziwa — jest proporcją innego rodzaju niż 18 : 4000.

Są pewne nieścisłości, zarówno dogodne, jak niedogodne dla tez p. Skierskiego. Dogodną będzie najpierw ta, że garnek palony, ale nie polewany można dostać nie za sześć, ale za trzy grosze. Niedogodną, że garnek po polewaniu dokonywanym przez Żydów kosztuje 10 i 20 groszy, i że za tę cenę nabywa się go już nie tylko hurtownie, ale i detalicznie w samym Horodnie. Być może zresztą, że o cenie garnka dowiedział się p. Skierski w Stolinie, ale wtedy trzeba w to wkalkulować cenę przewozu, która przecież istnieje, zarobek kupca, który powietrzem nie żyje, co *last not least*<sup>175</sup> cenę garnka podraża. Są to wszystko jednak rzeczy pomniejsze, wspomniane tu jedynie dla manii kolekcjonowania nieścisłości. Natomiast jest jeszcze inna interesująca okoliczność. Oto że kilkunastu chłopów, wypalaczy garnków, trudni się we własnym zakresie ich polewaniem, unikając więc w ten sposób pośrednictwa żydowskiego. Bardzo piękne polewy ma pod tym względem mieszkaniec Horodna Mikołaj Wieczorek, zwany popularnie Zającem. Istnieje więc, jak widzimy, gruba szpara, przez którą można uciec przed wyzyskiem żydowskim. Nie należy jednak sądzić, że polewanie jest zwykłą formalnością. Jest to rzecz trudna, a w warunkach poleskich jeszcze i kosztowna, wymaga osobnego pieca, materiałów służących do polewania, wprawy. Toteż jest rzeczą charakterystyczną, że Białorusini posiadający własne polewalnie zadowolają się polewaniem własnych wyrobów, nie starają się ogarnąć szerszego rynku. Najwidoczniej praca ta tak bardzo opłacalna nie jest, a koszt garnka jest raczej podrożony kosztami wywozu i przewozu niż kosztem polewania. Pamiętać należy, że czterystu ludzi siedzących w jednym miejscu lepi garnki, że na Polesiu zaludnienie jest nikłe, drogi złe, że więc przy takiej konkurencji wspaniałych widoków rozwoju ten przemysł z pewnością nie ma.

Sprawa bankructwa spółdzielni przedstawia się w tych warunkach w sposób, który mógł raczej skłonić inicjatora, powiatowy sejmik stoliński, do nierozgłaszania swojej wątpliwej chluby przez megafony radiowe. W osadzie, gdzie było już kilkanaście pieców, gdzie cena glinianego garnka (ukręcanego z gliny w ciągu mniej niż 10 minut) na skutek polewania wzrastała o kilka groszy (zarobek sprzedawcy — osobno!), postanowiono wybudować nowy, wielki piec, ogrzewający garnki w specjalnie precyzyjny sposób, by wyeliminować owych kilka groszy od garnka, zarobek kilkunastu istniejących idących warsztatów, sposób zarobkowania i żywienia ich rodzin, zapewne jednej piątej, może i więcej ogółu mieszkańców i tak nędznego miasteczka. Wedle wskazań fachowca z Warszawy wybudowano cały zakład, łącząc na to 15 tysięcy. Są od tego większe inwestycje w Polsce, ale w najdalszej okolicy Horodna ich nie ma. Inwestycja była oparta na pewności, że chłopci przystąpią do spółdzielni, ale chłopci przystąpić do niej nie chcieli, przyrzeczenia udziałów powycyfowali. Kierownik spółdzielni, naturalnie zawiedziony, jest zdania, że Żydzi przestrzegali ich, że upadek spółdzielni pociągnie dla nich konieczność pokrywania kosztów, odpowiedzialność do wysokości wkładów. Chłopci nie chcieli ponosić odpowiedzialności za 15 tysięcy złotych. Ostatecznie wieś miała wiele przykładów bankructwa spółdzielni. Być może, że słusznym byłoby postępowanie w odwrotnym porządku: żeby najpierw chłopci chcieli spółdzielni, potem sejmik wsparł tę akcję. Zjechawszy o paręset kilometrów bardziej na wschód Polski, można odnaleźć kraj, gdzie nieraz chłopci chcieli spółdzielni, ale starostwo ją zamykało. Trzeba, żeby starostwa ustaliły swój stosunek do spółdzielczości.

Tuż pod Horodnem jest mały majątek. Jego właściciel chciał ze swej gliny produkować dachówki. „Kirpicza” jednak się nie powiodła. Wbrew przestrogom ludzi tutejszych wybudowano piec, w którym dachówki, zrobione z gliny o dużej przymieszce szkła, gięły się w rogach. Fabryka postępowej „kirpiczy” się nie powiodła, piec stoi, dawne piece dymią. Być może, że coś podobnego było i z piecem sejmikowym, bo znowuż nie Żydzi, ale miejscowi polewacze prawosławni drwią z jego inicjatorów, twierdząc, że łamały się w nim garnki dane do polewania. Nie zdziwiłbym się jednak, by osiemnaście pieców

<sup>175</sup>*last not least* (ang.) — ostatnie [lecz] nie najmniej ważne (o jakimś zagadnieniu wymienionym na końcu). [przypis edytorski]

żydowskich i kilkanaście prywatnych białoruskich broniło się przed konkurencją i miało łatwą obronę, skoro zarobek na garnku wskutek polewania nie zwiększał się jak 6 do 25. Stwarzało to między innymi bardzo niskie możliwości opłacalności tych piętnastu tysięcy złotych.

Wszystko to więc stoi, z miejsca się nie rusza. Żydzi skarżą się na utrudnienia w nabywaniu roli, w fabrykacji garnków, skarżą się, że w ślad za nieudaną gospodarczą działalnością sejmiku idzie skuteczniejsza działalność karnetu<sup>176</sup> z grzywnami. Szkoda, że przychodząc z pomocą Horodnu, nie pomyślano raczej o tym, jak wywołać zainteresowanie jego wyrobami z gliny, uszlachetnić je, zakupywać dla bazarów ludowych w miastach, wobec nikłego, z powodu konkurencji, odległości od dróg, skąpości zaludnienia Polesia, zainteresowania garnkiem jako naczyniem użytkowym stworzyć z niego przedmiot sztuki ludowej, tani a zdobniczy. Targi Poleskie, na których niestety nie było garnków horodeńskich, nadawały się do tego znakomicie. Sejmik stoliński mógł poszukać rynków zbytu dla Horodna, mógł je znaleźć. Wołał pójść na teren kosztowniejszy, źle obliczony w możliwościach, przegrał. P. Skierski woła o wstrząsającym wyzysku żydowskim. P. Kuszelewska otwiera wrota Palestyny. Zdaje się, że jeśli wnioski tych państwa były oparte jedynie na Horodnie, to należy, po stwierdzeniu zbyt wielu nieścisłości ich relacji, niezgodnego z rzeczywistością przedstawienia zasadniczych dla sprawy momentów (4000 zamiast 400, wyłączność polewalni żydowskich, gdy są i nieżydowskie, połączenie w jedno zarobku hurtownika i polewacza, podniesienie ceny garnka w Horodnie, względnie zacytowanie jako tej ceny garnka w Stolinie odległym o 20 km), powództwo umorzyć, wnioski oskarżenia uchylić, a koszty sądowe, w postaci specjalnej jazdy na miejsce dostarczyciela niniejszych danych, rozłożyć proporcjonalnie na Polskie Radio i „Gazetę Polską”. Czy zaś przeciwko sejmikowi stolińskiemu nie należy wytoczyć powództwa o złe gospodarzenie mieniem publicznym i wadliwe przystępowanie do polepszenia bytu ludności, to już inna sprawa. W każdym razie należy mu raczej doradzić pracę nad wyszukaniem nabywców na garnki, samemu nie polewać. Urzędnicy co prawda nie święci, ale garnków lepić, jak się okazuje, nie potrafią.

## O WÓZ I O KONIA

Chcecie wiedzieć, jak to wygląda? Więc najpierw jest długa, gnąca się przez wzgórze dolina, z zielonometną Sołą płynącą jej dnem, z domami stojącymi — jakże niemądrze! — blisko wody, z lasami przerzucanymi przez zbocza górskie, z dalekimi lysinami polonin<sup>177</sup>. Rzeka przelewa się z szumem po kamieniach, aż naraz skręca w bok w jakieś kanały czy śluzy, a tymczasem tam, gdzie było jej główne koryto, wyrosły olbrzymie szare bloki. Bloki są ujęte w drewniane szalowania, ale już teraz można poznać, że odpadną one z nich deska po desce. Jeśli podejździe się bliżej, widać, że dwa mury cementowe wparto tu w dwa zbocza górskie, że między każdym z tych bloków wolna jeszcze przestrzeń zasklepia się coraz bardziej, że rosną mury, które zabudują pozostawione tu dotąd przełęcze. Chcecie wiedzieć, jak to się robi? Więc co pół minuty zjeżdżają po kolejce linowej wagoniki z masą betonu, wielki stalowy żuraw spuszcza pęki desek i belek, a robotnicy rzucają się na to, rozprowadzają, unoszą. Z ulepionych już z betonu ścian sterczą gęsto stalowe pręty. To kości, wokoło których narośnie nowy mięsień betonu. Beton, który już zasycha, zlewa się wciąż wodą, żeby pozostał jeszcze nie stwardniały, żeby nowe nakładane warstwy spoily się ze starymi, pogrubily i podwyższyły to, co już jest. W ten sposób powstaje olbrzymi mur, biegnący linią prostą poprzez koryto Soły.

Chcecie jeszcze wiedzieć, skąd dźwiga się ta ogromna szara masa, ten monolit betonu? O dwieście metrów stąd kopie się w łożysku Soły żwir, szuter, kamienie. Wszystko razem wędruje przez skomplikowany, a prosty system walców, sit obrotowych i pasów transmisyjnych, podający sobie ten materiał coraz wyżej i coraz dalej. Wchłania go prawdziwy młyn, wielki gmach drewniany na pięć pięter. Kamienie idą coraz wyżej, a jednocześnie stają się coraz mniejsze, wreszcie dochodzą na najwyższe piętro zglajchsztaltowane<sup>178</sup>

<sup>176</sup>karnet (daw.) — notes, notatnik. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>polonina — górskie łąka położona powyżej granicy lasów w Karpatach Wschodnich, w szczególności w Bieszczadach. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>zglajchsztaltowany (pot., z niem.) — ujednolicony; zrównany na siłę. [przypis edytorski]

na miał kamienny. Cała budowa drży od tego przemiału kilkunastu żaren. Tu na górze dokonywa się przemieszanie z worami cementu i strugami wody. Zależnie od potrzeby twardości i zwartości miesza się główne składniki betonu. Kamiennie ciasto wędruje stąd na zaporę, osiada na stalowych prętach, krzepnie wreszcie w twarde bloki, dość mocne, aby ich nie wzruszył ogromny napór wód, które spiętrzy przyszła zaporą. W powietrzu nieustanny zgrzyt wagoników, spuszcza się i podnosi żuraw, łomocą młoty, trzeszczą miażdżone kamienie. Huk i pył unoszą się nad całym dnem Soły, przekopanym, rozciętym olbrzymią ścianą, która tu rośnie coraz szybciej. U stóp wielkiego bloku można przejść swobodnie przez otwory przyszłych turbin wodnych. Ze szczytu zapory widać daleko dolinę. Można już dziś odgadnąć rozmiary przyszłego jeziora. Aż do siedmiu kilometrów stąd spiętrzy się Soła na wysokość 22 m, zaleje te domy przed nami, tamte wsie, pola, ogrody, sady, drogi. Tę nową szosę budowano umyślnie tak wysoko, wrzynając ją w las i zbocza, żeby nie podmyła jej woda. Ludzie będą musieli stąd odejść, nawet już odchodzą.

Tak wygląda dziś jedna dolina podgórska, na Śląsku Cieszyńskim, za Żywcem. Zaporą w Porąbce będzie gotowa już tej jesieni. Wody Soły zaleją to wszystko za mniej niż rok. O sto kilometrów bardziej na wschód, w głębi innej doliny, pod Sączem, w Rożnowie, buduje się drugą zaporę, trzykrotnie większą od porąbskiej. To samo, tylko na większą skalę i tylko o kilka lat wcześniejsze w etapach pracy. Więc rzeka — tu jest to szeroki i bogaty w wodę Dunajec — płynie dalej swym korytem, tylko że obok tego koryta drąży się już w skale i ilach olbrzymi wykop fundamentów. Później przeciągnie się je przez rzekę. Dynamit rozsada wybuchami co twardsze partie, świdry i oskardy, poruszane sprężonym powietrzem, rozłupują głaz, armia robotników ziemnych ładuje to na wozy i wywozi. Wykop pogłębia się i rozszerza: przekroczył już 20 m głębokości. Na zboczach przedzielonych rzeką dwie świeże blizny wskazują w gęstwie lasu miejsca, na których oprze się każdy z krańców tamy. Biec ona będzie przez odległość przeszło pół kilometra. W Porąbce cały tabor wagoników zwoził beton i żwir. Tu jeszcze większy tabor kolejowy i konny wywozi masy iłu i ziemi. O lesiste masywy wzgórz obija się echo dynamitowych wybuchów. Nad Solą i nad Dunajcem rysuje się kontrast cichych górskich dolin i pracy, zagęszczonej tu tłumem ludzkim, masą maszyn, wielkością zmian.

Przybór wód na Sole to była od lat nieuchronna zapowiedź powodzi w Krakowskim. Przybór wód Dunajca groził dalekiej Warszawie. Ostatnia powódź kosztowała kraj przeszło osiem milionów. Te dwa „baraże”<sup>179</sup> na dwóch górskich rzekach oznaczają regulację wód. O stanie wody na Sole czy Dunajcu, a więc o jej stanie na Wiśle, przestanie decydować przypadek zmiennej pogody, a będą decydowali kierownicy dwóch wielkich elektrowni w Rożnowie i Porąbce. Masa energii wodnej, która spływa powodzią, zatrzyma się wtedy, osiadzie oparta na betonowych masywach, odpływać będzie w miarę potrzeb, unormowanym dokładnie nurtem. Jej energia poruszać będzie wdrażone w mur zapór olbrzymie turbiny, turbiny poruszą elektryczne generatory tej siły, jakiej jeszcze nie ma w Polsce. Dwie sieci prądu o wysokim napięciu pójdą z doliny za Żywcem i za Sączem. Nie będzie to zwykły prąd: wody Soły spiętrzą na kilkanaście metrów, zaleją nimi bogatą dolinę, wypędzą z niej ludzi po to, aby jednocześnie w licznikach kilkuset tysięcy mieszkań, na całym polskim Śląsku spadły ceny miesięcznego rachunku płaconego elektrowniom, aby wydatek na światło w kilkuset tysiącach domowych budżetów najbardziej przemysłowej i robotniczej części Polski spadł do poziomu wydatku na zapalki. Wody Soły spiętrzone będą jeszcze i po to, żeby wszędzie, od Żywca począwszy, po najmniejszych górskich wsiach elektryczna żarówka wyparła lampę naftową, jak niegdyś lampa naftowa wyparła lojówkę<sup>180</sup>, lojówka — łuczywo.

Tak będzie w Porąbce, Rożnow będzie potężniejszy kilkunastokrotnie. Zadaniem Rożnowa nie będzie już oświetlenie jakiegoś Śląska, choćby tak ludnego jak Belgia. Zadanie Rożnowa to zupełna elektryfikacja kraju, między Tarnowem, Kielcami a Radomiem. Nowo tworzący się w tej środkowej części państwa przemysł nie ma węgla. Źródło jego siły pędnej leżeć więc będzie w tych górach za Sączem. Będzie go ono nasycalo tak samo, jak kopalnie górnośląskie żywią ciężki przemysł. Wreszcie, niezatrzymane i tym wysił-

<sup>179</sup>baraż (z fr. *barrage*) — tu dosł.: zaporą. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>lojówka — świeca z loju. [przypis edytorski]



kiem, energie rożnowskie pobiegną dalej: ostatnim etapem ich pracy będzie elektryfikacja warszawskiego węzła kolejowego. — Teraz jeszcze stan wód na Dunajcu może przynieść Warszawie powódź. Za kilka lat stan wód na Dunajcu będzie poruszał warszawskie pociągi i nowe centrum przemysłu. Oto dlaczego wody Soły i Dunajca będą spiętrzone, dlaczego pracuje tu lub pracowało kilka tysięcy ludzi i dlaczego tysiące hektarów ziemnej zaleje się wodą.

\*

Na stokach rożnowskiej góry stoją domy tej masy ludzkiej — tysiąc kilkaset głów — która tu pracuje. Masa ta mówi różnymi językami, pochodzi z różnych stron Polski, Europy, a nawet świata: jeden z techników jest Kanadyjczykiem, inny — przybył z Nowej Zelandii. Masa ta, rozmaicie płatna, spełnia rozmaite funkcje. Ma różne cele i różny stosunek do pieniądza, różną przeszłość za sobą. Wreszcie masa ludzka, która pracuje nad tym, aby Śląsk i centrum Polski oświecać i poruszać, różnie mieszka i różnie jada. To są może najmniejsze, ale najwcześniejsze uderzające jej różnice.

Więc na samej górze mamy przede wszystkim szereg długich drewnianych willi, ślicznych i komfortowych. Mieszkają tu kierownicy budowy, fachowi inżynierzy francuscy. Roboty i tu, i w Porąbce prowadzą towarzystwa polsko-francuskie z obcym kapitałem. Niżej nieco, już w lesie, wznosi się cała kolonia „specjalistów” technicznych, zatrudnionych przy budowie. Jeszcze niżej mamy baraki panów z polskiej administracji nadzorującej z ramienia ministerstwa budowę. Prawie na tym samym poziomie zbiega rozpoczyna się seria robotniczych baraków, która opada aż na dół doliny, prawie do rzeki.

Masa ludzka nie tylko mieszka rozmaicie. Żywi się też bardzo rozmaicie. Najniższa kategoria to robotnicy, którzy uważają koszt całodziennego wyżywienia w kuchni robotniczej — 90 groszy — za wygórowany i żywią się sami, kupując u chłopów mleko, chleb, kaszę. Ostatnia kategoria robotników nie chciała mieszkać w barakach: wybudowanie baraków pozbawiło ją 40-groszowego dziennego dodatku za nocleg: z tego dodatku oszczędzali trzy czwarte, płacąc chłopom rożnowskim, u których sypiali pokotem, tylko po 10 groszy.

Masa ludzka spełnia rozmaite funkcje, rozmaicie wiele czasu oddaje pracy, rozmaicie wiele zarabia. Pracuje się od paru godzin urzędowania dziennie do dwunastu godzin akordówki. Zarabia się od paru tysięcy miesięcznie aż do — ciągle schodzimy, jak od tych will francuskich do baraków na dole — 35 groszy za godzinę. Jej narzędzia pracy są też bardzo rozmaite. Jedni są wyposażeni w to, co mógł dać bogaty kraj, zamożne środowisko rodzinne, możliwość nauki, zdolności. Ludzie ci pracują wysiłkiem zwojów mózgowych, pomnożonych o wiedzę, podniesionych do kwadratu i sześciastu przez cały wysiłek innych ludzi przed nimi, którzy zebrali doświadczenia, możliwość studiowania, takie czy inne rezultaty pracy, i wszystko to oddali właśnie im do wyzyskania, jak siłę z Rożnowa otrzyma Tarnów, Radom i Warszawa, a energię z elektrowni w Porąbce Śląsk. Praca taka jest wydatna i zaznacza się w płacy. Praca innych jest już mniej wydatna. Współczynnik wiedzy, o jaki mogli pomnożyć jej rezultaty, jest mniejszy, do pracy zwojów mózgowych poczyna przyłączać się wysiłek mięśni. Im bardziej schodzimy w dół, w głąb wykopu, tym w całości pracy dalszych ludzi wysiłek mięśni zaczyna górować nad wszelkim innym. Wreszcie wysiłek zwojów mózgowych staje się minimalny. Nie zawsze jest to jednak wysiłek mięśni własnych, nie zawsze wysiłek danej chwili. Oto praca robotników ziemnych: ludzie ci nie mają dyplomów, nie można im nawet powierzyć zakładania min, nie umieją obchodzić się ze świdrem poruszającym sprężonym powietrzem. W przeszłości zdołali jednak zaoszczędzić część swej pracy, uchronić jej owoc przed konsumpcją: kupili narzędzie, wóz. Wozem zwozi się tu ziemię. Ale ci ludzie uchronili jeszcze większy zapas pracy, zdołali go skapitalizować: kupili konia. Za tych ludzi pracują ich mięśnie, ale pracuje jeszcze ich koń, służy im ich wóz. To wszystko będzie im policzone w codziennym obrachunku. Taki robotnik wyteża swe mięśnie, ale wartość pracy, dokonywanej przez niego obecnie, pomnażana jest przez wartość pracy kiedyś już dokonanej, a włożonej dziś we własnego konia, we własny wóz. Wbrew pozorom, ten robotnik jest już tworem gospodarczo podobnym do inżyniera Francuza, choćby w tym nikłym, ale istotnym stopniu, w jakim

Praca

dziecinny latawiec jest spokrewniony z olbrzymim junkersem<sup>181</sup>. *Homo oeconomicus*<sup>182</sup> w Rożnowie zaczyna się od właściciela wozu i konia, jak kiedyś i gdzie indziej, w noweli Sienkiewiczowskiej, zaczynał się od barona.

Tylko że jest jeszcze jedna, podziemna niemal, kategoria pracowników w wykopie. To ci właśnie, którzy tego konia i wozu nie mają, a prócz mięśni i czasu nie mają nic więcej. A jest to prawie jedna trzecia tu zatrudnionych robotników. Pracują na akord, często po 12 godzin. Większość tego czasu pracują przy najniższej robotniczej stawce 35 groszy godzina, resztę czasu po 45, parę godzin nawet po 50. Powiecie, że jest to niska płaca? Oczywiście — ale w powiecie brzeskim, skąd przyszli, dniówka robocza na roli nie przekracza 90 groszy, i oto co oznacza przerwienie ze wsi do przemysłu. Ci bezkonn i bezwoźni odczuli dotkliwie zbudowanie im przestronnych baraków: odebrało im to przecież dodatek mieszkaniowy, z którego oszczędzali 30 groszy. Nie stołują się w gar-kuchni robotniczej, bo jest dla nich za droga: nie mogą przejeść dziennie równowartości trzech godzin swojej pracy.

Ludzie rożnowscy są różnicowani narodowo. Inżynierowie to Francuzi, specjaliści techniczni — Niemcy, Anglicy, Polacy ze Śląska, urzędnicy z nadzoru — Polacy, robotnicy kwalifikowani — także. Wreszcie najniższa kategoria robotników, robotnicy ziemni, ci z koniem i wozem i bez nich, to przeważnie Poleszacy czy Białorusini zza Brześcia. Tak różnice kwalifikacji, pracy, płacy, jadła, mieszkania, różnice przepastnie wyrażone w rozpiętości płac, utwierdza jeszcze różnica narodów.

\*

Monsieur Dubois dowiedział się bodaj po raz pierwszy à *Rogenouff*<sup>183</sup>, że istnieje taki naród białoruski. Chłop z Wołczyna, tego samego, gdzie chrzczony był Stanisław August, zapewne po raz pierwszy oglądał Francuza. A jednak, mimo wszystko, są więzy, które łączą pariasów i braminów Rożnowa. Widać to zawsze w dzień wypłat. Dzień wypłat wytrąca z równowagi życie całego osiedla. Po wzgórzach słychać pijackie okrzyki radości, parę karczm starych i parę nowych gospód, pierwszych instytucji, jakie zapoczątkowała budowa zapory, jest przepelnionych. Ludzie wędrują aż do Sącza, urzędnicy robią wycieczki do Krakowa. Złoty gejzer wycieka z Rożnowa dość szybko. Tamy, która by go zatrzymała, turbin, które by przemieniały jego energię na tworzenie nowych dóbr, nie ma. Tylko dwie kategorie nie mają tego dnia nadwyręzonego życia. Piękne wille Francuzów i żółty barak Białorusinów żyją tego dnia jak co dzień. Najwięksi bogacze i najwięksi biedacy Rożnowa kapitalizują z jednakim zaparciem. Monsieur Dubois ceni zbyt mało te rozkosze, jakie może mu dać pieniądź w Rożnowie albo i w samym Nowym Sączu; chłop z Wołczyna ocenia te rozkosze jako zbyt drogie.

Jest jeszcze inna racja zbliżająca jeden z największych narodów świata, który sobie i innym rzeźbił historię, do narodu-przedmiotu, narodu, któremu bieg dziejów odebrał, nawet w godzinie wyzwoleń 1918 r., odczucie wielkości chwili, którego ruch niepodległościowy wije się przędzą przetkaną przez wszystkie możliwe oddziały wywiadowcze i przez wszystkie możliwe nadużycia pieniężne: oto zarówno inżynier francuski, jak białoruski kopacz wiedzą dobrze, że ich zysk przy tej pracy wyraża się bez reszty w tym, co otrzymują przy wypłacie. Urzędnik i inżynier Polak, inteligent, rozumie, że współpracuje przy czymś, co jak Gdynia, jak Mościce, jak magistrala węglowa jest nowym potężnym krokiem w postęp. Kwalifikowany robotnik Ślązak wie, że powstanie tu taka rzecz, jaką widział w Niemczech, na południu Francji, w Czechach, że gdy on spiętrzy tu wody, tam opadnie w domu rachunek za światło. Robotnik może i wie, że powstaje to po to, aby za Tarnowem wyrósł ciężki przemysł, nowe warsztaty pracy, nowe możliwości zatrudnienia. Dla tych ludzi jest w tej pracy coś więcej jeszcze poza pensją i poza akordem. Ale

<sup>181</sup>*junkers* — tu: samolot niemieckiej firmy założonej przez inżyniera Hugona Junkersa (1859–1935). [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*Homo oeconomicus* (łac.) — człowiek ekonomiczny (w ekonomii: koncepcja człowieka jako istoty racjonalnie dążącej do maksymalizacji osiągniętych zysków, dokonującej wyborów ze względu na wartość ekonomiczną ich rezultatów). [przypis edytorski]

<sup>183</sup>à *Rogenouff* (fr.) — w Rożnowie. [przypis edytorski]

światła z Rożnowa nie będą napępiały blaskiem neonów paryskich; Porąbka nie zelektryfikuje Wołczyna. Być może, że podświadomie Polacy uważają, iż proces kapitalizacji spełni za nich wzniesiona tu przegroda na rzece. Dość, że pieniądze przeciekają przez ich ręce. Gromadzą się u Francuza, myślącego o nowych akcjach przedsiębiorstw, które kupi i które mu będą odrzucały zysk równie samoczynnie, jak samoczynnie będzie tu woda poruszała turbiny. Gromadzą się u Białorusa, który liczy, że swoją pracę zamieni w konia, wóz, ziemię, i że tym wszystkim będzie podwajał obecny zysk swego trudu.

Ten chłop spod Wołczyna w Rożnowie podhalańskim — któż to taki? Mały sknera? Nędzarz z duszą Harpagona<sup>184</sup>, proletariusz z nastawieniem drobnoburżuja? Zdaje się, że nie. Oto odprysk rozgniecionego nieszczęściem, ale i własną niezdolnością narodu. Początki jego wierzchniej, inteligenckiej, kierowniczej warstwy nie umiały go ochronić, zgotować mu lepszego bytu, przynajmniej w początkowych etapach. Dziś pod Rożnow ten człowiek przyszedł sam. Oszczędza w sposób najbardziej drakoński<sup>185</sup> i najbardziej heroiczny w świecie. Nędzarz jako człowiek i nędzarz jako naród, dobrowolnie nagina się do norm świata opartego na pieniądzu. Ze swymi groszowymi zarobkami staje tu do wyścigu kapitalizacji z Francuzem, Niemcem, Polakiem. Syn wsi, której gospodarka jest może — obok hiszpańskiej czy albańskiej — najbardziej nieproduktywna w Europie, przyjmuje nowe formy pracy. Z przysłowiowo leniwego niezdary, niedzielnego opoja, pierwotniaka robi się ciulaczem, jakich nie zna świat. Łopaty Białorusów wdrażają się dzień i noc w szary il wykopu. Przygotowują miejsce dla betonowych masywów zapory. Wydaje się, że pod Rożnowem dokonywa się coś więcej jeszcze: najmniej skryształizowany, najmniej osobowy z ludów w Polsce przekopuje tu cały system swego bytu, przestawia się na inne zadania, wykształca w sobie z dawnych wad społecznych nowe wartości gospodarcze. Tam gdzieś w Mińsku jest akademія białoruska, gdzieś w Wilnie jest gimnazjum, są szkoły białoruskie, gdzieś nurtuje komunistyczna propaganda. Tu w Rożnowie jest białoruska „praca od podstaw”. Tu są jej podświadomi Świętochowsy, Prusowie, Lubecy, nie z rozumu, nie z wiedzy, ale z instynktu. Tylko, tylko tu stawiane są prawdziwe podstawy tego, co w mistycznym eufemizmie „Białoruskiej Krynicy” nazywane jest dzisiaj „domem białoruskim”. — Masa polska stanęła w półdrodzu. Najwięcej zarabiają Francuzi, najwięcej kapitalizują Białorusini, najwięcej wydaje, konsumuje ona. „Za nią” niech robi to państwo.

Trzeba odwrócić oczy od tych wielkich dolin, od gór, między którymi zalegną tafle dwóch olbrzymich jezior, zgromadzą się dwie olbrzymie masy wód. Trzeba zapomnieć o olbrzymim taborze wagoników, o masach przemielonego betonu, o tym, co tutaj imponuje. Bo ostatecznie! Ostatecznie w Porąbce pracuje dziś czterystu, w Rożnowie tysiąc pięćset ludzi. Siły tych ludzi, użytkowane przez kilka lat, dadzą nam elektryfikację dwóch najważniejszych centrów przemysłowych, przy czym jedno z nich niemal stworzą. Zelektryfikują stołeczny węzeł kolejowy, wieś podhalańską. Kilka tysięcy robotników, zatrudnionych przez kilka lat, zrobi aż tyle. Ale w Polsce jest nie parę tysięcy, ale dziewięć milionów ludzi, których praca jest mała lub żadna. I w porównaniu z tym Rożnowy i Porąbki są nieskończenie małe. To tak, jakby wyzyskiwały jedną setną tej masy wód, która spływa Sołą i Dunajcem ku Wiśle, jedną tysięczną, a reszta jakby płynęła sobie dalej, po staremu zalewając pola, znosząc z prądem powodzi domy.

## PRAWO DO WOŁYNIA

Pani Róża Bailly, francuska przyjaciółka Polski, objeżdża obecnie Wołyń, była w Łucku i Krzemieńcu, pokazano jej Górę Sokolą i Poczajów, zwiedziła siódme Targi Wołyńskie w Równem i badała związki naszej kultury z wielką kulturą Zachodu. Dobrze, że pani Bailly nie jest w tej chwili z nami, o kilkadziesiąt kilometrów od Łucka, o kilka zaledwie od małego zapomnianego Dermania. Pagórkowaty Wołyń, sfalowany jak woda u brzegów jezior i mórz, rozprostowuje się tutaj coraz bardziej w wielką roztocz stepu. Więcej szerokim tchem wiatry od Dniepru, Azowa i Kubania. Młody, rosły pastuch pilnuje swych krów. Pastuch Radion zwraca na nas swe głęboko osadzone, ociężałe patrzące oczy, swój

<sup>184</sup>*Harpagon* — główny bohater komedii Moliere *Skąpiec*. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*drakoński* — surowy, bezwzględny; od imienia Drakona, przewodawcy ateńskiego. [przypis edytorski]

ludzki pysk o czymś faunicznym, jakby pół ludzkim, pół zwierzęcym, a urodziwym. I na pytanie odpowiada nam właśnie:

— *Własi la rut o wilaż*.<sup>186</sup>

Nie wiemy, jak by się dogadali pani Bailly z Radionem, ale nam robi się jakoś śmiesznie i nieśmiesznie. Chłopak patrzy na nas z niechęcią, jak przymuszane do czegoś, menażeryjne zwierzę. Słowa wypowiedział wolno, jak mówią głuchoniemi, brzmiały sucho i obco, ani francusko, ani ukraińsko. Mamy wrażenie, że zmuszamy tego zdrowego chłopaka do jakiejś poniżającej, okaleczającej go roboty.

— *Combien avez vous de vaches*?<sup>187</sup> — pytamy po prostu, wyraźnie i powoli. Ale pastuch nie rozumie pytania.

— *Szczoż was szcze w szkoli uczyły*?<sup>188</sup>

Pastuch Radion ma odruch buntu czy zniechęcenia. Przełamuje w sobie ten odruch. U tych ludzi wszystkie odczucia i reakcje widać jak przez szklaną szybę. Pastuch Radion patrzy nam w oczy i dobitnie zaczyna skandować:

*Metr korbo siur ę arbr pęszy*  
*Tene dan są bek ę fromaż:*  
*Metr renar par loder aleszy*  
*Tene a pępre se langaż.*<sup>189</sup>

Teraz napisane wygląda to okropnie, ale wtedy mówione brzmiało jeszcze gorzej. Jakieś bezsensowne zestawienia dźwięków, jakieś nowotwory czy kikuty słów. Pastuch wyrecytował mechanicznie całe dwie zwrotki bajki La Fontaine'a.

— *Toho nas w szkoli uczyły* — odpowiedział. — *Szisz' rokiw uczyłsia*.<sup>190</sup>

Pastuch wypowiada to z dumą, ale nie wiem, czy jest to duma wywołana tak wielkimi i długimi studiami. Jest raczej w tej dumie podstępne chłopskie szyderstwo. Przez chwilę waży się jeszcze w powietrzu, drga na ustach tego chłopaka, aż się rozśmiała, niemal rozzuchwała. Długim batem wskazuje na chudobę:

— *A teper to i na korowu po francusku kłyczu*.<sup>191</sup>

Powiedziane to zostało w pół po polsku, tak żebyśmy to na pewno rozumieli. Pastuch chciał, żebym wiedział i dobrze zapamiętał, że tego *metr korbo* i *metr renar* nauczyła go moja, polska szkoła, na jego Wołyniu. Pastuch chciał, żebym ocenił, jak głęboko pozwoliła mu osiąść mowę Ludwika XIV i Moliера oraz jak wspaniałe nowe horyzonty otworzyła mu przed oczyma.

Obecnie szkolnictwo ludowe nie ma już w swoim programie jak przed kilku laty nauki języka francuskiego. Ale swoje ten znakomity program szkolny zrobił. Jest dziś zapewne kilka tysięcy młodych ludzi na wsi kresowej, którzy jak Radion przez taką szkołę przeszli, tak jak on posiadli wiedzę o *metr korbo* i *metr renar*, i wreszcie podobną co on korzyść i zastosowanie praktyczne dzięki tej szkole osiągnęli. Jak młody żebrak kaleka, obwieszony medalami wojskowymi, jest odstraszącą pozostałością wojny, tak ci wszyscy młodzi, zdrowi i okaleczeni ludzie są chodzącymi karykaturami oświaty.

Pan Płachta i pani Płachcina<sup>192</sup>, ich córki, *Zenobie et Crispine*. Czyście ich zapomnieli? Tedy przypomnijcie sobie. Oto czasy o sto lat wcześniejsze, stary Wołyn z powieści Korzeniowskiego, kontrakty kijowskie i spekulacje majątkowe, marszałkowie szlachty

<sup>186</sup> *Własi la rut o wilaż* (zniekszt. fonet. fr.) — zapewne: *voici route au village* (tutaj jest droga do wioski). [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *Combien avez vous de vaches?* (fr.) — Ile masz krów? [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *Szczoż was szcze w szkoli uczyły?* (ukr.) — Czegóż was jeszcze w szkole uczyli? [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *Metr korbo siur ę arbr pęszy...* (fonet. zniekszt. fr.) — Pan Kruk, na wysokim drzewie, w dziobie trzymał ser. Pan Lis, zapachem zwabiony, przemówił w te słowa (początek wierszowanej bajki La Fontaine'a *Kruk i lis: Maître Corbeau, sur un arbre perché, Tenait en son bec un fromage...*). [przypis edytorski]

<sup>190</sup> *Toho nas w szkoli uczyły (...)* *Szisz' rokiw uczyłsia* (ukr.) — Tego nas w szkole uczyli. Sześć lat się uczyłem. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *A teper to i na korowu po francusku kłyczu* (ukr.) — A teraz to i na krowę po francusku wołam. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *Pan Płachta i pani Płachcina* — bohaterowie powieści Józefa Korzeniowskiego *Kolokacja* (1847). [przypis edytorski]

i *Kollokacja*<sup>193</sup>. Sześciomorgowy zaściankowy szlachcic, z magnifiką<sup>194</sup> i córkami, z ich wykrywaną francuszczyzną o słownictwie nie z Moliere, ale z żurnalu mód warszawskich, wielka mowa, którą słyż przez świat idee, w której zmętniał tu tylko parafiański snobizm. Ale oto to samo, co ośmieszył Korzeniowski, odżyło w demokratycznym państwie, wcieliło się w jego szkolnictwo i zanesione zostało już nie do zaścianków szlacheckich, ale na ruską wieś. Kollokanci. Tak. Pani Bailly dowie się zapewne w Krzemieńcu i Łucku, że Wołyń jest najściślej zespalany z wielką kulturą Zachodu. Pastuch Radion mógłby, gdyby zechciał, nawoływać swe krowy po francusku. Ojciec pastucha Radiona ma zapewne w chacie wiele szeleszczących mikołajówek, tęczowych Piotrów Wielkich, może nawet wspaniałą „Katarzynkę”. Zdewaluowanymi rublami carskimi, po które ręce wyciągał, może dziś z powodzeniem wytapetować żłób dla tej samej krowy, do której Radion mówi mową encyklopedystów. Dwa pokolenia wsi wołyńskiej zawiodły się różnie, ale srodze.

Z tym wszystkim nie bez racji pani Róża Bailly, zagraniczna przyjaciółka Polski, będzie podkreślać w świecie, że Polska łączy Wołyń z wielką kulturą Zachodu, nie bez racji dawne programy wołyńskich szkół ludowych starały się tę łączność podkreślić, co prawda niezbyt szczęśliwie, i wreszcie nie z innych racji widok pastucha Radiona podważa w nas poczucie wartości tego kulturtregerstwa<sup>195</sup>. Tytułem, na jakim państwo polskie oparło swe roszczenia do tych ziem, nie było, jak przy Śląsku, zamieszkiwanie ich przez olbrzymią większość polską, nie była, jak w wypadku Pomorza, konieczność dostępu do Bałtyku, ale polskość kultury tego kraju. Kultura stała się takim samym tytułem prawnym posiadania, jak gdzie indziej były nim względy etnograficzne, gospodarcze czy geograficzne. Łączenie tego kraju z Zachodem stało się odtąd obowiązkiem ciężącym na Polsce, wprawdzie moralnym, ale oto przyjaciółka Polski, pani Bailly, chce móc podkreślać, że Polska ten obowiązek wypełnia, a ludzie, którzy wskażą na tysiące Radionów, będą podawać w wątpliwość wartość tego wypełnienia. Szerzenie kultury jest głęboką racją istnienia tu władzy polskiej, jak korzystanie z dróg morskich głęboką racją posiadania przez nas dostępu do morza, tylko cóż to jest dla wsi wołyńskiej kultura. Oto pastuch Radion umie wiersze La Fontaine’a, których nie umie jego ojciec. To prawda, ale to też prawda, że z tymi wierszami La Fontaine’a pastuch Radion pasie krowy jak jego ojciec, tylko może na bardziej rozdrobnionej działami rodzinnymi przestrzeni, to prawda, że tajemnicza i wyższa kultura panów zbliżyła się do niego, ale stała się naraz bańką mydlaną w jego oczach. Polska szkoła z językiem francuskim była jak maszyna, która porwała dzikiego chłopaka w swe tryby, uniosła, wchłonęła, ale wreszcie odsunęła na bok, poza obręb swych przetwórczych, przekształcających kół.

Wieś pastucha Radiona, moc wsi wołyńskich zostało pochwyconych dzięki Polsce jeszcze w inne pasy transmisyjne, ogarniętych innym procesem kulturalnym. Nie jest to już obecnie dawna wieś. Podobno po sowieckiej stronie granicy całe wsie przenoszą z miejsca na miejsce. Podobno z chat mają tam wzniesć wielkie wspólne gmachy. Tu cała wieś Radiona została rozbita w puch, rozpylona po wzgórzach, rozrzucona po stepie. Można powiedzieć, że nie ma tej wsi, i rzeczywiście takiej, jak była, już nie ma. Stłoczone w gęstwą chaty wielkiej wsi ruskiej, narażonej co roku na pożary i epidemie, rozsunęły się na strony dzięki komasacji. Ludzie, którzy nie znają rolnictwa, ludzie, którzy nie wiedzą, jak gospodarowała dawna wieś wołyńska, nie rozumieją znaczenia faktów, że wreszcie te gospodarstwa składające się z kilkunastu ułamkowych pasków ziemi, rozrzuconych na przestrzeni kilku kilometrów, zebrano w osobnej całości nowych gospodarstw. Zdaje się, że nigdzie w Polsce komasacji nie przeprowadzono tak energicznie jak na Wołyniu, z takim nakładem kosztów, mimo wszelkich protestów, wszelkich nieuniknionych nierówności, oporu ciemnej masy chłopskiej; po to, żeby mogła się zmienić najfatalniejsza gospodarka na jednej z najlepszych ziem w Europie, trzeba było dokonać tego przewrotu,

<sup>193</sup>*kollokacja* — dziś: kolokacja, hist.: wieś szlachecka, która na skutek niewypłacalności dziedziców została podzielona na części należące do różnych właścicieli. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*magnifika* (daw., żart., z łac. *magnificus*: dostojny; wspaniały) — małżonka. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*kulturtregerstwo* (z niem. *Kulturträger*: szerzyciel kultury) — narzucanie innym narodom swojej kultury i zasad (zwykle ironicznie o zaborczej polityce Niemiec prowadzonej pod pretekstem krzewienia kultury). [przypis edytorski]

którego narzędziem był triangulator<sup>196</sup> geometry<sup>197</sup>. Żeby tu przyszła jakakolwiek kultura rolna, musiał się zmienić krajobraz Wołynia, uczynić się mniej podobnym do wsi ruskich nad Dnieprem i nad Słuczą, do świata naszych i ich ojców, do czasów Rosji carskiej. Musiał się wygląd wsi upodobnić do tego, co od wieku ma Francja, Niemcy, Czechy, Dania i Poznańskie. Każdy skomasowany hektar utwierdzał i przedłużał polskie prawo do Wołynia, oznaczał narodziny wiejskiej kultury. Ale komasacja, jak szkoła, stawiała dopiero początki. Od tego musiało się zacząć, ale na tym nie można było skończyć.

Chłopa wołyńskiego obudziła, jak Mickiewiczowskiego żubra, wojna światowa z wiekowego snu. Wojna wstrząsnęła napływem nowych ludzi i nowych wydarzeń: uchodźcy, rozprężenie ogromnego państwa, rewolucja, dwukrotne przejście bolszewików, widok mazepinek<sup>198</sup> ukraińskich na głowach wojsk z Galicji Wschodniej, wszystko to zrobiło swoje. Inflacja pierwszych lat powojennych otworzyła przed chłopem nie tylko półki kramów, ale lada wielkich sklepów, wybory postawiły go przed programem i hasłem, szkoła przed czytaniem. Chłop duński, który rozpoczął od komasacji, na komasacji nie skończył, przeszedł do spółdzielni, do własnych szkół, które czynią rozróżnienia językowe między mową duńską w Zelandii a tą samą mową duńską w Jutlandii. Chłop ów wybiera swoich wójtów, posyła swoich posłów do parlamentu. Proces szerzenia kultury na Wołyniu był procesem, który charakteru masowego mieć nie mógł. Tam, gdzie szła szkoła, musiało iść czytanie i język, w którym się czyta. Tam, gdzie przeprowadzono parcelację, meliorację i ulepszone gospodarke, musiała się pojawić spółdzielnia, hurtownia, kółko rolnicze. Tam, gdzie się pojawiły pierwsze formy gospodarczego życia zbiorowego, musiały się pojawić pierwsze partie polityczne, pierwsze obozy, pierwsze rozłamy, bo rzecz, określana jako ogólnie „kultura Zachodu”, nie polega tylko na tym, że chłop niemiecki ma radio, duński auto, a francuski pije wino. Tam, gdzie kilkumilionowa masa ludności została w ciągu kilku lat podniesiona do wyżyn szkoły powszechnej, komasacji spółdzielni mleczarskich — tam ta masa mogła wejść w nowe progi, mówiąc tylko swym starym własnym językiem. Tam musiała równolegle do podniesienia się kultury wystąpić sprawa narodowa. Na Wołyniu była nią sprawa ukraińska. Państwo polskie wzięło Radiona do szkoły, nauczyło rzeczy pożytecznych i całkiem zbędnych i wypuściło z powrotem na łąkę. Państwo polskie skomasowało wsie dookoła Dermania i za nim osadziło włościan w nowych chatkach i na nowych polach. Ale teraz musiał przyjść ktoś inny, który by Radionowi pokazał nie jak czytać, ale co czytać i jakie z tego czytania może przecież wyciągnąć korzyści. Musiał przyjść do wsi za Dermaniem ktoś inny, który by pokazał, jak gospodarować, który by założył spółdzielnię, fachowo ją prowadził, zyski dla zrzeszonych ciągnął, zaufanie wsi ciemnej zdobył. To było bardzo trudne i niewdzięczne zadanie. To było jednak zadaniem zdobywania Wołynia przez tworzenie jego kultury. Wymagało to mało stosunkowo wiedzy i wyszkolenia, ale dużej ofiarności. Być może, że tędy prowadziła nawet droga do spolszczenia Wołynia, być może, że Wołyń nie tylko kulturalnie, ale i narodowo należałby do ludzi, którzy by go nauczyli, co czytać i jak gospodarować. Było wtedy w Polsce bardzo wielu młodych entuzjastów, którzy chcieli Polskę spolszczyć, i tych ludzi bolał niezmiernie nadmiar adwokatów Żydów we Lwowie i Krakowie. Bardzo wielu z tych ofiarnych młodzieńców spolszczyłoby może kancelarie adwokackie w Łucku, może nawet w Równem, a ostatecznie i w Dermaniu. Ale walka o polskość Wołynia nie rozgrywała się na terenie kancelarii adwokackich i posad urzędniczych, toteż nie znalazła entuzjastów. Nauczycielem życiowym i społecznym ludzi spod Dermania stał się młody człowiek spod Lwowa, Ukrainiec galicyjski. Miał on nad polskim urzędnikiem tą ogromną przewagę, że był temu ludowi niewątpliwie bliższy. Był jak on synem chłopskim, mówił językiem o słabych różnicach, poczuwał się do wspólnoty. Roztaczał przed młodym chłopem wołyńskim horyzonty życia narodowego, nowe, nieznane, wspaniałe, jak ongiś te nadzieje łączone z poznaniem tajemniczej pańskiej francuszczyzny. Budował mu w zrębach życie ukraińskie, życie spółdzielcze, polityczne, kulturalne. Nabywał

<sup>196</sup>triangulator — tu ogólnie: przyrząd do dokonywania pomiarów geodezyjnych terenu metodą triangulacji. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>geometra (daw.) — geodeta, człowiek zajmujący się pomiarami gruntów. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>mazepinka a. mazepynka — tradycyjna ukraińska czapka wojskowa, z charakterystycznym przekrojem w kształcie klina z przodu, używanym od powstania kozackiego w XVII w., w czasach hetmana Iwana Mazepy (stąd nazwa). [przypis edytorski]

w imię tej nowej, pierwotnej, ale niewątpliwie istniejącej kultury jeszcze jedno, nieznanie tu dotąd, prawo do Wołynia. To pewne, że rozwój spółdzielczy Wołynia był w tych czasach równie nagły, jak rozmiarami swymi i wzorowością gospodarczą imponujący. Było jasnym, że jest to nowe prawo kultury przeciwstawiane dawnemu prawu polskiemu. Państwo polskie nie mogło przeciwstawić temu prądowi i napływowi innego, równego mu w intencjach i celach napływu. Widziało, jak na podstawie szkoły stworzonej przez Polskę i komasacji przeprowadzonej przez Polskę rodzi się życie kulturalne i postęp gospodarczy, które będą inne niż nad Pilicą. Ale państwo polskie nie zauważyło dwóch innych bardzo ważnych rzeczy, a to że życie ukraińskie Wołynia może popłynąć albo nurtem legalnym spółdzielni, wiecu politycznego, szkoły narodowej, albo wymknie się w nurty podskórne, złościąc głęboko ziemię, że tylko do czasu może trwać przyjaźń pozorna miotaczy bomb i kasjerów sklepów, że Poznańskie, które najlepiej rozwinęło swe jawne życie narodowe i spółdzielcze, nie znało krwawych śród i placów Grzybowski<sup>199</sup>, jak zepchnięte w podziemia życie Kongresówki, że wreszcie, jeśli nie leży w możliwości władzy zamienienie paru milionów Ukraińców wołyńskich na Polaków, to pozostanie do rozstrzygnięcia kwestia, jaki będzie ten wołyński, rodzący się dopiero typ Ukraińca, a obojętnym to wcale nie jest. Polska powiedziała tu wielkie A swego alfabetu: przeprowadziła komasację. Komasacja to był wielki wstęp do rozbudowania wsi na modłę zachodnią na gruncie zasady własności prywatnej, upodobnienie, do Niemiec, oparcie struktury rolnej na niezależnej gospodarczej jednostce, na podniesieniu mas wiejskich do typu kułaka. Po drugiej stronie świeżo wytyczonej granicy czyniono wręcz odwrotnie, niszczone własność prywatną, niszczone zarodek niezależności gospodarczej chłopów, kolchozem upodabniano ich do wielkorojskiego „miru”. Po drugiej stronie zaczynała się dyktatura, zależność gospodarcza i polityczna, zaczynał nowy, pod jarzmem wyrosły typ Ukraińca. Po polskiej stronie, cokolwiek by nie chcieli młodzi ludzie ze Lwowa, wyrastał typ zupełnie inny, zupełnie odmienny. Ludzie tak różni jak „biedniak” i „kułak” nomenklatury sowieckiej. Dwa zupełnie różne społeczeństwa. Interesem Polski było, by chłop wołyński był gospodarczo zasymilowany do chłopu w Poznańskim, a oddzielony od chłopu zza Woroneża. Polscy nacjonaści zwracali wiele uwagi na kolor szyldu sklepowego i jego język, a mało na te właśnie rzeczy, na to znaczenie, jakie ma ta sama struktura, a w następstwie ta sama psychika gospodarcza. Wszystko to *last not least* łączące z Polską, nawet mimo pozorów, bo oddzielające się od tego, co się współcześnie działo w Charkowie, i tego, co i tu, i w Charkowie było przed wojną. Pozostało przez nich niedostrzeżone. W nadchodzącej fali kultury ludowej widzieli tylko jej nieuchronny, bo od przygniatającej większości ludności zależny, skład narodowy. W tych warunkach musiało przyjść to, co leży zawsze w możliwości fizycznie silnych, a psychicznie bezradnych: złamanie. Koła rozpędowe wstrzymała w miejscu ta sama ręka, która puściła je w rozpęd twórczy. Skrzypnęły glucho łamane tryby.

Pozostałość rodzącej się i zatrzymanej w swym normalnym rozwoju kultury widziałem na północy, w powiecie kostopolskim, jadąc o świcie roztrzęsionym autobusem do Berezna. Autobus, wpadając w wielkie kałuże dróg, mijając począł od pewnego miejsca ustawione przy drodze wielkie blaszane bańki na mleko. Stały zupełnie samotnie, niestrzeżone przez nikogo. Nie była to Dania ani Holandia, był to północno-wschodni kąt Wołynia. Tego dawniej i jeszcze bardzo niedawno na Wołyniu nie było. Takie bańki z mlekiem rozstawione nad drogą, w odległości kilkuset metrów od rozrzuconych po polu chat, była to kultura innej wartości niż wiersz o *maitre corbeau* w ustach pastucha Radiona. Wy tłumaczono mi ten cud. Oto w Kostopolu była dawniej kooperatywa mleczarska *masłosojuzu* i tu wszyscy byli jej dostawcami. Codziennie przejeżdżał wóz i zabierał mleko, gospodarze nauczyli się czysto doić, mieć takie bańki i wystawiać je na drodze, nauczyli się, że to, co jest niestrzeżone, nie przestało tym samym być czyjąś własnością, powinno móc stać bez stróża. Kooperatywy w Kostopolu już dziś nie ma, jak znikła cała nić *masłosojuznych* kooperatyw, jak znikły ukraińskie szkoły, pozostawiając tylko lekcje ukraińskiego, udzielane przez nauczycieli poznańskich. Mlekiem w Kostopolu handlu-

<sup>199</sup>*krwawych śród i placów Grzybowski* — wydarzenia związane z Organizacją Bojową PPS: na placu Grzybowski w Warszawie 13 listopada 1904 zorganizowała demonstrację, w czasie której doszło do starć z policją i wojskiem; podczas rewolucji 1905 roku, w „krwawą środę” 15 sierpnia 1906 przeprowadziła skoordynowaną akcję w 19 miastach Królestwa Polskiego, dokonując zamachów na 80 Rosjan. [przypis edytorski]

je ponownie żydowski mleczarz, dawny pachciarz<sup>200</sup> ze dworu. Było to niezamierzonym może, ale niewątpliwym skutkiem zamknięcia kooperatywy. Wszystko jest więc jak dawniej, wszystko wróciło do dawnego trybu, tylko uparte blaszane bańki wylażą jakby same na drogi Wołynia i nie chcą już z nich odejść. W 1852 r. stare Żydówki z Krzemieńca, pięknego licealnego Krzemieńca, wierzyły święcie, że Mikołaj I<sup>201</sup> „jeszcze Liceum wróci”.

Zresztą władza, która wstrzymała rozpędowe koło, która chcąc nie chcąc w miejsce kostopolskiego *masłosojuzu* postawiła dawnego pachciarza, jest w pojęciu znakomitej większości polskiego społeczeństwa na Wołyniu, wojska, osadników, urzędników, ziemiaństwa, jeszcze zbyt słaba, zbyt liberalna, zbyt ukrajinofilska. Zjazd krzemieniecki osadników domagał się, by Polacy, zamieszkali na Wołyniu, czy też tylko osadnicy rolni, płacili zaledwie symboliczny podatek, 10% tego, co płacą inni tutejsi obywatele państwa. W powiecie krzemienieckim na dwunastu wójtów mamy czterech osadników, czterech przyjezdnych Polaków, byłych wojskowych, wysłużonych żołnierzy, wreszcie czterech ludzi miejscowych, Ukraińców. Zapewne przed wojną sami miejscowi piastowali wysokie urzędy wołosti gminnej. To wszystko jest dla tych ludzi jednak jeszcze za mało. „Czy pan wie, że Liceum Krzemienieckie jest zukrainizowane?” — pyta mnie ziemianin wołyński. Wyrażam zdziwienie: o ile wiem, językiem wykładowym Liceum jest język polski. „Ach tak — brzmi odpowiedź — ale przyjmuje się tam także Ukraińców”. Przypomniałem rozmówcy, że przed wojną na uniwersytecie berlińskim studiowało wielu Polaków, co ze strony niemieckiej nie wywoływało skarg na polonizację Berlina. Zapewnił mnie, że Ukraińcy nie potrzebują liceum. Nie znał Ułasa Samczuka.

Rodzina Ułasa Samczuka mieszka po dawnemu na wsi, w Uhorsku pod Krzemieńcem. Ułas Samczuk jest niewiele starszy od pastucha Radiona, tyle że pamięta jeszcze rosyjską szkołę, resztę wykształcenia otrzymał w polskiej. Temu lat siedem Ułas Samczuk został przytrzymany przy usiłowaniu przejścia granicy sowieckiej: uciekał do Charkowa, na uniwersytet ukraiński. Wtedy jeszcze zorze zdradnych<sup>202</sup> swobód jaśniały nad Dnieprem. Ułas Samczuk dostał się do więzienia, z więzienia oddano go do wojska. Z Cieszyna zbiegł ponownie, tym razem do Czech i tym razem skończył uniwersytet. Ułas Samczuk jest dziś pisarzem. Jego książka *Wołyni*, wielka kronika chłopska w stylu Hamsuna czy Marii Dąbrowskiej, pierwsze odsłonięcie tego, co się czasu wojny kłębiło pod czaszkami Radionów i Chwydotów, jest tłumaczona na języki: niemiecki, czeski i serbski. W Polsce jest zupełnie nieznaną. Kogo może obchodzić taki Ułas Samczuk spod Krzemieńca, poza lokalnym PKU<sup>203</sup> i lokalnym wydziałem bezpieczeństwa?

A jednak jest to wielka, surowa książka. W równomiernym do siebie rytmie rysuje się w niej rozwój dwóch dorastających z wolna istot: małego wiejskiego chłopaka, zagubionego między bydłem ojcowskim a mnogością dzieciaków, i rozwój narodu, który zgubił swą osobowość, aż do swego imienia, i którego splot wydarzeń dziejowych cuci stopniowo i dojrzewa. Jest to bardzo piękna i wyjątkowa książka. Po raz pierwszy przemawia w niej naród w 99% chłopski, mówi autentyczny syn chłopski, nie syn chłopów, u których jak na Zachodzie zamożność wypłastowała już trzy generacje, ale syn chłopca, który jeszcze do tamtego wszystkiego nie dotarł. Nie jest, jak literatura chłopska Rosji sowieckiej, nagięta do wskazań i wytycznych generalnej linii partii, nie jest na krztę chłopomańska. Sądzi chłopów z surowością, na jaką stać prawdziwego chłopca. Splot wypadków sprawił, że Ułas Samczuk jest politycznym emigrantem. Inny splot wypadków sprawił, że jego książka chłopska, pisana mową 70% mieszkańców sowieckiego pogranicza, jest książką zdecydowanie i głęboko antysowiecką, jak żadna inna w całej reszcie

<sup>200</sup>pachciarz (daw.) — ubogi dzierżawca lub pośrednik handlowy, najczęściej Żyd. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>Mikołaj I Romanow (1796–1855) — cesarz rosyjski i król polski (od 1825), syn Piotra I, brat i następca Aleksandra I. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>zdradny (daw.) — zdradziecki. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>PKU — Powiatowa Komenda Uzupelnień, terenowy organ wojskowy właściwy w sprawach uzupełnień Sił Zbrojnych II Rzeczypospolitej, zajmujący się m.in. prowadzeniem ewidencji wojskowej poborowych oraz wyznaczaniem poborowych do określonych rodzajów wojska. [przypis edytorski]



Polski. Dziś, gdy pogranicze jest naszym Rifem<sup>204</sup>, naszym *Wild Westem*<sup>205</sup>, takie rzeczy się ceni.

Chłop ukraiński pytał się przejezdnych rok temu, co z Abisynią<sup>206</sup>. Chłop ukraiński pyta się w tym roku o Hiszpanię<sup>207</sup>. Dlaczego ludzie pod Włodzimierzem, Dubnem interesują się naraz losami negusa<sup>208</sup> czy sukcesami generała Moli<sup>209</sup>? Wyjaśniają to jasno i szczerze: może być z tego wojna. Czy chcielibyście, żeby była wojna? — pytam. Chłop patrzy się głęboko zdziwiony i mówi: Ja chłop, panie, jakże mnie chcieć wojny?

W tym właśnie jest jeszcze jedna z tylu niedostrzeżonych przez nas rzeczy, że ten człowiek na Wołyniu, którego podniesienie się gospodarcze i kulturalne uczyniło kooperatywistą, nauka piśmiennym, oświata czytelnikiem tygodników, poczucie narodowe, zanikłe na niskim szczeblu cywilizacji, Ukraińcem, pozostał w swym gruncie chłopem. W tym znowuż leżała dla Polski bardzo wielka rzecz, niewyzyskana, niepopchnięta naprzód. Oto chłop nie chce wojny. Wszystkie społeczeństwa chłopskie są pacyfistyczne, wojny nie chcą, wojna oznacza dla nich zniszczenie, oznacza zepchnięcie z tego pierwszego dobrobytu, na który się wdarli. Im ten dobrobyt jest młodszy, bardziej niedawno zdobyty, cenniejszy, im ten dobrobyt się powiększa zamiast maleć, tym bardziej chłop jest przywiązany do nowego stanu rzeczy, nie chce go politycznie zmieniać. Chłop na Wołyniu chciałby dawnej swobody kooperatyw, dawnych szkół z pierwszych lat Polski, może takich posłów ukraińskich, jakich ma włościanin spod Tarnopola, ale chłop nie chce wojny. Chłop, po którym przewaliły się armie niemieckie i austriackie, bolszewickie i polskie, wie, że jego kraj będzie terenem wojny, i tego nie chce. Chłop nie chce wojny nawet wtedy, gdyby jej owocem miała być wolna Ukraina. Zbyt wielkie, zbyt ciężkie ryzyko. Tu rozchodzą się drogi. Możliwość spokojnego budowania własnej kultury dla milionowych wyzutyk z niej mas, jeśli oczywiście ta możliwość naprawdę istnieje, jest zbyt mądrą pokusą. Pragnienie pokoju jest tak wielkie, że pogłoski planowanej przez Hitlera wojny wzmogły do kilkudziesięciu tysięcy podania o pozwolenie na emigrację do Ameryki. Chłop nie chce wojny, a inteligent-emigrant Ułas Samczuk nienawidzi Sowietów. W tych warunkach można jeszcze zrobić wszystko. Ale powiedziano to przecież ze strony polskiej w roku 1918, prawa do Wołynia nabywa się przez jego kulturę. Nabywa, kto ją rozszerza, traci więc, kto pomniejsza.

Prawo do Wołynia. Oto jest przede mną Krzemieniec klejnot, Krzemieniec najpiękniejsze z miast Polski i jak ogromnie polskie. W głąb jaru zaszły dworki szlacheckie brzuchate i białe, z kolumnami i ciemnymi oczyma okien, w tłoku ulic zbiegły się domy żydowskie, z frędzlami galeryjek wokoło, jak owa karczma z Pana Tadeusza. Są dwa typy miast polskich — ery piastowskiej i ery jagiellońskiej, wschodni i zachodni. Tamte budowali Niemcy i Włosi, te budowały dwa elementy: szlachcic i Żyd. Krzemieniec to

<sup>204</sup>Rif — góry w Afryce, najdalej na północny zachód wysunięte pasmo łańcucha górskiego Atlas; w okresie międzywojennym teren ten należał do Maroka Hiszpańskiego, w 1921 miejscowe plemiona berberskie proklamowały niepodległość i powstanie Republiki Rifu; Republika została zaatakowana przez połączone siły Hiszpanii i Francji i w 1926 upadła. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*Wild West* (ang.) — Dziki Zachód. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>pytał się (...) rok temu, co z Abisynią — Abisynia to dawna nazwa Etiopii. W 1935 roku wybuchła druga wojna włosko-abisynijska: 3 października do Etiopii wtargnęły wojska faszystowskich Włoch, w skład których wchodziły dywizje tzw. Czarnych Koszul, paramilitarnej formacji utworzonej przez Mussoliniego. Armia etiopska, mimo zaciętego oporu, uległa przewadze wojsk włoskich, wyposażonych w samoloty, czołgi, artylerię, wielokrotnie używających gazów bojowych. Podbitą w 1936 Etiopię włączono do Włoskiej Afryki Wschodniej. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>pyta się w tym roku o Hiszpanię — chodzi o wojnę domową w Hiszpanii trwającą od 1936 do 1939; stronami konfliktu byli: rząd Drugiej Republiki Hiszpańskiej oraz prawicowo-nacjonalistyczna opozycja. Wsparcia stronie rządowej udzielała liberalno-lewicowa część społeczeństwa (ale również anarchiści) oraz zagraniczni ochotnicy, m.in. brygady zorganizowane przez Międzynarodówkę Komunistyczną, a oficjalnie również: Francja, ZSRR, Brazylia i Meksyk. Opozycję wobec rządu stanowili nacjonałiści, monarchiści, konserwatyści i faszyci, wspierani ideowo przez Kościół katolicki, finansowo przez najbogatszą część społeczeństwa, a militarnie przez wojska faszystowskich Włoch (Corpo Truppe Volontarie) i hitlerowskich Niemiec (Legión Cóndor), a także portugalski reżim Salazara; wiele krajów europejskich korzystało z konfliktu, sprzedając broń obu stronom. W marcu 1939 wojna domowa zakończyła się zwycięstwem nacjonalistów, Hiszpania została przekształcona w państwo faszystowskie pod rządami generała Franco. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>negus — historyczny tytuł władców etiopskich, tu: cesarza Etiopii. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>Mola, Emilio (1887–1937) — hiszpański generał, jeden z głównych organizatorów (obok generałów Franco i Sanjurjo) zbrojnego powstania przeciwko rządowi Frontu Ludowego, które doprowadziło 18 lipca 1936 do wybuchu wojny domowej. [przypis edytorski]

najczystszy stylowo wzór tego budownictwa. Krok dzwoni na kamieniach ulic, wzrok zagłąda do dworków, szukając pani Słowackiej. Ikwa, rzeka dzieciństwa, płynie jak wtedy przez łąk zielonych kobierce. Dzwoni jak dawniej sygnaturka Liceum. Jest olbrzymi kopiec Góry Bony, księżycową nocą czarny, jak wotum poczajowskie<sup>210</sup>, wielkie wotum ze szczerego patynowanego srebra. Z ruin zamku Krzywonosy wzrok opada już na step, wzrok w przestrzeni błądzi, nie wsparł się o nic. Był Słowacki i Korzeniowski, były dworki i przychodzą kooperatywy, jest Samczuk i jego Wołyń, książka, jakiej nasza współczesna literatura kresom tym nie dała. Prawa nie stoją w miejscu. Mogą rósć, mogą się zacieśniać i zamierać. Kultury przechodzą i odchodzą, czasem mogą przyjść niedostrzeżone, a istotniejsze niż francuska kultura Madame Płachta i pastucha Radiona. Taki piękny jest ten Krzemieniec, tyleśmy weń włożyli przez wieki, i taki jest sercu głęboko bliski. Tak by się chciało, byśmy tu dalej byli kulturą, tym, co żadnej kultury nie łamie, każdą przynosi i rozszerza, tak by się chciało mieć prawo do Wołynia.

---

<sup>210</sup>*Poczajów* — miasto w obwodzie tarnopolskim Ukrainy (do 1939 w granicach II Rzeczypospolitej), gdzie znajduje się Ławra Począjowska, najważniejszy prawosławny kompleks klasztorny na Wołyniu, sanktuarium i ośrodek pielgrzymkowy, z ikoną Matki Boskiej czczoną jako cudotwórcza. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pruszyński-podroz-po-polsce>

Tekst opracowany na podstawie: Ksawery Pruszyński, *Podróż po Polsce*, Czytelnik, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Górka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Zbigniew Malinowski.

ISBN 978-83-288-6164-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.